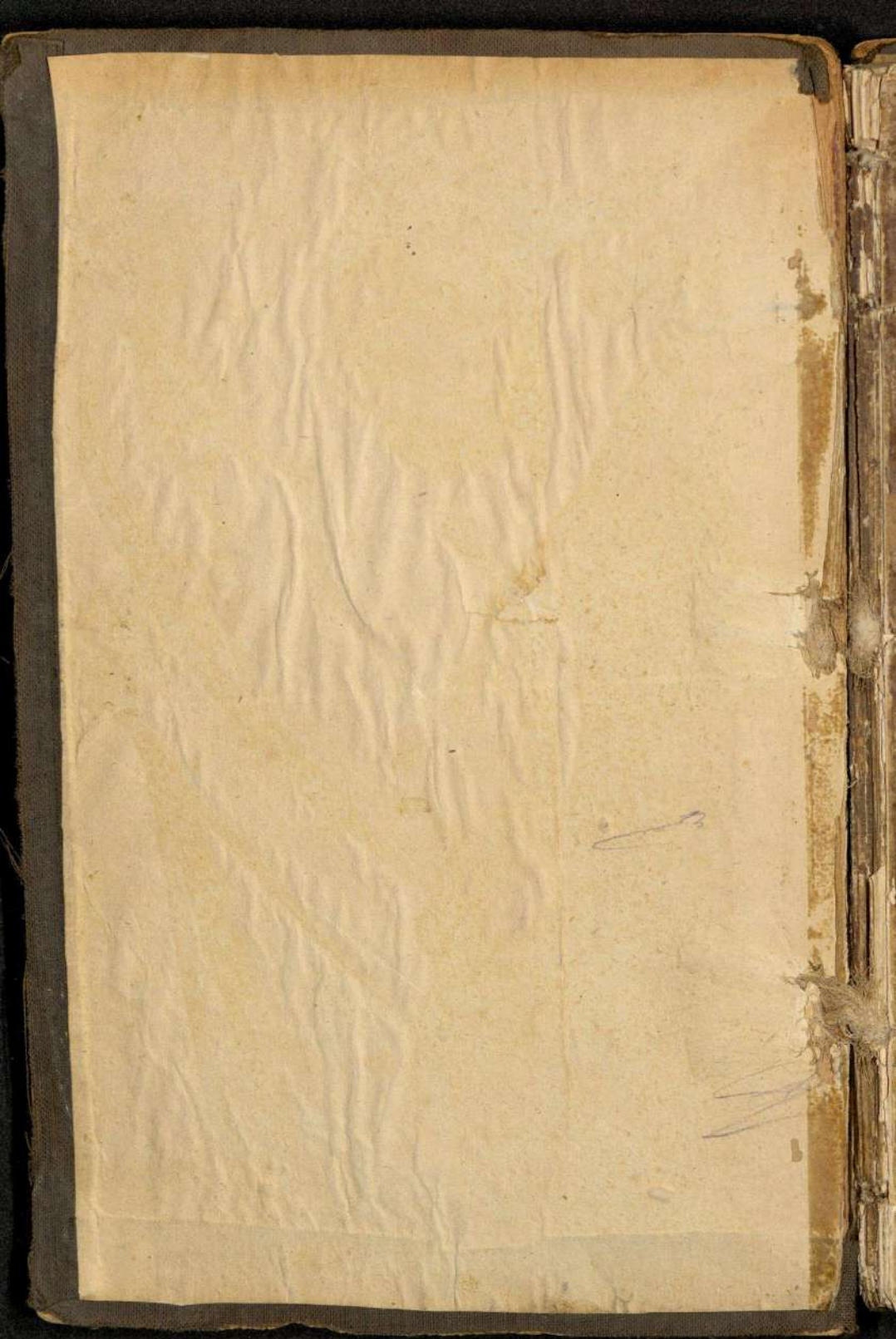


162



PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM III.

LISTY Z PODRÓŻY
PO AMERYCE (*dokończenie*).
LISTY Z RZYMU I PARYŻA.
KOMEDIA Z POMYLEK.

WYDANIE DRUGIE.

Dzieła J. I. Kraszewskiego.

rs. kop.

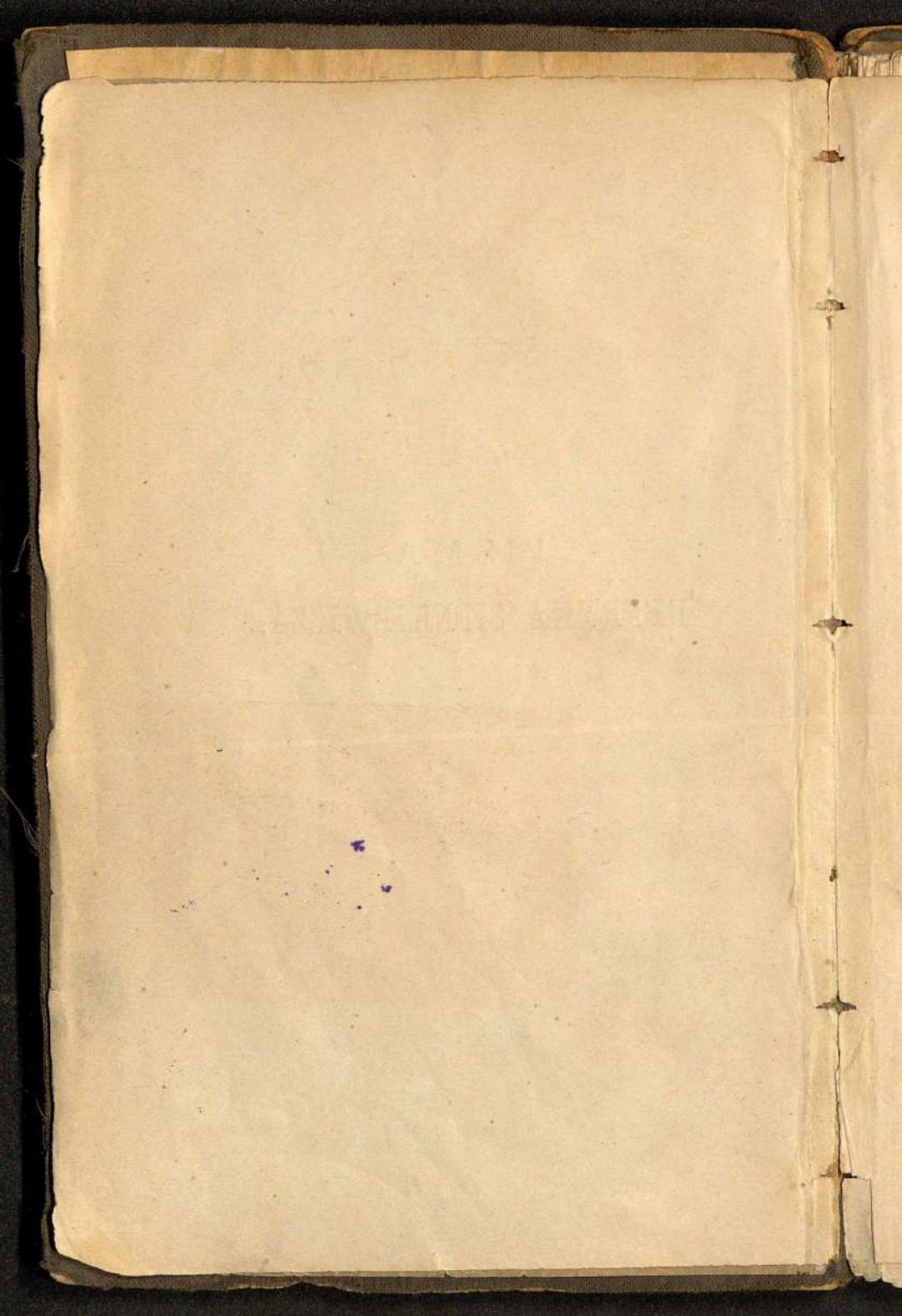
<i>Bracia rywale.</i> Obraz społecz. wiejsk. XVIII wieku.	1	—
<i>Bratanki.</i> Powieść z podania początku XVIII wieku.	2	—
<i>Brühl.</i> Opowiadanie histor., wyd. 2-gie, 2 tomy	2	—
<i>Było ich dwoje.</i> Powieść.	—	60
<i>Chore dusze.</i> Powieść 2 tomy	2	—
<i>Cześnikówny.</i> Powieść z ilustr. Chełmońskiego i Ks. Pillatego	1	50
<i>Herod Baba.</i> Opowiadanie dziadka	1	35
<i>Holota.</i> Powieść współczesna. 2 tomy.	1	50
<i>Hrabina Cosel.</i> Powieść historyczna, Wyd. 2-ie, 2 tomy	2	—
<i>Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił.</i> Powieść	—	90
<i>Jesienią.</i> Powieść. 2 tomy	1	80
<i>Kawał literata.</i> Wizerunki społeczne z końca XVIII w.	1	50
<i>Krasicki.</i> Życie i dzieła. Kartka z dziejów literatury XVIII wieku. 12-ka.	2	—
Wydanie na papierze welinowym w 8-ce.	2	50
<i>Macocho.</i> Powieść z podań XVIII wieku. 3 tomy.	2	25
<i>Mogiły.</i> Abracadabra. Dwa fragmenty, oraz Dyaryusz hr. Kaź. Konst. de Bröl Platerra	1	—
<i>Moritur.</i> Powieść w 2-ch tomach.	2	25
<i>Niebieskie migdały.</i> Powieść. 3 tomy.	3	—
<i>Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie Kochanku), z papierów po Glince.</i> Wydanie 2-gie.	—	90
<i>Pan na czterech chłopach.</i> Historia szlachecka z XVIII w.	1	—
<i>Pod Blachą.</i> Powieść z końca XVIII wieku. 3 tomy.	3	—
<i>Powrót do gniazda.</i> Powieść z podań XVI wieku.	1	50
<i>Przypadki Pana Marka Hłłczy.</i> Rzecz z podań życia staroszlacheckiego	1	20
<i>Ramułtowie.</i> Powieść współczesna.	1	35
<i>Raptularz</i> Pana Mateusza Jasienieckiego	1	—
<i>Resurrecturi.</i> Powieść w 2-ch tomach.	1	50
<i>Roboty i prace.</i> Sceny i charaktery współczesne	1	20
<i>Skrypt Fleminga.</i> Pow. histor. z czasów Augusta II. 2 t.	1	50
<i>Stara Baśń.</i> Powieść z IX wieku. Wyd. jubileuszowe na welinie z 24 ilustracyami Andriollego, w 4-e, w ozd. oprawie w płótno ang. z złoceniem	12	—
<i>Starosta Warszawski.</i> Obrazy histor. z XVIII w. 3 tomy	3	—
<i>Syn marnotrawny.</i> Opowiadanie z końca XVIII w. 2 t.	2	40
<i>W starym piecu.</i> Studium psychograficzne	1	20
<i>Z siedmioletniej wojny.</i> Opowiad. histor. Wyd. 2-e, 2 t.	2	—
<i>Żywot i sprawy JMei Pana Medarda z Gołczwi Pełki.</i> 3 t.	3	—

w d r u k u:

<i>Krzyżacy, 1410 r.</i> Obraz z przeszłości. 2 t.
<i>Złoto i błoto.</i> Powieść współczesna. 3 t.
<i>Wilczek i Wilczkowa.</i> Opowiad. z końca XVIII w.

P I S M A
HENRYKA SIENKIEWICZA.

A 970 1/2.



P I S M A
HENRYKA SIENKIEWICZA.
TOM III.

L I S T Y Z P O D R Ó Ż Y P O A M E R Y C E

(dokończenie).

L I S T Y Z R Z Y M U I P A R Y Ż A .

K O M E D Y A Z P O M Y Ł E K .

NAK

1881.



GIE.
Lis.
162

Дозволено Цензурою.



W Drukarni J. Bergera, Elektoralna Nr 14 w Warszawie.



VIII.

Szkice amerykańskie.

I.

Góry Santa-Ana, z których przesyłam list obecny, stanowią południową część ogromnego pasma ciągnącego się w rozproszonych rzutach i pod rozmaitemi nazwami, od Oregonu aż do południowej Kalifornii i meksykańskiej Sonory. Przybyłem tam z Anaheim-Landing, wraz z gospodarzem moim Maxem Neblungiem. Przybyliśmy późną już nocą, ale noc ta pierwsza, przepędzona w okolicy dzikiej i zupełnie bezludnej, zostawiła mi niezatarte wrażenie. W poprzednim liście wspomniałem już, że zatrzymaliśmy się u pewnego skwatera, którego odtąd stale będę nazywał Robinsonem, żyje bowiem zupełnie samotny, mieszkając pod namiotem, a za całe towarzystwo mając tylko psa i karabin. Nowy mój Robinson jestto gentleman już nie młody, lat koło pięćdziesięciu, wyglądający zupełnie tak, że gdybym go spotkał w której z moich wycieczek, bez wahania chwyciłbym za rewolwer. Ubrany

był we flanelową koszulę, w spodnie ze skóry daniela, i w podarty meksykański kapelusz, którego wystrzępione kolisko zakrywało twarz zarosłą i groźną. Skoro Max poznał nas wzajemnie, skwater uściśnął silnie moją rękę i wyrzekłszy zwykłe: „Halo!” odszedł zaraz do wozu rozniecić ognisko i przygotować dla nas wieczerzę, my zaś z Maxem zajęliśmy się rozsiadaniem naszych mustangów, które przywiązaliśmy na długich lasso do drzewa. Konie poczęły chrupać koniczynę, obficie rosnącą pod dębami; my zaś, zapaliwszy fajki, siedliśmy pod namiotem, czekając na wieczerzę.

Począłem przyglądać się okolicy. Czarne, spiętrzone masy gór otaczały naokół kotlinę, z której jedyne wyjście na północ i na południe stanowiło łóżysko głębokiego górskiego strumienia. Okolica wydała mi się nad wszelki wyraz dzika i ponura. Urwiska skalne zwieszały się nad kotliną w ogromnych tytanicznych złamach, narzucanych jakoby z bezładną wściekłością jedno na drugie. Zdawało się, że lada chwila wszystko to dorwie się i spadnie na dno doliny. Noc jasna powiększała jeszcze dziką fantastyczność wszystkich kształtów. Promienie księżyca obrzucały srebrnym szlakiem brzegi skał, których czarne, nieruchome sylwety rysowały się na rozświetlonym tle z dziwnie twardą wyrazistością. Głosy nocne powiększały jeszcze pośępny urok otoczenia. W rozpadlinach skał pokrytych drzewami, beczały złowrogo i chrapliwie dzikie koty; czasem ozwał się puchacz, czasem zachrapały konie. Pies mój nie przywykły do podobnych wzruszeń, podniósł pysk na księżyc i zaczął wyć; oswojony borsuk wdrapywał się gwałtem, jakoby ze strachu, na moje ko-

lana, ja zaś byłem upojony i prawie zupełnie szczęśliwy. Mimo iż przegalopowałem około trzydziestu mil angielskich na niegodziwie noszącym mustangu, mimo iż nie czułem w sobie żadnej kości, za nic nie poszedłbym za przykładem Maxa, który rozciągnąwszy przed namiotem koldrę, położył się na niej i usnął. Odechciało mi się i spać, i jeść, a natomiast rozmyślałem tylko, że najdawniejsze marzenia moje z lat dzieciennych zmieniły się w rzeczywistość.

Zawsze marzyłem o tém, abym kiedykolwiek w życiu mógł ujrzeć owe kraje bezludne jeszcze, w których potężne siły natury, niepohamowane ręką ludzką i rozbujałe, żyją jak chcą, tworzą co chcą, i panują absolutnie. Spojrzeć twarzą w twarz oczyma w oczy naturze zupełnie pierwotnej, wdrzeć się w głębie dziewiczych lasów i stepów opisywanych przez Coopera, był to ideał szczęścia, do którego wzdychałem w ukryciu oddawna. Teraz miałem to wszystko przed oczyma. Pierwotna natura otaczała mnie zewsząd, ogarnęła całego, pochłonięła moje zmysły i umysł. Mogłem się w niej rozpuścić i zginąć jak kropla marna deszczu w oceanie.

Dziś zdaje mi się, że podróż moja rozpoczęła się naprawdę dopiero od chwili, w której przybyłem w te góry; czyż bowiem można nazwać podróżą przebieganie mórz w pysznych okrętach, lub stepów w wygodnych wagonach Pulmana...—dalej zatrzymywanie się po hotelach, zwiedzanie miast i tym podobnie? Jakaż to rola takiego, ucywilizowanych stron, badacza-podróżnika? Wiozą go jak pierwszy lepszy kufer—ot i wszystko. Jediną czynną rolę, jaka mu pozostaje, jest wydawanie pieniędzy.

Ale w tych górach prawie bezludnych, a przynajmniej leżących poza cywilizacją, rola podróżnego odmienna i bezwarunkowo czynna. Jedynym paszportem i biletem na podróż, jest tu twój własny karabin; jedynym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce, twoje własne nogi, lub nawpół dziki mustang, którego ile razy chcesz dosiąść, tyle razy musisz najprzód nawpół udusić w skrętach lasso; który nie zaniedbuje żadnej okoliczności, aby cię wierzgnąć, chwycić zębami, i który toczy przerażonem krwawem okiem, skoro tylko do niego się zbliżysz.

Tu przytém za przewodnika służy ci twój własny instynkt, sypiasz pod gwiazdami w rozpadlinie skalnej, którą własnymi rękoma musisz poprzednio oczyścić z skorpionów i węży; grzejesz się jeśli sam napalisz ogień, jész co sam upolujesz; jedném okiem śpisz, drugie gubisz w ciemnościach, badając niebezpieczne ich głębie; zrywasz się na lada szelest: chwytasz za karabin, gdy pies zawarczy i zjeży sierć na karku.

Krótko mówiąc podróżujesz, jak prawdziwy mężczyzna; wszystkie pierwiastki twój dzielności, niezmarnowane życiem miejskiém, wchodzi w grę z niebezpieczeństwem. Wszystko co się staje, staje się przez ciebie, dzięki twemu męztwu, energii i przezorności. Ani na chwilę nie możesz być biernym. A przytém jeszcze jedno: nietylko przypatrujesz się, ale odkrywasz. Przyznacie mi, że jedynie taką podróż można nazwać podróżą prawdziwą, czynną i twórczą.

Całe dni i miesiące takich podróżniczych warunków miałem teraz przed sobą, ponieważ owe góry: Tamiscal, Santa-Ana i San-Bernardino, w które przedostałem się

po wielu usiłowaniach, leżą poza ucywilizowanym kalifornijskim pasem. Ów pas ciągnie się z północy na południe, brzegiem morskim od Oregonu, aż do miasta San-Diego, leżącego prawie już na granicy między właściwą Kalifornią a tak zwaną Lower-Kalifornią, półwyspowa i należąca do Meksyku. Na północy, zwłaszcza koło San-Francisco, ów szlak cywilizowany szeroki jest i obejmujący cały kraj od Oceanu Spokojnego aż do grzbietów Sierra-Nevada, stanowiących granicę od złotodajnej, ale pępną i pustynną Nevady. Kraj w tym miejscu dobrze jest zaludniony, nie gorzej nawet niż Królestwo Polskie. Śliczne doliny, leżące między pasmami gór środkowych, jakotóż i same góry, pokryte są siedliskami ludzkimi. Gdym kilka miesięcy temu patrzył o wschodzie słońca ze szczytu Mount-Diablo, na okolicę leżącą u nóg moich— z różowej mgły porannej wynurzyła się z jednej strony szmaragdowa toń morska zatoki, z mnóstwem masztów, żagli i różnobarwnych chorągiewek; z drugiej cały kraj budzący się ze snu, ale tak wdzięczny, że chyba i szatan nie kusił piękniejszym ze szczytu urwiska Chrystusa. W zielonych dolinach błyszczały złote i srebrne taśmy wijących się strumieni; na dolinach, miasta pełne wież, których iglice i gałki całował pierwszy promień wschodu: więc ogromne San-Francisco, mniejszy Oakland, Heywards, Benicia, kalifornijski New-York, Brooklyn, San-Leandro, Sant-Mateo, Vallejo, Martinez, San Pablo, z drugiej zaś strony stołeczne Sacramento, oblane czerwonymi falami rzeki tegoż nazwiska.

Z samą już ilości wymienionych miast, leżących w promieniu oka naokoło Mount-Diablo, możecie miar-

kować, jak kraj obficie w tych miejscach jest zaludniony. Gdyby nie niebo dziwnie błękitne nad moją głową, gdyby nie zbyt ciepły oddech porannego wiatru; gdyby nie kolibry i wielkie złote motyle, wijące mi się nad głową; gdyby na koniec nie Feb zbyt palący i promienny, co wszystko już wpół-zwrotnikową krainę zdradzało, mógłbym sądzić, że spoglądam np. z wieży Św. Guduli na okolice Brukselli, tak kraj był uprawny, tak podobny do jednego ogromnego ogrodu i tak gęsto zasiedlony. Między miastami farma bieląła przy farmie; to znów młyny wodne, to wietrzne studnie, podobne do naszych wiatraków; to płuczkarnie złote, długie po kilka mil angielskich, a wszystko to utulone w zieleni mirtów, cyprysów i drzew gumowych; zatopione w zwojach bluszczów, lianów, dzikiego wina, lub zdobne palmami rozpościerającymi nad ludzkim siedliskiem, nakształt opiekuńczych ramion, swoje szerokie liście.

Ale zstępując od San-Francisco ku południowi, aż do San-Diego, ten ucywilizowany, zaludniony i uprawny szlak zwęża się coraz bardziej. Przyczyną tego nie jest mniejsza urodzajność gleby, bo przeciwnie, brzeg morski zamieszkały, mniej jest żyzny od pustych jeszcze canionów górskich; nie żyzności więc ziemi szuka ludność tu-tejsza, ale przede wszystkim bliskości miast, zwłaszcza portowych, w których mogłaby znaleźć łatwy zbyt owoców swojej pracy, i dlatego też kupi się głównie koło brzegów. Najważniejszą jednak przyczyną jest mała, na ogół wzięwszy, ludność Kalifornii. Na sześć tysięcy mil kwadratowych jest tylko siedmset tysięcy mieszkańców, wobec czego nie jest rzeczą ani nienaturalną, ani dziwną, że odleglejsze ziemie, choćby nad wszelki wyraz hojne i bujne, nie są jeszcze zajęte.

Gdy, posuwając się od Anaheim na wschód, w kierunku gór, koń twój przebiegnie szerokie i piaszczyste koryto rzeki Santa-Ana, wiedz o tém, że wyjechałeś już ze stron ucywilizowanych, w których ziemia jest rozdzielona i stanowiąca prywatną własność; w których społeczeństwo żyje pod prawem Stanów Zjednoczonych, stosunki są uregulowane, a własność ziemska oznaczona. Po prawej stronie téj rzeki zaczynają się ziemie rządowe, rzadka zamieszkałe przez skwaterów, lub indyan, po większej części jeszcze nie zajęte i oczekujące pionierów. Jedyném prawem, zresztą z powodu uczciwości i oświaty skwaterów nigdy nie stosowaném, jest tu straszliwe prawo lynch, dające się chyba wyrazić w słowach: nie ząb za ząb, nie oko za oko, ale za wszelki zamach, tak przeciw osobie, jak przeciw własności, jedna tylko kara: powróż.

Ziemie te podzielone są na tak zwane klemy, czyli kwadratowe części, zawierające po 160 akrów. Właściwie jednak podział ten nie jest pomiarem, bo w oddalonych płoninach górskich nigdy jeszcze nie powstała noga inżyniera, ale raczej prawem pozwalającém każdemu amerykańskiemu, lub kandydatowi na obywatela Stanów Zjednoczonych, brać wymienioną ilość ziemi na użytkowanie, pod warunkiem zapłacenia rządowi w ciągu lat dziesięciu po półtora dolara za akr. Po upływie tego czasu, użytkowanie, czyli tak zwany *usus* zmienia się już w bezwarunkową własność, którą można sprzedać, darować, wydzierżawić, słowem robić z nią co się podoba. Konieczność płacenia rządowi istnieje zresztą na papierze, w rzeczywistości bowiem, skwatera, który ziemię wolną

zajął, obrobił i zabudował, choćby grosza za nią nie zapłacił, żadne prawo wyrugować nie jest zdolne.

W obec tak dogodnych warunków, w obec łatwości zajmowania ziemi, przy którym nie masz żadnych prawnych kłopotów; w obec wreszcie tego, że doliny owe i hale pokryte po największej części odwiecznymi lasami dębów, płatanów i laurów, bajecznej są prawie urodzajności: zdawałoby się, że ludność skwaterska powinna się roić i mrowić, a jednak tak nie jest. Mówilem już o głównej przyczynie: ludzi niéma! Zbiegłaby się zapewne liczna i goła, a nie mająca nic do stracenia gawieź emigrancka, ale na przeszkodzie temu stoją niezmierne odległości, dzielące Kalifornią od Stanów zachodnich, i przede wszystkim to, że podróż nad brzegi Oceanu Spokojnego, już nie z Europy, ale z New-Yorku, Filadelfii, Waszyngtonu lub Bostonu, kosztuje więcej niż dwa klemy, za które, jak wspomniałem, płaci się przez lat dziesięć.

Co zaś do amerykańców osiadłych w miastach, są to bez wyjątku tak zwani businessmeni, czyli ludzie trudniący się przemysłowem lub handlowem sprawami, którzy w osiedlaniu się w górach i na pustkowiach, żadnej nie widzą korzyści materyalnej; względy zaś poetyczne, jakoto: malowniczość położen, samotność, niezmacony spokój i życie na łonie natury, są to rzeczy, za które prawdziwy yankes nie da i pięciu centymów.

A przytém w te śliczne doliny górskie dróg niéma. Nazwa hiszpańska *canion* oznacza, ściśle mówiąc, wąwóz. Gdy taki wąwóz rozszerza się nagle lub stopniowo w ten sposób, że tworzy obszerną kotlinę, otoczoną naokoło amfiteatrem gór, wówczas daje dość miejsca pod gospodar-

stwo pastewne, pszczelnicze a nawet rolne. Ale najczęściej takie polany leżą w głębi pasm, wejście zaś do nich stanowi jedynie koryto potoku. Jestto poprostu ogromna szpara, czyli jak nazywają na Ukrainie: „jar,” na dnie którego szumi po kamieniach woda, boki zaś utworzone są ze skał wznoszących się czasem na dwieście i trzysta stóp prostopadle w górę. Nic posepniejszego, jak takie gardła potoków. Na dnie panuje wieczny mrok, szczyty bowiem skał, posiadające warstwę rodzajną, pokryte są drzewami, których konary częstokroć stykają się z sobą nad potokiem, i przysłaniają oku wędrowca niebo. Miejscami dziki chmiel, dzikie wino, lub liany przerzucają się z brzegu na brzeg, łączą się, płaczą, duszą wzajemnie w ramionach, tworząc festony zieloności tak grube, że światło dzienne zaledwie przez nie na dół dochodzi.

Podróżnemu często zdaje się, że posuwa się naprzód jakimś podziemnym korytarzem. Tam, gdzie przez szczelinę w górze można dojrzeć błękit niebieski, tam rozweselający ten widok zmacony jest łopotaniem skrzydeł sępów, kruków, orłów i posepném ich krakaniem przejmującym smutkiem i trwogą.

Z takichto rozpadlin wreszcie dolatują, po zachodzie słońca owe złowrogie beczenia i ryki, których nieprzywykłe nerwy, prawie wytrzymać nie mogą. Gdy słońce gaśnie na szczytach, wszelka dzicz górska schodzi pić wodę do potoku: więc najprzód jelenie, antylopy, dalej koziorożce z sierpiastemi, prawie końca grzbietu sięgającemi rogami, i małe, białe nakrapiane kózki górskie. Za niemi dopiero ciągną drapieżcy tych gór: srebrny i czerwony kuguar przesuwają się cicho w mroku, niby jakiś sza-

rawy wąż; z rozpadliny skalnej podnosi głowę ryś-ostro-widz i toczy ognistemi oczyma. Po drzewach skrada się plebs szarawych żbików; czasem znów zdala dojdzie od-głos spadających ze zrębu skalnego kamieni:—to po-sepny despota tych gór—szary niedźwiedź, wlokąc ociężałe kroki, idzie zanurzyć w strumieniu uznójone żarem dzien-nym cielsko.

Miejscami łożyska tak są zawałone większemi i mniej-szemi bryłami kamieni, że nietylko już wozem, ale i konno niepodobna przez nie przejechać, témbardziej, że kamie-nie wiecznie pokryte są wilgotnym i oślizłym mchem.

Zimą, w czasie pory dżdżystej i na wiosnę, podczas ogólnego wezbrania wód, strumienie owe zmieniają się w rwące potoki, i wówczas mieszkańcy canionów są zu-pełnie od reszty świata odcięci. Skutkiem tego w canio-nach trzeba żyć dziko; o wygodach ucywilizowanego życia i marzyć nawet nie wolno.

Prócz tego, prawda; rozszerzenia się canionów czyli doliny, śliczne są i urodzajne; łatwo je zająć, łatwo przyjsć, wynaleźć kąt, w którym jeszcze człowieka może nigdy nie było, i powiedzieć sobie: to moje! Własności, jakby na bezludnej wyspie, nikt tu nie zaprzeczy; łatwo więc wziąć ziemię, ale żyć na niej nie łatwo. Skwater jest zwykle czło-wiek ubogi; pozbawiony żony, dzieci, więc samotny. Taki człowiek przychodzi w góry, wybiera canion, który mu się najlepiej podoba, i mówi sobie: „tu osiadę.” Ale że-by osiaść, potrzeba wybudować dom; skwater prócz sie-kier, piły i świdra, nie posiada zwykle innych narzędzi. Drzewa wprawdzie nie brak na chatę, ale jak tu się i wziąć do niego, gdy canion szumi jedną puszcza stule-

tnich drzew, o pniach na kilka stóp średnicy, i o szczytach zagubionych gdzieś w chmurach. Czarny, ogromny dąb wznosi się obok białokorego platanu, dalej dąb siwy, to znowu hicoro o słojach tak twardych, że siekiera odskakuje od nich, jak od kamienia; dalej laur: wszystko to zaś tak owinięte w węzowe sploty lianów, tak powiązane ze sobą, natłoczone, że puszcza zdaje się być jedną zbitą masą, w którą możesz niemal uderzać obuchem, jak w ściągę. Wyobraźmy sobie teraz, jakie trudy musi ponosić osadnik, ażeby oczyścić jakie takie miejsce na chatę i dziedziniec; pościnać ogromne drzewa, uprzętnąć ich zawały. Dalej przy stawianiu chaty, co za olbrzymich sił potrzeba, aby, nie mając z nikąd pomocy, zaciągać jednemu człowiekowi belkę na belkę, krokiew' na krokiew'; po cieńsze drzewa należy czasem chodzić milę lub dwie drogi, i ciągnąć je następnie po niegodziwem łożysku strumienia, dźwigając przytém na plecach ciężki karabin, bez którego ruszyć się niepodobna, raz dla obrony, a powtóre dla upolowania czegoś do pożywienia. Wiedzimy z tego, że samo postawienie chaty przechodzi już prawie siły ludzkie; nikomu więc nie może się wydawać dziwném, że skwaterów bardzo jest niewiele, i że na życie takowe puszczaają się albo tułacze cudzoziemcy, którzy przybywszy bez znajomości języka i środków pieniężnych, a niechcąc zgodzić się na jakąkolwiek zależność, nie mają nic innego do roboty; albo rozbitkowie z życia, ściągani prawem; albo nieszczęśliwi, szukający samotności: albo nakoniec natury wyjątkowo awanturnicze, które taką dziką niezawisłość cenią nad wszystkie skarby świata.

Ale jak pasterz brakuje owce i słabsze oddala ze stada, tak życie w podobnych warunkach brakuje skwaterów. Słabsze osobistości padają w nierównej walce: pospolicie téż skwaterowie bywają ludźmi ogromnej siły i niepospolitego hartu ducha. Można by rzec, że cywilizacya wysyła swoich atletów, aby jej torowali drogę w puszczy. Powyższe jednak przymioty skwaterów w terytoryach zamieszkałych przez dzikich indyan, przeciwważone są przez wady, które czynią z tych przodowników postępu ludzi arcy niebezpiecznych. Krwawe zajęcia z czerwonoskórymi i potrzeba używania co chwila noża lub rewolweru, rozwijają w nich dzikie namiętności i okrucieństwo, a przytém szorstkość posuniętą do grubiaństwa, z niepewności zaś jutra, wyradza się lekko-myślność. Właściwie nawet mówiąc: skwater w New-Meksyku, Aryzony, Indyan-Terytoryum nie jest osadnikiem ale trzebicielem lasów. Zebrani w oddziały po kilkudziesięciu ludzi wynoszące, skwaterowie tamtejsi wyszukują nietkniętych siekierą puszczy, i niedbając zresztą czy takowe należą do indyan czy do rządu, czy nakoniec do prywatnych kompanii, wyrąbują je, ładują w postaci tratów i galarów na fale Red-River, Rio-Colorado, Rio-Grande i spławiają do miast najbliższych. Po sprzedaniu drzewa, skwater, czując kieszenie wyładowane złotem i dwudziestodolarówkami, oddaje się pijaństwu i absolutnemu próżniactwu w mieście lub najbliższej wencie, dopóty, dopóki nie straci ostatniego centa, a potem dopiero, goły już jak mysz kościelna udaje się znów na pustynię.

Nie potrzebuję dodawać, że życie takie pełne jest często bardzo krwawych wypadków.

Pustynia nie jest tak bezludna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Prócz skwaterów włóczą się po niej traperowie, to jest ludzie robiący sobie rzemiosło z polowania i awantur; wakerosi, to jest strażnicy stad lub karawan kupieckich; prości drapichrustowie, czasem górnicy, a nakoniec w peryodzie wędrówek bawołów, większe i mniejsze oddziały indyan polujących na te zwierzęta, a gdzie się da, i na skalpy.

Skwaterowie stykają się ustawicznie z tymi ludźmi. Czasem przyjaźnią się z nimi i piją w wentach leżących na szlakach; czasem zasię, przy sangwinicznym temperamencie i pochopności do bójki stron obu, przychodzi do formalnych bitew, staczanych z indyjską przebiegłością, a z zawziętością średniowieczną. Przytém w ogóle skwater, czując się silnym, wolnym jak ptak, słowem: królem pustyni, pogardza wszystkimi innymi ludźmi, i w zetknięciu się z nimi jest zawadyką i brutalem, z którym niepodobna się nie pobić. Wyzywa wszystkich; nie boi się nikogo i niczego, drży tylko przed jedną na świecie istotą, przed tak zwanym: „*uncle lynch*,” wujaszkiem lynch, jak powszechnie nazywają na pustyni straszne to prawo.

Sama nazwa: „*uncle*,” wujaszek, dowodzi, że skwaterowie uosobili owo pojęcie z humorem, ale w niemal tenże sam sposób, jak hindusowie siłę niszczącą w postaci Sziwy. Skwater choćby najzuchwalszy, czuje że „*lynch*,” jakby bóg jaki, jest bezwzględnie od niego silniejszy. Jakoż najstraszliwszy ten ze wszystkich wujaszków wujaszek, jest zarazem i pobłażliwym i nieubлагanym. Pozwala on zabić skwaterowi każdego indyanina na „polu wojenném;” pozwala zabić bezkarnie każdego w kłótni, przechodzącą

w bitwę; pozwala zabić przez zemstę za brata, swata lub pobratymca czyli brata ślubnego; pozwala uważać wszelki bezwzględnie las, za dar Boży, z którego każdy równe ma prawo korzystać; pozwala wreszcie na osobistą swawolę; ale za wszelkie zdradliwe targnięcie się tak na osobę, jak i na własność, w widokach osobistój korzyści, karze bezwzględnie śmiercią, często zbyt nawet okrutną.

Ale jakiegokolwiek ono jest to dzikie prawo, w każdym razie wypłynęło ono z poczucia solidarności między białymi ludźmi i z poczucia potrzeby sprawiedliwości, dwóch podstawowych warunków, na mocy których wszelkie społeczeństwo przechodzi ze stanu dzikiego do cywilizacji! Wspominałem już, że gdy ziemia pusta się zaludnia, a bardziej złożone stosunki wymagają bardziej złożonych praw, tak karnych jak i cywilnych, lynch wnet ustępuje ogólnym kodeksom Stanów Zjednoczonych. Jednakże zdolność do samopomocy, tak jest niejako amerykańskiemu ludowi wrodzona i tak wielka, że nawet w zupełnie już urządzonych państwach, rząd i policya z trudnością wstrzymuje ludność od wymierzania w ważniejszych wypadkach samój sobie sprawiedliwości. Każdy obywatel tak jest tu przejęty zamięłowaniem dobra publicznego, że każdy osobiście za jego stróża, a zatém za sędziego, policyanta i wykonawcę sprawiedliwości się uważa. Przykładów na to mógłbym przytoczyć mnóstwo. Gdy przed kilkunastu laty rozbójnik Joachim, meksykańin, na czele kilkunastu ludzi grasował na całej długości Kalifornii, to nie policya, która wówczas nie była ani dość liczną, ani dość sprawną, ale ludność cała, siadłszy na koń, ścigała go z taką zaciętością po stepach, w niedo-

stępnych puszczach, w dzikich wąwozach górskich, że mimo tych naturalnych kryjówek, któreby tysiącom ludzi mogły dać schronienie, Joachim został schwytany i powieszony, opryszkowie zaś wybici po lasach, jak wilki. Częstoć wprawdzie czytamy o wojnach z małemi pokoleniami indyjskimi, prowadzonych tak niedoleżnie, że trwają całe lata, ale wojny te prowadzą i umyślnie przewłóczą generałowie w widokach osobistych korzyści; gdy jednak zniecierpliwiona ludność chwyci za broń, wówczas biada czerwonym hajdamakom: kryjówki ich są odkryte, wigwamy zburzone, ludność wycięta, i wojna w parę dni skończona.

Słyszałem o bardo niedawnych wypadkach, w których ludność tutejsza, bez żadnej pomocy ze strony rządu, dawała sobie rady. Przed dwoma laty zdarzyło się, że w samém Anaheim dwóch indyan zaciągnęło do winnicy i zamordowało młodą żonę jednego z obywateli. Naza jutrz dzień, całe miasto było już na koniu w polu. Tradycja lynchu zbudziła się jak drzemiący lew, i zaszumiała nad indyjskimi głowami, jak burza. Prawda, że kilkunastu ich zostało niewinnie zabitych, ale na resztę padł taki postrach, że sami wyszukali winowajców i oddali ich pospolitemu ruszeniu. Ale pocóż szukać takich przykładów, kiedy lada kradzież, lada krowa, owca lub koń porwany pojedynczemu farmerowi przez meksykańów, wystarcza, aby wszyscy jego sąsiedzi porzucili najpilniejsze roboty, najpilniejsze sprawy; narazili się na stratę czasu, pieniędzy i nie wypuścili z rąk rewolwerów, póki strata nie zostanie odbita i zwróconą.

W obec podobnej energii amerykanów, przy zajmowaniu naprzykład nowych terytoriów, zamieszkałych poprzednio przez warcholską ludność meksykańsko-indyjską, zawierucha trwa zwykle parę lat, to jest póty, póki się owa ludność raz i drugi dobrze nie sparzy na swych złodziejsko rozbójniczych przedsięwzięciach. Później następuje spokój taki, jakiego próżnoby szukać gdziekolwiek w Europie, i w czasie którego możesz podróżować wszędzie, nie tylko bez rewolweru, ale z workiem pieniędzy na plecach. Nie wyłącza to jednak burd, które owa przyrodzona krewkość i energia czyni częstszymi jeszcze niż gdzieindziej. Ale to inna rzecz. Gdy dwóch obywateli uznaje za stosowne popodbijać sobie wzajemnie oczy kulakami lub wyzwaawszy się na pojedynek, zapolować na siebie z karabinami, ogół obywateli nie wdaje się w to wcale, mówiąc, że to ich tylko business. Dalej, w niektórych Stanach, dzikość sekt religijnych wywołuje nadużycia, w innych znowu, które przez długi czas były przez białych i czerwonych wydzierane sobie wzajemnie, zaprawiona na krwi ludność nie łatwo wyrzeka się lynchu, i nie łatwo poddaje się prawu; nakoniec namiętności polityczne występują tu ostrzej niż gdzieindziej, ale są to rzeczy przechodnie: taż sama energia, która je wywołuje, później uśmierza je, i wezbrany potok do naturalnego koryta sprowadza.

W każdym jednak razie, gdy sobie pomyślę, jak naprzykład prowadzone przez merów na pasku, prowincje francuzkie straciły głowę, gdy w czasie wojny od Paryża je odcięto; gdy wchodząc do naszych stosunków, przypominę sobie, ileżto razy tworzą się u nas całkiem

uorganizowane szajki złodziei, kradnących konie, a słamazarna i niezdolna do żadnej inicjatywy ludność, nie przedsięwzię nic i czeka zmiłowania się Bożego, ogarnia mnie smutek prawdziwy, i wolę tę yankesowską republikańską energię, razem z wszelkimi jej nadużyciami. Nie chodzi mi w tém rozważaniu naszej niezaradności o pojedyncze uczynki i szkody, ale o wnioski, które ztąd można wyciągnąć: że bujność wewnętrznego życia i samodzielność, bardzo już w starój Europie zamarła, i że trudno tam stawiać kroki, bez jakiegokolwiek paska. W Ameryce przeciwnie: samodzielność i energia rozkwita i poeźniej coraz bardziej. Nie można przytém powiedzieć, aby przyczyną tego rozkwitu była wolność i decentralizacya, na których urządzenie Stanów Zjednoczonych jest oparte, bo tak wolność, jak i decentralizacya, jeżeli niezawodnie do rozwoju powyższych przymiotów dzielnie się przykładają, to znowu i same tylko w obec nich są możliwe. Też same urządzenia, gdzieindziej, może zgoda inne wydałyby owoce, ostateczna przyczyna jest więc inna, a jest nią zajmowanie ustawiczne krain dzikich, lub przez dzikie ludy tylko zamieszkałych. Oczywiście, do krain tych ludność nie przychodzi z urządzeniami społecznymi; ale musi być sama dla siebie rządem, sądem, policją; musi być sama dla siebie wszystkim, a przytém walczyć jeszcze z siłami natury, z krwiożerczemi plemionami, w którychto herkulesowych walkach zdolność do samorządu, wolności i decentralizacyi, jak najsilniej się wyrabia.

Ów więc straszny "*uncle lynch*," nie tylko jest fantastyczno-rozbójniczym wytworem i nie tylko dla tego o nim wspominam, aby moje mniej i więcej wiekowe czy-

telniczki mogły wykrzykiwać: ach! na kanapie, okazując przytém delikatność swych nerwów i czułość serca: przedmiot to nietylko dobry, jako motyw do powieści, ale fakt godny bliższej uwagi filozofa i historyka. Jestto Drakon, który idzie przed Solonem; jestto dyktator, który po kilku latach rządu musi złożyć władzę, z nią pęki różg i siekiery, i zdać pieraz ciężki rachunek ze swych rządów: nakoniec, jestto twarda szkoła, z której młody naród wychodzi dziwnie zahartowany, czujący swą siłę jak lew, kipiący jak puhar wina i zdolny do tych czynów męzkich a ogromnych, przed któremi... skłonić nam głowy.

Co rzekłszy, ściągam cugle własnym myśłom i wracam do skwaterów. Owóż skwaterowie New-Meksyku, Arizony, Indyan-Terytory, są tacy, jak „lynch” — ludzie twardzi, hartowni, burzliwi, ale dotrzymujący zawsze słowa, solidarni i brzydzący się wszelką zdradą. Skwater kalifornijski ma ich przymioty, nie mając ich wad. Tamci są trzebicielami lasów i koczownikami: on jest osadnikiem; tamci żyć muszą ustawicznie, jak gdyby na stopie wojny: w Kalifornii panuje spokój. Wszystko to daje mu pewne cechy, po których łatwo go odróżnić, nietylko od skwatera żyjącego z tamtéj strony Sierra-Nevada, ale w ogóle od każdego amerykańskiego obywatela. Jestto dżentlemen zwykle potężnego wzrostu i potężnych ramion, posępny, groźny, małomówny, ale spokojny, skłonny do rozmyślań, i po największej części religijny. Samotność, olbrzymie spiętrzone skały, potężna a dzika natura, mimowiednie wpajają mu pojęcie o majestacie i wielkości Bożej. A przytém serce ludzkie musi coś kochać, skwater więc, nie widując często po całych miesiącach twarzy

ludzkiej, kocha kornie a głęboko, tę niewidomą a dobrą rękę, która rankiem rozciąga zorzę różaną na niebie, każe wschodzić i zachodzić słońcu, wiosną rzuca potop kwiatów na stoki górskie, a dębom i całej puszczy każe śpiewać jakoby nasze: Święty Boże, Święty Mocny!

W stosunkach z ludźmi skwater bywa zimny, ale do wysokiego stopnia prawy, jak zwykle bywa człowiek, który nie od nikogo nie potrzebuje i który zwykł sam sobie wystarczać. Ludzie bywają złymi z potrzeby, skwater niema potrzeby kłamać, oszukiwać, podchodzić; jeżeli bowiem nie umie się zadowolnić swoim życiem leśnym, porzuca je, wraca do miasta i zakłada business; jeżeli zaś umie, to rozmaite dobra światowe, w pogoni za którymi ludzie porzucają drogę uczciwą, nie mają dla niego wartości. Nakoniec praca, ciężka nad wszelki wyraz, z toporem w puszczy, usypia w nim lub zabija te wszelkie namiętności i popędy, które w życiu miejskim nieraz prowadzą ludzi na rozdroża.

Oczywiście są to cechy dodatnie, zebrane ogólnie. W pojedynczych indywiduach dochodzą one do mniejszej lub większej potęgi, bywają często równoważone przez rozmaite nałogi i wady, albo i zgola przez nie zabite. Skwaterowie np. meksykańscy, trudniący się, w zapadłych kątach górskich, hodowlą świń, która to hodowla nie wymaga żadnej pracy, przejmują wiele z natury tych zwierząt; skwaterowie irlandzcy bywają zawadykami, opojami i pieniaczami, wyszukującymi umyślnie po pustkowinach sąsiadów, aby było się z kim procesować: jednakże między amerykańskimi czystymi znalazłem ludzi tak pod

każdym względem wzorowych, że wyglądali mi prawie na postacie wyjęte z powieści.

Wszystkich ich razem wziętych, jest jednak bardzo mało. We dwa miesiące po przybyciu w góry, poznałem ich wraz z indyanami i mekszykanami kilkudziesięciu, ale osiadłych na takiej przestrzeni, na której połowa ludności gubernii Warszawskiej, wygodnie pomieścićby się mogła. Nie mając nic lepszego do roboty, a posiadając mustanga, który wychowany w górach, umiał po nich chodzić jak koza, włóczyłem się od osady do osady; często jednak zdarzało mi się nocować przy ognisku pod gołym niebem, w jeden dzień bowiem niepodobna mi było odbyć drogi. Indianie, którzy zresztą trzymają się po kilku, i mekszykanie, zajmują się głównie hodowlą, amerykańanie pszczołami. Pszczoł nie trzymają w barciach, jak to u nas na Litwie, ale w ulach ramkowych, zbudowanych i urządzonych według najnowszych systemów. Gospodarstwo to pszczelne, gdyby nie trudność przewozu, przynosiłoby znaczne korzyści; jakoż i przynosi je, ale tylko w osadach, naokół których ludność jest gęstsza, drogi lepsze, i które, właściwie mówiąc, niegdyś były osadami skwaterskimi, obecnie zaś są fermami urządzonemi na podobieństwo wszystkich innych w Ameryce.

Odleglejsi skwaterowie, lubo częstokroć w miód bogaci, z trudnością go sprzedają. Z niektórych miejsc można go przewozić we wjukach na koniach lub mułach, z innych jednak potrzeba nosić na rękach. Swoją drogą, same tylko wschodnie stoki gór Santa-Ana, a raczej caniony: Sant-Jago, San-Joachin, Alissa, Trabuco, Madera, lubo w przeogromnych częściach jeszcze puste, wydają

setki tysięcy funtów miodu i wosku rocznie. Niéma bo téż może nigdzie na świecie stron, w którychby pszczelnictwo mogło się tak rozwijać i kwitnąć, jak owe góry. Same caniony, obszerne a zamknięte ze wszystkich stron szczytami, stanowią jakby naturalne pastwiska pszczelne, z których pracownice nie mogą rozlatywać się po świecie, rozpraszać i ginać. Środkiem doliny płynie zwykle potok, albo jak tu nazywają „*creek*,” zacieniony, chłodny, kryształowy, a nie grożący topielą. Prócz głównego potoku, w pomniejszych wchodzących do canionu wąwozach i gardzielach, wije się mnóstwo strumyków, których srebrne wstążeczki brzęczą po kamieniach i skałach, tworząc to jakby małuchne w miejscach szerszych jeziora, to znowu kaskady, tak wdzięczne, jak owe gry wodne, ręką artystów pourządzane w Wersalu. Lekki powiew wiatru, wiejący zawsze w południe, rozwiewa w mgłę te wodne warkocze, chłodząc niby deszczem upał i znój dzienny. W miesiącu lipcu, gdy żar niebieski dochodzi do stu dwudziestu i więcej stopni Farenheita, woda w strumieniach jest tak zimna, jak gdyby płynęła z jaskiń lodowych, a dzieje się to tém, że zwykle łożysko nakryte jest zieloną kopułą utkaną z dzikiego chmielu, lianów, powojów tak gęsto, że promień słoneczny prawie wcale przez oną zasłonę nie przenika.

Są téż tam całe zielone jaskinie, tak wielkiego uroku, iż nieraz, gdym się w nie chronił przed upałem, zdawało mi się, że lada chwila zobaczę chorowód nagieli nimf lub dryad, bo w głowie nie mogło mi się pomieścić, ażeby te miejsca, tak cudne, miały być puste i milczące.

Chociaż nie były jednak zupełnie milczące, bo kapela pszczelna grała mi nad uszami bez przestanku. Wiedziałem małe żółtawe pszczołki i większe, tak zwane włoskie, czarno-prążkowane, jak siadając na kwiatach, to powojów, to wreszcie na żółtych kwiatkach bluszczów, zamiatały nogami słodki pył i obładowane odlatywały do ulów. Czasem zalatywał kolibr mający kształt i ruchy owadu, i zwisnawszy na skrzydłach nad pochylonym kielichem, zanurzał weń swój długi naksztalt igły dziobek. Za pszczołami ciągnęły pszczołojady, spore i złe ptaki, z szarym grzbietem i zielonawą piersią; przedrżeńnice kołysały się na prętach lianów, naśladując głosy ptaków i zwierząt; wreszcie cudne błękitne płaszcze i całe tysiące górskich kuropatw przychodziły pić wodę w strumieniu i zadzierać przytém głowy do góry, na wzór pijaków, którym napój bardzo smakuje.

Owóz więc pszczoły znajdują tu i wodę i dosyć pokarmu wszędzie, a to témbardziej, że przytém stoki gór pokryte są w ciągu całego roku mnóstwem najpyszniejszych kwiatów. Od upału zabezpieczają skwaterowie dobytek swój, stawiając ule pod cieniem czarnych dębów. W tych wszystkich doskonałych warunkach mnoży się też i rozrasta miododajna trzoda z niesłychaną szybkością. Zakupiwszy pięć lub sześć ulów, można dojść w ciągu kilku lat do ogromnej pasieki. Jakoż, nietylko sprzedaż miodu i wosku, ale głównie sprzedaż ulów, stanowi źródło dochodów skwaterskich. Kupują je farmerowie zamieszkałi na całej długości między górami i oceanem. Prawda, że trzeba te ule nieraz przenosić po jednemu na plecach, ale skwater nie lęka się żadnej pracy.

W ogóle jednak odleglejsi skwaterowie, zamieszkali po niedostępnych canionach, mają daleko więcej miodu niż pieniędzy, to jest mają go czasem dziesięć razy tyle, ile mogą sprzedać; ale téż z drugiej strony, potrzeby skwatera tak są ograniczone i tak mało odległe od potrzeb człowieka żyjącego dziko, że pieniądze wyłącznie prawie tylko na zakupno prochu i ołowiu przydać mu się mogą.

II.

Wracam do opowiadania osobistych moich wypadków.

Siedziałem tedy przed namiotem owéj pierwszej nocy przyjazdu, podziwiając w milczeniu ogromną przyrodę, gdy nagle z zadumy wyrwał mnie głos gospodarza dochodzący z głębi parowu. Oba z Neblungiem podnieśliśmy się i zeszli na dół. W parowie połyskiwało ognisko z drzew laurowych, Robinson zaś zajęty był pieczeniem, a raczéj wygrzebywaniem z popiołu udźca jeleniego, który upiekł na nasze przyjęcie, i którego pyszna woń napełniała powietrze. Reszta jelenia, a raczéj cały jelen, pozbawiony tylko uda, wisiał opodal na drzewie, a płomień ogniska odbijał się w jego szklanych otwartych oczach. Prócz tego, na węglach gotowała się w blaszaném naczyniu woda na „*japan thee*” (dżapan thi), czyli japońską herbatę, jakiej powszechnie używają ubożsi ludzie w Kalifornii. Gdy pieczeń była wyjęta z popiołu i z pod odkrojonej nożem spalonej powierzchni wy-

rzało różowe dymiące wewnątrz, zasiedliśmy do uczty. Była to prawdziwie homeryczna uczta; okrwawione bowiem platy mięsa braliśmy rękoma, rozkrawając je tylko z pomocą myśliwskich nożów, czyli tak zwanych: „*bowie-knives*” (boi naif), od których indyane przewali białych: „długie noże.” Przytém i otoczenie mogło przypominać przedhomerowe wąwozy Pindu lub Aety. Niedaleko nóg naszych płynął z szelestem po kamieniach potok; naokół ogromne złamy kamieni, o które poopieraliśmy się plecami; w środku ognisko rzucające krwawy blask na pobliskie dęby rosnące w rozpadlinach skalnych, a dalej złowroga mroczna głab’ puszczy.

Skwater, od czasu do czasu dorzucał suchych gałęzi laurowych, a wtedy w ognisku powstawał trzask, iskry sypały się złotym deszczem i biegly gasnąć w ciemnościach, a podsycony płomień buchał do góry i oświecał nasze twarze, nasze karabiny i nasze psy siedzące opodal i odprowadzające łakomemi oczyma każdy kawałek mięsa, który nieśliśmy do ust.

Chwilami zdawało mi się, że jestem na jakiejś romantycznej operze, w której sam śpiewam barytonową rolę alpejskiego rozbójnika. Zaczynało się téż istotnie dla mnie życie nowe, w którym z czasem rozmiłowałem się do tego stopnia, że jeśli przyjdzie mi później zamienić je na inne, uczynię to ze smutkiem i z niechęcią.

Księżyc świecił nad naszemi głowami tak, jakby chciał z własnej powieki wyskoczyć; promienie jego łamały się na szczytach drzew z odblaskiem ogniska; opodal szumiała puszcza; strumienie jęczały po kamieniach; z ciemności dochodziły głosy zwierząt: wszystko to było tak

piękne, romantyczne i malownicze, że mimowoli czuło się skrzydła przy ramionach, i żal robiło się młodych lat marnowanych na bruku miejskim, w małym kółku zajęć, spraw, a często wśród małych ludzi.

Z początku siedzieliśmy w milczeniu. Skwater z natury był małowówny; ja nie umiałem sobie dać rady z własnymi wrażeniami, gadatliwe zaś usta Neblunga, tak były zapchane jeleniną, że niecierpliwe słowa nie miały się którądy przedostać.

Uważałem jednak, że skwater spoglądał na nas z nietajoną radością. Jakoż zrozumiałem to, gdy skończywszy jeść, rzekł:

— Dwa miesiące nie widziałem już twarzy ludzkiej.

— Mówilem ci, Dżak — odparł wskazując na mnie Neblung — że dżentlemen pragnie zabawić tu parę tygodni. Dżentlemen jest podróżnikiem: jeździ po świecie, a co widzi, zaraz opisuje w „*Polish News-Papers*” (Gazecie Polskiej). Dżak! słyszysz? ja już jestem opisany w *News-Papers*. Dżak! raduje mnie to! Pilnuj dżentlemena, ażeby nie zaginął w tych górach, a i ty będziesz opisany. Dżak! będą o nas wiedzieć na drugiej półkuli.

Skwater mniej zdawał się być czułym na tak rożgłośną sławę, ale wyciągnął do mnie rękę, w której nawiasem mówiąc, dłoń moja skryła się jak mysz w pułapce, i począł dziękować mi, że wybrałem jego sadybę, jako środkowy punkt wycieczek. Odpowiedziałem na to, iż zbyt po europejsku, że i ja również cieszę się z poznania tak dzielnego dżentlemena, ale obawiam się, abym bytnością moją nie przyczynił mu kłopotów i ciężarów.

— Kłopotów i ciężarów! — zawołał śmiejąc się Neblung. — Dżak! słyszałeś o kłopotach i ciężarach?

Mówiliśmy z dżentlemenem o tém jeszcze w Landing. Mówiłem dżentlemenowi wyraźnie: ja znam Dżakę; Dżakowi zapłaty nawet proponować nie można, bo on raczej będzie to uważał za dobrodziejstwo.

— Zapłaty nie wziąłbym od nikogo — odparł na to skwatter — a co do przybycia twego, sir, nie mogę inaczej patrzeć na nie, jak na szczęśliwy dla mnie traf. Zaraz powiem dlaczego. Oto sprzykrzyło mi się już w namiocie. Zimą, w czasie deszczów, niezbyt to wygodnie, więc postanowiłem sobie wybudować dom. Wzniosłem już ściany prawie pod dach, ale robota to niemała. Nad każdą deską przychodzi mi po parę dni pracować. A przytém tu blisko niema innych drzew, jak po parę stóp średnicy, muszę więc dość daleko wyszukiwać pni cienkich. Pracuję po kilkanaście godzin dziennie, obok tego muszę jeszcze palić ogień, gotować dla siebie i dla psa, obrządzić moje kozy i konia, a co najgorsza chodzić na polowanie. Poprostu czasu mi brak, a jak nie idę na polowanie, nie mam co jeść. Mogę, nieruszając się z namiotu, strzelać kwels (kuropatwy), ale kwels wkrótce się przykrzą. Mam także zapasy suszonej jeleniny, ale i to nie lepsze. Jeśli więc sir zechcesz, jak to czynią wszyscy podróżnicy, polować, to nietylko czasu mi oszczędzisz, ale będziesz mnie jeszcze karmił świeżem mięsem.

— Zresztą, inna rzecz gościnność w mieście — przerwał Neblung — a inna w canionach. W mieście daję gościowi stancję, za którą mógłbym wziąć pieniądze, daję mu brekfest, lunch i obiad; to wszystko kosztuje, a tu?

gość to dwie ręce, i jeden karabin więcej, a przytém towarzystwo ludzkie coś warte. Dżak, jabym się tu wściekł, żyjąc tak samotnie. Jakim się to sposobem dzieje, Dżak, że ty się nie wściekniesz także?

— Przyzwyczailem się — odparł skwater — ale przecież czasem bywa ciężko, zwłaszcza jak przyjdzie pora dżdżysta i niema co robić. Wszakże, sir, zabawisz w górach aż do deszczów? — spytał zwracając się do mnie.

Odpowiedziałem że nie wiem, istotnie bowiem i wówczas nie wiedziałem, i teraz nie wiem, gdzie się będę za parę miesięcy obracał. Za rok będę może w Warszawie, a może w San-Pablo. Podróżomania jest jak wszystkie inne nałogi. Pierwszy krok najtrudniejszy, a potem popycha już jakaś dziwna siła, jakby Żyda Tułacza, coraz dalej i dalej.

Ale tymczasem ugoda ze skwaterem stanęła. Potwierdziliśmy ją jeszcze kilkakrotném uściśnieniem sobie ręki, przyczém za każdym uściskiem syknąłem, a następnie wzięliśmy się do picia owęj „*japan thee*,” naturalnie z miodem, nie z cukrem. Przypomniłem sobie, że we wjukach mego konia, obok rozmaitych innych gratów, znajdują się dwie małe baryłki, jedna z brandy, druga z winem. Przyniósłszy je do ogniska, zaprosiłem obu towarzyszy. Poobwijaliśmy się w koce, zapalili fajki i, to pykając z cybuszków, to popijając herbatę z brandy, leżeliśmy przy ognisku i gawędzili coraz weselój. Skwater wreszcie rzekł:

— Jutro świtaniem zaprowadzę was na jelenie.

— *All right!* — odpowiedzieliśmy oba.

Wówczas zaczął nas uczyć, jak należy się zachowywać. Lubo ludzi w canionach jest nadzwyczaj mało, zwierząt nie często bywa płoszony; przecież jelenie, antylopy i t. p. rogata czereda niezmiernie jest ostrożna. Tłómaczy się to tём, że prócz ludzi, polują na nią kuguary, rysie i żbiki. Napady takie zwykle odbywają się nad wodą: trzeba bowiem wiedzieć, że jeleń, wybrawszy raz sobie drogę wiodącą do źródła, schodzi już nią zawsze. Ścieżynkę taką łatwo poznać, ponieważ nietylko zarosła, mianowicie „czaporal” i „czamizal,” bywają na całej jęj długości porozrywane, ale nawet i w miejscach, gdzie te krzaki nie rosną, poobsuwany żwir i poobsuwane większe kamienie, odznaczają ją doskonale. Otóż, polując, trzeba upatrzeć ścieżkę, potem sięść świtanem w zarosłach po drugiej stronie strumienia i czekać póki zwierzę nie zbliży się na strzał. Polowania takie bywają nawet niebezpieczne, często bowiem dwunożny myśliwiec spotyka czworonożnego myśliwca, nader o swoje prawa zazdrosnego.

Skwater opowiadał kilka takich niebezpiecznych spotkań, w których nie wiedział czy sam polował, czy tём na niego polowano. I trudno było nie dawać tym opowiadaniom wiary, gdy rozmaite głosy dochodzące z lasu stanowiły niezaprzeczone ich prawdziwości dowody; raz zaś taki złowrogi ryk rozległ się w ciemnościach, że umilkł cały las, a i my z nim razem.

Skwater dorzucił wiązkę suchych laurów na ognisko.

— Przekleństwo na twój grzbiet i niech Bóg potępi twoją głowę!—rzekł po chwili.

— Blizko? — spytałem go, ukrywając z trudnością wrażenie i mimowoli sięgając ręką po karabin.

— Nie! Ze dwa lub trzy tysiące jardów—odparł— ale głos rozchodzi się nocą po skałach, jak gdyby to było blisko. Znam cię, piekielna!

— Cóżto za bydlę ryczy?

— *Silver lion* (puma). Biędny mój Ren!

Nalałem po raz trzeci „brandy” do herbaty Dżakowi, sobie i Neblungowi. Potém wypytywałem o dzieje pumy i Rena.

— *Do you see, Jack?* (Czy widzisz, Dżak?) — przerwał Neblung—jacy ci podróżnicy ciekawi. Wszystko to będzie opisane, Dżak! i twój Ren będzie opisany w *News-Papers!*

— *You are a mocking-bird* (ty jesteś przedrzeźniacz) Maks — odrzekł skwater — czyniąc tém przewziśkiem przytyk do gadatliwości Neblunga. Mówię: biędny mój Ren, i nie pocieszyłbym się, chociażby „Herald” umieścił o nim artykuł. Pies ten, sir — rzekł zwracając się do mnie—przyszedł ze mną tu aż z Luizyany, zkąd jestem rodem. Był to zacny pies: odważny i silny! Dwa tygodnie temu, ta piekielna, która dopiero co ryczała, sprzykrzywszy sobie jelenie mięso, podeszła nocą do koralla, w którym trzymam moje kozy. Ten hudlum (łobuz, niepoń), (mówił ukazując na wielkiego brytana, siedzącego przy ogniu), zwietrzywszy ją, schował się w mech pod namiot, Ren zaś choć mniejszy, rzucił się ku niej jak szalony. Porwałem zaraz za karabin, ale nim wybiegłem z namiotu, usłyszałem jój ryk i krótkie skowyczenie Rena. Strzeliłem w powietrze na strach, potém biegłem mu

na ratunek z rewolwerem i z „bowie-knife,” ale już było zapóźno. Puma zemknęła. Ren zaś miał wydarte wnętrzności i zgruchotany grzbiet: nogi mu tylko jeszcze drgały...

I nie wiem, czy herbata z wódką zaostrzyła żal skwatera za Renem, czy też kochał nieboszczyka tak głęboko, ale nagle urwał opowiadanie, zacisnął pięście i jął powtarzać szybko, jakoby w napadzie szalonego gniewu:

— *Goddam you! goddam you! goddam!*...

— Uspokój się, Dżak! — rzekł Neblung.

Jakoż Dżak uspokoił się wkrótce; ale ten milczący i poważny zwykle człowiek, rozgadawszy się raz, rozplynął się w oceanie różnorodnych opowiadań. Bądź, że trochę wypił, bądź, że tak dawno nie widząc ludzi, milczał poprzednio przez całe miesiące, dziwił teraz nawet Maxa ową powodzią słów, tak rzadko trafiającą się u skwatera. Opowiadał, że rozmiłował się w tém swoim życiu skwaterskiem, i że nie porzuciłby go za nic na świecie, pomimo wszystkich jego kłopotów. Do największych kłopotów zaliczał szkody, jakie dzikie zwierzęta czyniły mu w jego dobytku. Niedźwiadki czerwone zachodziły nieraz nocą do jego ulów, ale prawdziwe spustoszenie czyniły mu małe zwierzątka, które nazywał: „*raco-
ons*,” co, zdaje mi się, że po polsku znaczy szopy; dalej, chciał trzymać kury, ale te pierwszej zaraz nocy padły ofiarą skunksów, gatunku kun-tchórzów, których futra znane są zresztą dobrze u nas; miał parę świń, podusiły mu je rysie ostrowidze: na koniec kuguary i kujoty zachodziły nocami do korallu, w którym trzymał kozy angorskie. „W dzień, mówił, wszystko to tak się pochowa, że

ani śladu tego w górach, ale nocą dopiero każde zaczyna swój „business.” Czasem dwa i trzy razy na noc przychodzi mi brać za karabin, dlatego też śpiam w dzień po parę godzin.

Pytałem się, czy też osobiste jego bezpieczeństwo często bywało zagrożone.

— Puma i szary niedźwiedź — opowiadał — nigdy prawie nie rzucają się na człowieka, chyba postrzelone lub zaskoczone z nienacka; kuguar rzuca się w takim razie, ze strachu. Ale na polowaniach z zasadzki, przy których trzeba sprawiać się cicho, często się zdarzy spotkać nagle a niespodzianie jedną z tych bestyj; wówczas przytomność, silna ręka i dobry „bowie-knife,” bywa jedynym ratunkiem.

— A karabin?—spytałem.

— Często niema czasu strzelać.

— Jednakże z „bowie-knife” tylko, trudno wyjść bez szwanku.

— Trudno! — odrzekł krótko, i odwinąwszy rękaw od koszuli, pokazał mi niżej łokcia mnóstwo chropowatych białawych piętn i szwów. Znać było, że w swoim czasie, mięsca w tym miejscu były potargane w straszny sposób.

— To już tu, w Kalifornii?—spytałem.

— Nie — odpowiedział—to jeszcze w Texas; to jaguar, który jest niebezpieczniejszy i od pumy i od czerwonego niedźwiedzia.

Wzmianka ta o Texasie, naprowadziła go na wspomnienia odległej przeszłości.

Był on rodem z Luizyany, w swoim czasie był farmerem dość zamożnym; ale gdy wybuchła wojna, porzucił gospodarkę i wraz z szesnastoletnim synem zaciągnął się do armii południowej. Następnie zaczęły go trapić nieszczęścia: syn poległ, on zaś sam dostał się w ręce północnym. Po czasie niewoli wrócił do domu, ale żona tymczasem, zbankrutowawszy na farmie, musiała ją opuścić i osiadła w małym miasteczku Berwick, nad jeziorem Chestr-Machee, w południowej Luizyanie. Berwick, położone w okolicy błotnistej i wilgotnej, klimat ma prawie jeszcze niezdrowszy niż New-Orleans; wkrótce zatem tak on, jak i żona zapadli na żółtą febrę. Wówczas, skupiwszy za resztki fortuny trochę wozów i bydła, udał się do suchego Texas, ale po drodze żona mu zmarła, karawanę napadli meksykanie i zabrali wszystko: on zaś został na stepie, prawie bez ratunku.

Nie mając co lepszego do roboty, przyłączył się do skwaterów, którzy trzebią lasy na Brazos, Colorado i Red-River. Kilka lat żył tém życiem; zebrawszy jednak trochę pieniędzy, postanowił je porzucić i udał się do Kalifornii. Przybył tam znowu prawie bez grosza, bo po drodze wydał wszystkie pieniądze; ale na szczęście w Landing, a raczej w Anaheim spotkał takiego „good boy,” jak Neblung, który pożyczył mu trochę pieniędzy, i pomógł do założenia skwaterskiego gospodarstwa w górach. „Odtąd żyję tu, kończył, i muszę przyznać, że ani Texas, ani Luizyana nie mogą się porównać z Kalifornią.”

Przechodził więc i ten człowiek burze w życiu. Wiatr pomiatał nim jak liściem, aż nakoniec rzucił go

w to leśne zacisze, w którym nie wiem już, czy praca była większa czy spokój. Czasem samotnik ten po parę miesięcy nie widywał twarzy ludzkiej, tak zresztą jak i inni skwaterowie. W czytaniu nie szukał rozrywki, bo jakkolwiek wykształcony na wzór innych amerykańców, nie był jednakże z książkami obyty. Było to może dla niego i lepiej, rozwinięte bowiem życie wewnętrzne, a z niemi rozpamiętywania i myśl, skłonna do zagłębiania się w zagadki wszechbytu, doprowadziłyby go zapewne do drugiego bankructwa, stokroć dotkliwszego niż poprzednie. Filozof, na jego miejscu byłby sobie powtarzał: oto zamknąłem rachunki z życiem; zawiąłem po burzy do portu: jestem spokojny. I byłbym sobie powtarzał to dopóty, dopóki by nie zmierzył sobie téj myśli, nie doszedł do nudy, zniechęcenia i przekonania, że wszystko jest czczeniem i marnem i niewartem zachodu. A już wtedy o pracy nie byłoby co i mówić. Ale ten prosty człowiek nie zapładniał sam siebie filozoficzną czczością: nie rozumował! Rankiem brał siekierę i szedł w puszcę, potem z karabinem czołgał się w górzystych gardzielach, potem gotował strawę, opatrywał dobytek; nie miał może samowiedzy swego pokoju, ale owe codzienne sprawy jego żywota, wydawały mu się dość ważnemi, aby warto było dla nich żyć. W ten sposób płynął mu dzień za dniem.

Był to człowiek trzeźwy, jak wszyscy amerykanie, jak wreszcie wszyscy ludzie, należący do rass nieprzeżytych. Samo życie mu wystarczało, refleksye życiowe w głowie mu nie powstały. On nawet tego życia samotniczego sam nie wybrał, ale rzucił się w nie z musu,

a pokochał je dopiero później. Pod jednym tylko względem samotność wycisnęła nań filozoficzną pieczęć: oto niewiele sobie cenił pieniądze.

Ale cecha to wspólna wszystkim skwaterom. Istotnie w górach, na stepach i w ogóle w pustyni, gdy sięgniesz ręką do kieszeni i wyciągniesz z niej parę białych lub żółtych krążków, nie możesz powstrzymać uśmiechu i pewnego uczucia pogardy dla téj rzeczy, którą mimowoli nauczyłeś się prawie czcić w miastach, a która tam na razie nie warta naboju prochu lub kawałka suszonego mięsa.

Drugą cechą skwatera wspólną samotnikom, była jego pobożność. Gdy wreszcie ognisko poczęło dogasać, a sen ołowiem spadał nam na powieki, on poszedł mówić pacierz, a następnie postanowiliśmy udać się na spoczynek. Skwater chciał koniecznie ustąpić mi swój namiot, który poprostu był kawałkiem płótna rozwieszonego na gałęziach i pod którym było jedno tylko miejsce; ale ja wolałem nocować razem z Neblungiem w zaczęłym domku. Gospodarz przyniósł nam kilka wiązek mchu, ja zapaliłem latarkę, znajdującą się między memi rzeczami, i poszliśmy ślać sobie łóżka. Na podłodze domku pełno było heblowin, trocin i rozmaitych kawałków drzewa. Powiedziałem Maxowi, żeby odgarnął to wszystko na jedną stronę i zostawiwszy mu latarkę, poszedłem do juków po drugi koc, noce bowiem nad rankiem bywają chłodne. Z juków zabrałem wszystkie zapasy, które w nocy mogły być zjedzone przez kujony lub szopy; następnie spojrzałem jeszcze na konie, czy się nie uplątały w lasso, gwiżdżałem na psa i wróciłem do domku.

Przyszedłszy zastałem Maxa powtarzającego: „*god-dam! goddam!*” i tłukącego kolbą od karabina, skorpiona. W heblowinach znalazł ich kilka i wyrzucił przeze drzwi, ale ostatni zgniewał go swoją wielkością. Wkrótce nadszedł i skwater, a ujrzawszy co się dzieje, rzekł spokojnie:

— O, u mnie pod namiotem są także!

— A mnie aż mrowie przeszło: a może i w tym mchu są?—pytam pokazując na wiązki.

— A może!—odpowiada skwater.

— A jak który ugryzie?

— E, nie! nie ugryzie!

Jakoż istotnie nie wiem, czy to robactwo mniej tu jest złośliwe niż gdzieindziej, czy też mniej jadowite, ale wiem, że tu nie robią sobie z niemi zachodów.

Ja jednak wyrzuciłem resztę heblowin i przetrząsnąłem starannie mech.

— Zachodzą tu i grzechotniki—rzekł nam na dobranoc skwater—i dlatego położyłbym naokół domu lasso, ale ponieważ macie ze sobą borsuka, więc niema niebezpieczeństwa.

Jakoż tak i było. Skwaterowie, gdy przyjdzie nocować im pod gołym niebem, w miejscach gdzie jest dużo węzów, rozciągają na ziemi w krąg włosiane lasso, przez które grzechotnik nie może się przeczołgać. Ale obecność mego borsuka czyniła zbyteczną tę ostrożność, zwierzętom tym bowiem, ukąszenie węzów, choćby najja-dowitszych nie szkodzi. Zresztą nieszczęśliwe te płazy prześladowane są przez wszystko co żyje, z niesłychaną zaciętością.

Nakoniec skwater odszedł, a my położyliśmy się spać. Max usnął odrazu, ja zaś nie mogłem. Leżąc na wznak, patrzyłem w gwiazdy, dachu bowiem na domu jeszcze nie było, i wsłuchiwałem się z niejaką obawą w głosy w puszczy. Nie jestem większym tchórzem od każdego przeciętnego mieszkańca brzegów Wisły lub Niemna, ale ta noc, dzika okolica i beczenie dochodzące z lasu, rozstroily mi nerwy. Ktoby się chciał ironicznie uśmiechać na to szczere wyznanie, niech tu przyjedzie. Nie bałem się wreszcie wielkich zwierząt, ale co chwila zdawało mi się np. że to mech porusza się podemną: zapewne skorpion; to zwów, że resztki heblowin jakoś podejrzanie wyglądają po kątach: zapewne grzechotnik. Ciągle coś podobnego! A przytém co do samych głosów nocnych: noc i cisza zbliżają je. Zdaje ci się, że te beki, miauczenia i t. p., brzmią nie dalej, jak o jakie dwadzieścia kroków; czasem słyszysz je zaraz za ścianą, czasem tuż nad uszami, a wtedy mimowoli sięgasz po karabin. Wreszcie przychodzą nerwowe rozumowania. „Dlaczegoż, (zadawałem sobie pytanie, wpatrując się w czarny skraj ściany) dlaczegoż nie miałbym za chwilę ujrzeć na tym zrębie, dwojga świecących w ciemności oczu, należących np. do pumy? Może się to przez tysiąc nocy nie zdarzyć, a jednéj może się zdarzyć. Kto mi zaręcza, czy to nie ta jedna?

Ale potem przypomniałem sobie, że puma, pierwsza nigdy nie zaczepia. „A więc i ja jój nie będę zaczepiał, niech sobie żyje!” Rozmyślając w ten sposób, czułem się tak pokojowo usposobiony do całego rodzaju pum,

że chwilami zdalo mi się, iż jestem ich serdecznym sprzymierzeńcem.

Przytém pocieszało mnie to, że Max śpi zaraz przy mnie, i że niema powodów, dla których pierwsze lepsze drapieżne stworzenie miałoby zjeść mnie, nie jego. Ten brak egoizmu unosił mnie tak daleko, że wystawiałem sobie najprzód, jakbym go żałował w podobnym wypadku.

Ale pominąwszy żarty, sam nie wiem dlaczego najczęściej rozstrajały mnie te głosy, co do których nie byłem pewny, jakie zwierzęta je wydają. Jeden z tych głosów wołał ustawicznie na pobliskich skalach: „a ha ha!” byłem prawie pewny, że to jakiś ptak, zatem nie niebezpiecznego, a jednak to: „a ha ha!” dokuczało mi najbardziej. Nazajutrz dowiedziałem się istotnie, że krzyczą w ten sposób we dnie i w nocy, wielkie kuropatwy górskie, zwane przez skwaterów: „*mountain quels*.”

Nakoniec, kto nie słyszał nigdy skomlenia kujotów, ten nie zdoła nawet pojąć, ile grobowych oddźwięków, ile jakiegoś niesłychanie ponurego smutku i żaloby brzmi w tych głosach. Nawet skwaterowie, przyzwyczajeni do wszelkich wrażeń pustyni, nie mogą się powstrzymać od klątw, słysząc te jak gdyby zagrobowe wołania i jęki. Ja również byłem już z niemi obznajmiony, bo słyszałem je wielokrotnie w Landing, a jednak przechodził mnie dreszcz od stóp do głowy.

Chwilami cały ten koncert, jakby pod uderzeniem dyrektorskiej pałeczki, milknął nagle, psy nawet przestawały ujadać, a ciszę nocną mąciło tylko chrapanie Maxa. W takich przestankach próbowałem usnąć. Jakoż zmęczenie poczynąło brać powoli górę. Gwiazdy nad głową

począły mi się mieszać, drgać i jak gdyby podskakiwać, słuch tępiał, pojęcia, myśli i obrazy zlewały się ze sobą w sennym beładzie: wreszcie usnąłem.

Była może północ gdym usnął, a o piątą zbudziło mnie gwałtowne szczekanie psa. Na świetle już szarzało: gwiazdy bladły. W obawie, czy jaki niebezpieczny zwierz nie zbliżył się do koni, wziąłem karabin i wyszedłem zobaczyć co się dzieje. Rankiem nerwy bywają spokojne, przytęm spałem wprawdzie krótko, ale jak kamień, zatem i wypocząłem wybornie; pełen więc ducha szedłem ku koniom. Psy czyniły ciągle straszny harmider, ale konie leżały spokojnie pod drzewami; zawróciłem tedy do domu, gdy nagle głos jakiś zawołał z pod drzewa:

— *Good day! sir!*

Był to mój skwatter, który również wyszedł spojrzeć na konie i pasiekę.

— Dzień dobry! — odpowiedziałem zmierzając ku drzwiom.

— Sir, jeśli chcemy iść na jelenie, to czas.

— *All right!* Czy obudzimy Maxa?

— Niech śpi. Jemu trudno dosiedzieć spokojnie na zasadzce.

Chciało mi się jeszcze spać kannibalsko, ale wstyd mi było opuścić dla snu polowanie; opatrzyłem więc karabin, wziąłem torbę z ładunkami, następnie napiliśmy się wódki, zjedli po kawałku wczorajszej pieczeni i ruszyli w drogę.

W tych krajach, brzask ranny, a następnie świt,

trwa krócej niż u nas; trzeba się więc było spieszyć, aby stanąć na miejscu, nim zupełnie rozednieje. Szliśmy w górę strumienia po niegodziwej drodze, bo zawalonej wielkimi kamieniami, i prawie pociemku, gdyż liany rosnące na wierzchu ścian, nie dopuszczały światła. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił aby nie upaść. Nie raz woda strumienia zajmowała całą przestrzeń między ścianami, a wówczas brnęliśmy środkiem. W pierwszej przerwie skalnej, przez którą do naszego strumienia wpadał inny mniejszy, mignął nam szarawy wydłużony cień, zapewne dzikiego kota. Chcąc okazać moją sprawność, zmierzyłem się natychmiast, ale skwater, uderzywszy dłonią w lufę, podbił mi karabin w chwili prawie, gdy miałem strzelić. Później wytłómaczył mi, że wystrzał dany niedaleko już stanowiska, mógłby zepsuć całe łowy.

Przez drogę nauczył mnie jeszcze, jak się mam zachowywać, polecając szczególniej największą ostrożność, największą cierpliwość i niespieszenie się ze strzałem, choćby mi się zdawało, że zwierz dojrzał mnie już i pierzcha. Zapisywałem sobie to wszystko w pamięci, a tymczasem wyszliśmy na miejsce otwarsze. Zamiast ścian skalnych, z jednej strony strumienia wznosiła się dość stromo góra, której brzeg schodził w wodę, z drugiej zaś szła mała równinka, porośła zupełnie laurami. Usadowiliśmy się za dwoma najgęstszymi krzakami, z tej strony strumienia, a naprzeciwko góry. Teraz trzeba było prawie tamować oddech w piersiach. Robiło się coraz widniej. Wreszcie pierwsze promienie zorzy powlokły porośnięty *czaporalem* wierzch góry, różowym szlaczkiem. Ujrzałem wtedy wyraźnie osyp żwiru i kamieni, cią-

gnący się przez całą długość góry od wierzchnich zarośli, aż do strumienia. Nie mogło mi się jednak w głowie pomieścić, aby zwierzę mogło zejść z tak stromej pochyłości, nie spadłszy na głowę w dół. Wkrótce jednak przekonałem się o możliwości, gdy nagle ujrzałem wysuwającą się z czaporalu głowę jelenia. Serce zabiło mi młotem, i jak mogłem najwolniej, podniosłem kolbę karabinu do twarzy. Nie czas jednak jeszcze było strzelać, a przystępowałem pokazać skwaterowi, że posiadam ten jeden z najcenniejszych przymiotów myśliwca: cierpliwość. Dzieliło mnie od owiej głowy wystającej z zarośli, ze trzy-sta jardów, ale powietrze tak było przepelnione różowemi blaskami i tak przezroczyste, że widziałem ją jak na dłoni. I wtedy dopiero nabrałem pojęcia o tej niesłychanej czujności, jaką jelenie i antylopy zachowują, przy zbliżaniu się do źródeł. Oczy zwierzęcia były otwarte szeroko, uszy nastawione, nozdrza poruszały się szybko, badając wonie poranne.

Myślałem że już nigdy nie wyjdzie z czaporalu. Upłynęło może dziesięć minut, a jelen stał jeszcze, obracając głowę na wszystkie strony. Nareszcie za głowę okazała się szyja, za szyją piersi, potem znów stanął nieruchomo. Nakoniec jednak ujrzałem to wspaniałe zwierzę w całej jego piękności.

Był to samiec, mający około czterech stóp wysokości, z dużą głową, wypukłemi oczyma i rozsochatemi rogami, które, podnosząc głowę, zakładał na grzbiet. Skóra jego była jednostajnego płowego koloru, nie tak ciemna jak naszych sarn, ale również porośnięta pod brzuchem białą siercią; nogi cienkie i wysokie, a tylne prawie

jeszcze wyższe od przednich. Wynurzywszy się całkowicie, przez chwilę jeszcze łowił uszyna odgłosy, a nozdrzami wonie; наконец: żwir i małe kamienie poczęły z szelestem staczać się na dół. Zstępował.

Kto z doświadczonych myśliwych pamięta, jakich wzruszeń doznawał na widok wychodzącego na strzał grubego zwierza, ten rozumie, jakich musiałem doznawać ja, który byłem wówczas nowicuszem w myśliwskim zawodzie. Strzelałem przez parę miesięcy ptastwo wodne w Sebastopolu nad Kosumnes, kuropatwy i zające w Anaheim, borsuki koło Orenge, kujoty i ptastwo morskie w Landing, ale taką grubą sztukę, przenoszącą prawie dwukrotnie naszą sarnę, przyszło mi pierwszy raz mieć przed sobą. A tymczasem żwir i kamienie z dziwnie monotonną jednostajnością spadały i spadały na dół: zwierz zatrzymywał się co krok. Wietrzył, słuchał, patrzył. Upłynęło może z pół godziny, a jeszcze nie był i na połowie drogi: nagle zwrócił się i skoczył w tył, jakby niespodzianie spłoszony.

Wytrzymałem. Skwater nie napróżno ostrzegał mnie, że jelenie używają tego manewru, dla wywabienia z zasadzki drapieżników, mogących czyhać przy wodzie. Jakoż po chwili zwierz zaczął zstępować znowu, i znowu usłyszałem spadający żwir i kamienie; ale wszystko to odbywało się wcale nie prędej, jak poprzednio. Dawno już cierpliwość moja nie była na tak wielką próbę wystawioną. Ręka mdlała mi od trzymania karabina: serce biło... Yardów pięćdziesiąt! czas już! szepcze niecierpliwość. Yardów czterdzieści... trzydzieści, sam skwater

musi się tam już dziwić, że nie strzelam! Yardów dwadzieścia pięć! nie mogę dłużej: pociągnąłem za cyngiel!

Huk wstrząsnął echem w skałach, niby wystrzał armatni. Trafiony stożkową kulą, zwierz stoczył się jak kamień na dno strumienia.

All right!—rzekł skwater.

IX.

Szkice amerykańskie.

Z puszczy.

I.

Rozpoczęło się więc dla mnie w *kanionie* górskim życie leśne, napozór jednostajne, a jednak nie pozbawione wrażeń. Wstawałem codziennie, gdy na niebie było jeszcze szaro i schodziłem do wąwozu, w którym zwykle zastawałem już rozniecone ognisko, i skwatera gotującego śniadanie. Przy śniadaniu, wątku do rozmowy dostarczyły nam wypadki nocy ubiegłej. Więc czasem zdarzały się szkody, wyrządzone przez szopy w pasiece; czasem znajdowaliśmy ślady jakich większych zwierząt w pobliżu, a wtedy układaliśmy na nie polowanie i zasadzki; to znów rozmawialiśmy o zbliżającej się porze dżdżystej, i potrzebie porobienia tych zapasów, które nie mogły być porobione gdzieindziej, jak w mieście, a które należało porobić wcześniej, albowiem w czasie wezbrania potoków i Santa-

Ana-River, drogi między miastem a canionami są poprzecinane.

Po śniadaniu kończącem się zawsze przed wschodem słońca, skwater chwytał za topór i zabierał się do budowy chaty, ja zaś zarzucałem na plecy karabin i udawałem się ku jelenim ścieżkom. Bywały dnie, że wracałem z próżnymi rękoma, co zdarzało się zwłaszcza wówczas, gdy nie zachowałem należytej ostrożności; częściej jednak przynosiłem to antylope, to koziorożca. Mięso tych zwierząt krajaliśmy na cienkie płatki i wędziliśmy w dymie, lub też porozwieszawszy na sznurze, suszyliśmy je na słońcu. O godzinie dziesiątej kładliśmy się obaj koło potoku na posłaniu z mchów, i do godziny dwunastej odpowiadaliśmy siestę; o tej porze dnia bowiem jest tak gorąco, że nawet w zimie, ani pracować, ani chodzić po górach niepodobna. Po południu, gdy wiatr, wiejący stale co dzień od Oceanu Spokojnego, ochłodził powietrze, brałem znów strzelbę, ale już nie karabin, jeno zwyczajną do szrutu dwururkę, i szedłem strzelać ptastwo.

Zabijałem bażanty, przesiadujące zwyczajnie w kaktusach, i uciekające za zbliżeniem się strzelca piechotę, jakoteż i wielkie górskie kuropatwy, których miliony żyją na stokach i przy strumieniach. Podczas tych wycieczek spotykałem dość często grzechotniki. Płazy te lubią wyczołgiwać się na dobrze oświecone kamienie i wygrzewać się na słońcu. Zwykle uciekały ujrawszy mnie zdaleka, niekiedy jednak przychodziło mi staczać walkę. Pewnego razu wyszedłszy świtanem, spostrzegłem na samej drodze węża. Myślałem, że płaz ustąpi mi z drogi, jak się to zresztą zwykle zdarza; ale on wyprostował

się do wpół ciała, i zagiąwszy głowę, poczał syczeć. Mogłem mu się wtedy dobrze przypatrzeć. Sam koniec ogona jego podniesiony w górę, poruszał się na prawo i na lewo, tak szybko, że pojedyncze drgania grzechotek, zlewały się w jeden dosyć wysoki ton. Wąż widocznie musiał być albo czémś rozdrażniony, albo najedzony do tego stopnia, że mu się nie chciało uciekać. Gdy jednak zachodziłem mu z boków, prostował się coraz bardziej, i w miarę moich ruchów obracał głowę. Trwało to wszystko dość długo, albowiem nie widziałem w tém dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, gdyż w ostatecznym razie łatwo mogłem uciec. Nakoniec, uciałem za pomocą: „*bowie knife*,” długi pręt laurowy, i ogołociwszy go z liści, przystąpiłem bliżej. Wąż stanął wówczas jak świeca, i już chciał rzucić się na mnie, gdy uderzenie pręta zabiło go na miejscu.

Odciąwszy mu ogon, naliczyłem siedmnaście dzwonek, co znaczyło, że płaz miał siedmnaście lat; zatém stary był i niebezpieczny. Od owój pory zebrałem już bardzo piękną kolekcję ogonów, nie licząc bowiem zdobytych osobiście, dostałem ich przeszło dwadzieścia od skwaterów i indyan. Największe z nich dochodzą do jedenastu grzechotek—choć często zdarzają się węże daleko starsze. W San-Francisco np. w Woodwardsgarden widziałem węża o czterdziestu dzwonekach w ogonie.

Wracając do popołudniowych polowań na ptastwo—łupy z nich bywały prawie zawsze dziwnie obfite. Strzelając po całych dniach od rana do wieczora, a czasem nawet i po księżycu, nabierałem coraz większej wprawy. Pomagało mi przytém w czynieniu owych postępów w sztuce

ce myśliwskiej, dziwnie szybkie doskonalenie się zmysłów, wzroku i słuchu. Były wprawdzie wyborne potemu warunki higieniczne. W Warszawie pisywałem czasem po nocach do godziny trzeciej i czwartej rano; tu chodziłem spać o zachodzie słońca — wstawałem o świcie. Ale główna przyczyna owego doskonalenia się zmysłów, leżała w samym tém życiu dzikiém i leśném. Konieczność ciągłego badania wzrokiem okolicy, wpatrywanie się w gęstwiny leśne, w mroczne rozpadliny skał; natężona uwaga i dokładność, z jaką to czynić należy: oto prawdziwa gimnastyka, z pomocą której zmysł po kilku miesiącach wzmacnia się i wyostrza jak brzytwa.

Jestto rzecz wprawy. Toż samo należy rozumieć i o słuchu. W górach, o ile noce bywają hałaśliwe, o tyle w dzień, zwłaszcza w godziny upału, w których milknie nawet i ptastwo, puszcza jest tak cicha jak grób. Słuch przyzwyczajony do téj ciszy nie zmaconej ani hałasem i gwarem ludzkim, ani głosami stworzeń, staje się w końcu tak delikatny i wrażliwy, jak słuch więźnia pędzącego życie w milczącej celi. Nasłuchiwanie rozważne na polowaniach i samotność, ćwiczą go jeszcze bardziej. Dochodzisz w końcu do tego, że według słów Mickiewicza, słyszysz: „jako się motyl kołysze na trawie, jako wąż ślizką pierśią dotyka się ziola.” Nieraz, gdym siedział i pisał w zaczętej chacie, a Dżak pracował o kilkaset jardów dalej w parowie, słyszałem jak mówił do psa, a słyszałem z taką dokładnością, że mogłem powtórzyć każde słowo. Widziałem również, kiedy wracał do domu, a kiedy odchodził dalej w puszcę. Pomagała zapewne do tego i naturalna akustyka skał, która sprawia, że wystrzał ka-

rabinowy, odrzucany przez jedną skałę drugiej, huczy tu jak grzmot, i powtarza się kilkakrotném echem, nim wrzście rozbity o złamy, wyrwie się z parowów i uleci na bory i lasy.

Owóz więc strzelanina zabierała mi większą część dnia, ale do zwykłych zajęć moich należało i pisanie. Jakaś nieprzewyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem, i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu, i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkiem po życiu w mieście i niby początkiem drugiej młodości, zanim minęła pierwsza.

Łatwiej jednak było chcieć pisać, niż przywieść ono życzenie do skutku. Pomijając, że zeszytniałe i pokaleczone częstokroć o skały moje palce, nie chciały utrzymać pióra—były i inne trudności. Przybory do pisania wożę zawsze ze sobą, miałem je tedy i wówczas w jukach; ale zato Dżak nie miał ani stołu, ani krzesła, ani żadnych podobnych rzeczy, które nam wydają się czémś niezbędném, a na które skwaterowie patrzą, jako na zbytko- wne i niepotrzebne zniewieściałego życia wymysły. Dżak siadał na kamieniu w parowie, jadał na kamieniu w parowie, a na noc kładł się na mchu pod namiotem. Prawdopodobném jest, że gdyby nawet i miał krzesła, nie używałby ich nigdy. Mówił wprawdzie, że wykończywszy dom, pragnie się urządzać inaczej, ale nie zaręczam, czy w tych zamiarach stoły i stołki grały jakąś rolę.

Musiałem więc pomyśleć o urządzeniu sobie wygodnej pracowni, ile że niewygodna nie pozwala zebrać my-

śli, skupić się i oddać wyłącznie pisaniu. Z próżnego szafkowego ula udało mi się, z pomocą tylko siekiery, urządzić pyszny stół, który miał nawet i szufladę chroniącą papier od zamoknięcia w czasie rosy nocnej, z robotą zaś krzeseł poszedłem za wzorem meksykańów. Jeszcze mieszkając w Anaheim, zwiedzałem tak zwane estanszye czyli osady pasterskie. Osady takie stoją na gołym stepie, składają się zaś z szałasów, byle jak skleconego z desek, a często i bez dachu—i z ogromnego ogrodzenia, czyli korallu, mogącego w sobie pomieścić kilkaset sztuk bydła, które dniem pasie się w stepie. Meksykanie i metysowie, zamieszkali w osadach, żyją prawie dziko. W dzień hulają konno za bydłem po stepach, wieczorem siedzą w szałasie w okół ogniska z łodyg kukurydzowych, i grają w karty, klóć się przytém, bijąc i pijąc. Stołów i stołków nie posiadają zarówno, jak i skwaterowie, całe zaś umeblowanie szałasów składa się z czerepów wołowych, poustawianych pod ścianami. Wieczorem wakerosi stawiają je koło ogniska i siadają między rogami. Tak uczyniłem i ja. Wynałazłszy w parowie kilka szkieletów wołowych, wybrałem największy czerep i przyniosłem go do domu; poczem przywiązawszy wiązkę mchu między rogami, miałem krzesło co się nazywa, na którym mogłem rozpierać się, jak Voltaire w swoim fotelu.

Od tego czasu zacząłem pisywać prawie codziennie, i nim pewien wypadek, o którym wspomnę później, oderwał mnie od pracy, wykończyłem te wszystkie rzeczy, które wam posłałem. Tymczasem jednak spadło na mnie nowe zajęcie. Dżak Harryson, czyli mój Robinson, budował dom już parę miesięcy, a było rzeczą arcyprawdo-

podobną, że nim wykończy dach i zaciągnie go na ściany, upłynie jeszcze czas niemały.

Byłoby to dla mnie wszystko jedno, gdyby nie to, że noce w miarę zbliżania się jesieni, stawały się coraz chłodniejsze, nad ranem zaś padała tak obfita rosa, że wierzchni gruby koc, którym się okrywałem, bywał przemoczony jakby po dość ulewnym deszczu. Zaczęło mi to szkodzić, jako nie przywykłem do sypiania pod gołym niebem, a szkodziło témbardziej, że w dzień upały dochodziły do stu i więcej stopni Farenheita. Dżak ofiarował mi swój namiot, ale nie chciałem go przyjąć, raz że nie chciałem zabierać mu miejsca, a powtóre że namiot ten był tylko kawałkiem podziurawionego płótna, rozwieszonego na patykach, i niedającego prawie żadnej ochrony. Pomyślałem zatem, że najlepiej będzie pomagać Dżakowi w budowie dachu; jakoż od téj pory echo powtarzało codziennie uderzenia dwóch toporów. Robota poczęła postępować bez porównania szybciej. Nie umiałem wprowadzić nigdy ciesiołki, i do téj pory nié mam o niéj dobrego wyobrażenia, ale pomoc dwóch choćby nieumiejętnych, choćby tylko siłę przedstawiających rąk, ma w tego rodzaju pracach nieoszacowaną wartość. Poprzednio np., Dżak musiał nosić o kilka mil angielskich po jednéj cienkiej belce, obecnie nosiliśmy po dwie, a nawet i po trzy, zwiąawszy je sznurami. Wpadłem na myśl zaprzęgnięcia do cięższych belek mego mustanga, ale okazało się to niepraktyczne, albowiem jedyną drogą prowadzącą w głąb puszczy, było łożysko potoku, miejscami tak zavalone kamieniami, a gdzieindziej znów tak głębokie, że nietylko

koniowi, ale i człowiekowi groziło co chwila niebezpieczeństwo upadku. Nabyłem tego konia od Neblunga za ośm dolarów, co stanowiło dość wysoką cenę, od indyan bowiem i od metysów można, z pomocą zwłaszcza szklanki wódki, kupić i za pięć. Ale Max wziął go z sobą w góry wcale nie na sprzedaż, tylko z grzeczności dla mnie, i dlatego, aby wracając z gór, mógł zabrać do Landing towary zakupione w Anaheim. Tymczasem, w chwili odjazdu Maxa, napałem się kupić owego podjezdka. Maxowi nie bardzo było to na rękę, ale wreszcie wyrachował sobie, że pod towary może nająć innego mustanga, bądź w Anaheim, bądź w pierwszej lepszej farmie—i ugoda przyszła do skutku.

Pokazało się jednak później, że nie zrobiłem zbyt korzystnego nabytku. Był to wprawdzie młody, bo trzyletni koń, dereszowatęj maści, dość rosły i silny, ale jak większa część mustangów, dziki i do wysokiego stopnia złośliwy. Przy kulbakach meksykańskich, wyłącznie używanych w Kalifornii, a bogdaj i w całej Ameryce, ogromne drewniane strzemiona całkiem pokryte bywają skórą, chroniącą nogi jeźdźca przed zębami konia. Jednakże, jak tylko jeździec, zapomniawszy się choć na chwilę, popuści cugle musztuka, natychmiast stepowy biegun odwraca głowę i stara się go pochwycić gdzie może. Mój, prócz powyższych wad, miał jeszcze tę, że nie dawał do siebie dostąpić. Gdym się do niego zbliżał, chcąc go osiodłać, toczył krwawemi oczyma, stulał uszy, gryzł i kopał tak gwałtownie, że musiałem z całej siły zaciągać koło jego szyi lasso, i dopiero z nawpół przyduszonym, mogłem już robić co mi się podobało. Jednakże powsze-

chnie, pierwsze tylko miesiące pożycia z koniem bywają tak przykre. Później zwierz przyzwyczaja się do jedynej istoty, która koło niego chodzi, daje mu jeść, czyści go i pilnuje. Zwolna stosunek, nie przestając być szorstkim, staje się przyjacielskim. Przez kilka pierwszych tygodni starałem się napróżno ułagodzić mego deresza; napróżno dawałem mu regularnie jęczmień, kukurydzę i koniczynę. Wyrósł, wypiękniał, ale nie przestał się płoszyć i strachać. Chwilami wpadałem już nawet w zupełne zwątpienie, czy będziemy ze sobą żyli kiedykolwiek inaczej, jak na stopie wojennej.

Tymczasem Dżak poradził mi, ażebym próbował jeszcze przyswoić go głodem. Jak powiedział tak uczyniłem. Przywiązałem umyślnie lasso krótko do drzewa, ażeby koń nie mógł się paść soczystą trawą, rosnącą zwykle pod dębami, i odszedłem. W południe napoiłem go, ale nie dałem mu jeść. Wieczorem przyniosłem w blaszance trochę kukurydzy, popuściłem lasso, i stanawszy opodal, zawołałem: „pójdź!” Mustang według zwyczaju stulił uszy, szarpnął kilka razy za sznur i nie myślał się zbliżyć. Zacisnąłem sznur i odszedłem. Nazajutrz rano podobna scena. Strzygł uszami, patrzył na kukurydzę, roztwierał ku niej chrapy, ale nie przyszedł. Tymczasem trawa na małej przestrzeni, na której mógł ją szczytać, była już wyjedzona. Głód zaczął mu dokuczać coraz bardziej. W południe przyszedł już do blaszanki i jadł łapczywie. Brałem go za uszy, w których szczególnie był lechciwy, głaskałem po łysinie: nie cofał się. Odtąd przynosząc mu obrok, rozpuszczałem lasso i stawałem coraz dalej. Przychodził zawsze, a w końcu przy-

szło do tego, że gdym się tylko pokazał, biegł ze rżeniem ku mnie, o ile sznur na to pozwolił, wspinał się i skakał, ale już z radości, jak przywiązany na łańcuchu pies. Podczas gdy jadł, obsypywałem go pieszczotami, o które potem sam się dopominał.

Wówczas dopiero przekonałem się, co staranna i troskliwa hodowla może z konia zrobić. Jak wszystkie mustangi, tak i ten mój miał długą wichowatą sierć, zarosłe pęciny i najeżoną grzywę. Po miesiącu starań, gdym na noc okrywał go kocem, karmił doskonale, czyścił codziennie, szyja jego zagięła się w piękny łuk, w oczach zaświecił rozum i fantazya, grzywa stała się cienką i delikatną, sierć błyszczącą, słowem zrobił się prawie rassowy koń, na którego potem meksykanie i indyanie spoglądali z nietajoną żądzą.

Ale tak meksykanie jak indyanie wcale nie zajmują się swemi końmi. Gdy meksykanin przyjeżdża z drogi, wówczas zdejmuje kulbakę, a konia wygania na step, jak u nas na Ukrainie czynią kozacy—i nie chce więcej o nim wiedzieć. Nigdy nie widziałem, aby meksykanin konia czyścił lub karmił obrokiem. Koń żyje tém, co sam znajduje. Prawda, że na wiosnę i w zimie, paszy wszędzie jest obfitość; ale latem w lipcu i sierpniu, gdy słońce spali na proch trawy, a „prerya” wygląda jak popękane klepisko, konie mrą z głodu, i utrzymują się przy życiu tylko obgryzaniem liści wierzb i innych drzew rosnących przy wyschłych łożyskach strumieni. Łatwo zrozumieć, że żyjąc w powyższych warunkach, mustangi muszą być złe i dzikie. Przez większą część roku, żyjąc w stadzie, nie widują twarzy ludzkiej, a gdy czasem pojawia się jeden

i drugi człowiek, to tylko po to, żeby wywijać długiem lassem nad przerażoném stadem, chwytając konie, dusić je, potem dosiadać i bość takimi ostrogami, jakie ongi, w Europie nosili średniowieczni rycerze.

Gdyby nie ta dzika, stepowa, a w rzeczy żadna hodowla, mustangi, mające w sobie krew dawnych koni hiszpańskich, wnuków owych rumaków, które wraz z arabami przybyły do Hiszpanii ze Wschodu, jeszcze w 711 roku, dałyby się wyrobić w rasę piękną i szczególniej pod siodło przednią. Dowodem tego mustangi z południowego Texasu, umyślnie tam hodowane w niektórych miejscowościach, które na wyścigach biją najsłynniejsze folbluty z Kanady i dochodzą do cen bajecznych. W ogóle jednak, mustangi nie odznaczają się pięknoscią. Głowę zwykle miewają dużą, czoło wypukłe, sierć kudłatą i obrośnięte nogi. Celują jednak wytrwałością. Meksykanie nigdy inaczej nie jeżdżą jak galopem. Jak tylko koń poczuje na sobie jeźdźca, wyrzuca przednie nogi i wpadłszy w galop, nie zmienia chodu, choćby mu przyszło biedz dwadzieścia i trzydzieści mil (angielskich) bez przestanku. Jeździec kołysze się wówczas na siodle, jak w hamaku, kręci w galopie „*cigarittas*,” śpiewa: „*o dolce amiga!*” i tylko od czasu do czasu poprawia na głowie swoje ogromne „*sombrero*,” gdy mu je powiew wiatru zbyt z czoła zesunie.

Gdy koń nie chodzi w stadzie, ale służy ciągle jednemu człowiekowi, z czasem staje się pojętny i sprawny, co szczególniej pokazuje się przy rzucaniu lassem. Gdy jeździec wypuści przed siebie sznury, wytrawny mustang zwiija piorunem młynka na miejscu, i poczyną z całych

sił galopować w przeciwną stronę, ściągając w ten sposób pętlę i dusząc schwytaną zdobycz. Widziałem także u niektórych wakersów, konie tak wytresowane, że na odgłos świstawki przybiegały natychmiast w największym pędzie ze stepu. Takowe jednak rzadkie są i wysoko cenione.

Mustangi, sprzedawane do miast, przyzwyczajają się do zaprzęgu, ale że zwykle zapręgają je zbyt młodo, wyglądają więc biednie i podobnie do naszych chłopskich koni. Najlepiej jednak chodzą w jukach, który też sposób, powszechnie w stepach, do przenoszenia mniejszych ciężarów jest używany.

Mój mustang, jako juczny koń, pełnił doskonale swoje służbę. Każda kulbaka meksykańska, oprócz wysokiej kuli na przedzie, na około której nawija się lasso, opatrzona jest w sześć lub nawet ośm par troków, wyrobionych z niezmiernie silnego rzemienia. Otóż, do troków tych, nieraz podczas dłuższych wycieczek, przywiązywałem worek z kukurydzą, z mąką, jedną małą baryłkę z wódką, drugą z winem, prócz tego z tyłu koce i karabin, razem do stu i więcej funtów ładunków, nie licząc mnie. Z takim ciężarem koń galopował po kilka mil (angielskich), jak gdyby nic, a zsiadałem z niego tylko w takich miejscach, w których obawiałem się razem z nim kark skrócić. Gdyśmy jednak z Dżakiem, urządziwszy z postronków szleje, próbowali zaprządz go do belek, począł wierzczać i rzucać się tak zapamiętale, że odprzągłem go natychmiast w obawie, aby się nie skałeczył. Odtąd przenosiliśmy belki, krokwie i deski własnoręcznie. Robotą desek zajmowała nam najwięcej czasu, albowiem

w braku wielkiej pily, trzeba je było obrabiać toporem, co najprzód długo trwało, a powtórę z całego pnia wyrabialiśmy tylko jedną deskę, tak ciężką i niezgrabną, że zaprawdę podobniejsza była do cokolwiek zcienionej belki, niż do deski. Gdy nakoniec skielet dachu z krokwi stanął, przybijaliśmy te deski poprzecznie długimi gwoździami. We dwa tygodnie wyrobiliśmy dziesięć szerokich łat, że zaś Dżak miał ich już przeszło dwa razy tyle przygotowanych, w tydzień więc skończyliśmy z dachem i chata była gotowa. Spoglądaliśmy z dumą i zadowoleniem na nasze dzieło, chociaż gdyby je mierzyć mniej pobłażliwem okiem, przedstawiałoby wiele do życzenia. Dom składał się z jednej izby, mogącej pomieścić dwa posłania z mchu, kilka czerepów wołowych, i moją pracownię. Drzwi zbudowaliśmy wprawdzie dość prawidłowo, z trzech krótkich desek, i przybiliśmy je na zawiasach zakupionych, wraz z inném starém żelaztwem, przez Dżaka w Anaheim, ale okien szklanych nie było wcale. Dżak nie myślał nawet starać się o nie, albowiem klimat tutejszy usuwa ich potrzebę.

W dzień otwory w tylnéj ścianie przepuszczały aż nadto światła, na noc zaś dla ciepła, zasłanialiśmy je roletami z grubego płótna. Mocny, choć niezgrabny i dostatecznie pochyły dach, bronił od dészczów, zatém i wszystko było jak należy, czyli „*all right!*” Ukończywszy dom, otoczyliśmy go rowem, broniącym przystępu wężom; zaczął już nie pozostawało nic więcej, jak obsadzić go figami, pomarańczami, drzewami brzoskwiniovemi i krzakami migdałów.

Byłato jednak robota na później, bo przedewszyst-

kiem musieliśmy się zająć zgromadzaniem zapasów na porę dżdżystą. Ale tymczasem zdrowie moje poczęło cokolwiek szwankować. Ciężka i wysilona praca, na upale dochodzącym do stu stopni Farenheita, nabawiła mnie ciężkich bólów głowy; siedzenie zaś cowieczorne przy ognisku, podczas chłodnych nocy, tak silnego kataru, że podobne, chyba przed potopem istniały. Przytém w nocy, gdy psy czekały zajadle, a większe jakie zwierzęta wyły w pobliżu, trzeba było wylazić z ciepłego mchu, brać strzelbę i obchodzić z nią korall, pasiekę, czasem wystrzelić w powietrze, ale przedewszystkiém zaziębiać się nie-miłosiernie. Pewnej nocy, koń mój widocznie przerażony przez kujoty, począł szarpać tak silnie lassem, i tak je poplątał, chcąc zerwać, że musiałem przeszło przez godzinę rozwikływać pozaciągane węzły. Była to godzina czwarta rano, a więc czas największego chłodu.

Zmarzłem jak sasaneł, i cały następny dzień musiałem przeleżeć w mchu.

Gdyby to było w innym, nie tak niesłychanie zdrowym klimacie, byłbym dostał febry lub zapalenia płuc. Ale o febrach nikt tu nigdy nie słyszał, moje płuca zaś, w przeciwieństwie do serca, zapalają się bardzo trudno. Swoją drogą, pocziwy Dżak, cały dzień następny gotował dla mnie: „*Japan tea*,” a wieczorem przyniósł mi szklanę odwaru z jakichś ziół, podobno nader skutecznych. Jakoż, na drugi dzień było mi już lepiej, o tyle nawet lepiej, że o świcie mogłem pójść na polowanie.

Troskliwość i przyjaźń, jakie okazywał mi Dżak, zjednały mu moje serce. Dżak był to człowiek nie uczony, ale elementarnie wykształcony, jak każdy ameryka-

nin, a posiadający wiele przymiotów, rzadkich nawet w najwykształceńszych ludziach. Był jednak trochę posępny i małowówny. Wieczorem przy ognisku, rozgadywał się wprawdzie; przy robocie za to w dzień, nie mówiliśmy zwykle do siebie ani słowa. Taka małowówność w człowieku ze świata, oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrysona było to tylko przyzwyczajenie, wynikłe z życia samotnego. Myślę nawet, że ludzi tak jednostajnego humoru, jak w ogóle skwaterowie, a w szczególności Dżak, niema na kuli ziemskiej. Zmienność u-sposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przytém, ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi mężkość charakteru i zupełny brak drobiazgowości, wyłącza w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem.

Powiedziałem, że brak drobiazgowości jest cechą ogólną Amerykanów, i powtarzam jeszcze raz, że drugiego ludu, któryby tak łączył w sobie wszelkie wady i przymioty prawdziwie męskiej natury, nie ma na świecie. Amerykanin nie posiada ruchliwości francuskiej, nie jest zapewne zdolny do uczuć tak delikatnych i poruszeń duszy tak subtelnych, jak np. francuz lub polak. Yankes bierze rzeczy z gruba: szczegóły, drobnostki i małostki nie istnieją dla niego. We wszystkiém jest to twardy mąż. Umié kochać, ale nie kwilić; umié nienawidzić, ale nie kasać milczkiem. Plotkami, babską gadatliwością, haftowaniem skandalicznych nowinek na kanwie czci ludzkiej, brzydzi się. Gdy nienawidzi, burzy, ale nie podko-

puje; gdy pracuje—wióry lecą: gdy wydaje pieniądze, rzuca dwudziesto-dolarówki, jak liście. Nie rozumie co to oszczędzać centy. Gdy się wzbogaca, robi miliony—bankrutuje, także na miliony. Szanuje kobiety, jako najwyższy dar Boży. Często daje się jój za nos wodzić, właśnie dlatego, że nie jest drobiazgowy, i że patrzy na nią jak rozkochany lew. Nakoniec, kocha swoje „*Unafsted Stets*” (United States), jest z nich pyszny, dumny, i gdy Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, nie namyśla się, nie ogląda, ale zdejmując swój „*Kentucky rifle*” z kołka, — ryczy jak buhaj, a staje jak jeden mąż.

Komu taka charakterystyka wyda się przesadzoną lub zbyt ogólną, temu powiem, że nie szukałem i nie znalazłem jój w wielkich miastach, gdzie wszystkie piersi przykrawają się na „jednaką miarę krawca;” ale tam, gdzie należy szukać prawdziwej Ameryki, tam, gdzie leży jój moc, jój zdrowie i jój przyszłość — to jest w małych osadach wiejskich, w fermach licznych jak piasek w morzu, na pograniczach, na pobrażach, w górach, między ludnością miernie bogatą, a rojną, zabiegłą i bujną. O! trudno mi nawet wypowiedzieć, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród — i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którym dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którym wszystko znalazło, energia i praca jest frazesem, mężczyźni chorują na nerwy i bezkrwistość, a za to szermują językami, przedą i noszą swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawej opinii plotki.

Co do skwaterów, są to wybitne, może zbyt wybitne nawet, ale doskonałe typy uosabiające charakter całego

narodu. Osobiście jednak, mimo szorstkich pozorów, zwłaszcza skwatterowie osadnicy, są to ludzie po większej części prawi, a bardzo łagodni; albowiem żyjąc samotnie, nie doznają rozczerowań i zwątpień, zaostarzających charakter. Taką łagodność posiadał i Dżak. Temperament jego był dość chłodny, a wrodzoną mu energię, która sama z siebie mogła kipieć, pochłaniała praca. Przytém, lubo z natury mało był skłonny do rozmyślań, jednakże przez życie godne prawdziwie Robinsona, wyrobiło się w nim to, co wyrabia się zwykle w samotnikach, to jest przyzwyczajenie ciągłego patrzenia na siebie i rozważania siebie. W naszych poufnych wieczornych gawędkach przy ognisku, powiedział mi, iż mu się nieraz zdaje, jakoby było dwóch Dżaków: jeden, który buduje dom, rąbie drwa, gotuje jedzenie w parowie; a drugi, który nie robi nic, tylko przypatruje się pierwszemu. Powiedział to bardzo poprostu, przeplatając opowiadanie ustawicznemi wykrzykami: „*by God! by God!*” musiałem nawet pomagać do narodzenia się téj myśli, ale i tego było dosyć dla wyrobienia w tym charakterze pewnej, niby filozoficznej łagodności. Jeżeli przypuszczam, Dżak zewnętrzny rozgniewał się na jakiego kujotę lub szopa, i miał ochotę wybuchnąć; Dżak wewnętrzny spoglądał na niego spokojném okiem, uśmiechał się z politowaniem, a może i mówił: „wstydz się!” — i pod temi słowy, wszelka myśl przekroczenia zwykłych granic postępowania, gasła jak płomień świecy pod podmuchem wiatru.

Bywa jednakże, że człowiek żyjący w samotności rozmyśla nietylko za siebie, ale i za otaczającą go przyrodę. Próbowiałem dowiedzieć się: zadawał-li sobie Dżak

pytanie, czy jest, i jaka jest myśl w tych ogromnych skałach przerzynających skłon błękitu, w tych strumieniach narzuconych srebrną siatką na górskie rozlogi, w drzewach, w zaroślach, w świecie zwierzęcym, a wreszcie w słońcu i gwiazdach. Chciałem przekonać się: istniało-li w nim poczucie ducha natury, lub jaki pół-wid jedyną zasady wszechbytu. Nieraz zdarzało mi się czytać o takich prostakach filozofach. Takim np. był Giliat w „Pracownikach morza,” który zaludniał w myślach powietrze niewidzialnym światem zwierzęcym, a z całą naturą tak się zjednoczył, że pokochała go i otworzyła mu swe tajniki. Ale z żalem wyznać muszę, że w Dżaku nie odkryłem nic podobnego. Jak każdy leśnik, tak i on znał swoje otoczenie, wiedział kiedy niektóre krzewy otrząsają dawne liście, aby się ubrać w nowe; znał własności lecznicze ziół i drzew; rozumiał mowę gór, gdy przysłaniając się wieczornym tumanem zwiastowały deszcz na zajutrz rano—słowem: widział objawy, i czytał je jak drukowane słowa w książce, ale żadne: „dlaczego?” nie przychodziło mu, jak głupcowi Heynego, do głowy. Skoro raz spróbowałem o tych rzeczach z nim rozmawiać, odpowiedział mi słowami biblii: że Pan Bóg stworzył świat, aby człowiek miał gdzie żyć i z czego korzystać.

Oczywiście, że taki pogląd, obierający jako punkt wyjścia, człowieka, wyłączał wszelkie inne dociekania. Dżak był poprostu pobożny człowiek, tak zresztą, jak prawie wszyscy skwaterowie-osadnicy. Stanowiło to nawet poetyczną jego stronę. Wieczorem, gdy ognisko dogasało w parowie, odchodził zawsze trochę w górę pomiędzy kamienie, i odkrywszy głowę, wznosił oczy ku niebu,

i poczynął mówić pacierz. Wydawał mi się wówczas poetycznym bardzo, tą majestatyczną poezją siły, korzącą się przed siłą jeszcze wyższą. Promienie księżyca padały srebrem na jego energiczną, brodatą twarz o rysach jakoby wykutych z kamienia. Myślałem czasem, że żyję w pierwszych czasach chrześcijaństwa i że widzę przed sobą jakiego barbarzyńcę-cymbra, kładącego swą twardą duszę pod nogi Bogu. Obce dla ucha mego słowa modlitwy, utwierdzały mnie jeszcze bardziej w tém złudzeniu: „*Our Father, who are in heaven, hallowed be thy name*” (Ojciec nasz etc.), mówił patrząc w gwiazdy Dżak... Potem uciął głos, jak zakonnik czytając z brewiarza; a potem znów uszu moich dolatywał oderwany uroczysty frazes: „*Give us this day our daily bread!*” Modlitwa nie trwała zwykle długo, ale jeśli w głębiach niebieskich słucha jakie ucho głosów z ziemi, to musiało słyszeć ten głos z pustyni.

Po jakimś czasie wspólnego pożycia, zaproponował mi Dżak abym z nim został na zawsze.

— Ludzie po miastach mają daleko więcej kłopotów — mówił do mnie — a tu jest spokojnie. Dochowamy się pszczoł, ile sami będziemy chcieli; wytniemy dwa razy tyle puszczy, zasiejemy jęczmień i kukurydzę; zasiejemy tytuń; chatę obsadzimy pomarańczami, figami i krzewami białych migdałów. Przyjdzie czas, że ludzie tu osiadą, ziemia zacznie mieć cenę, a wówczas gdy mnie już nie będzie, zostaniesz właścicielem mego klemu i swojego, co razem wzięwszy, utworzy taką farmę, jakiej, *by God! by God!* niéma od Oceanu aż do Suchego jeziora. W lesie żyje się spokojnie — zostań!

Była jedna mała chwila, w której ta pokusa uśmiechnęła mi się i oczarowała mnie, jak leśna Dziwożona. Nie nęciło mnie przyszłe dziedziczenie ziemi Dżaka. Dżak nie darowywał mi nic. Kraj tam wokoło pusty, ziemia nieczyja, mogłem więc tak jak każdy brać jęj więcej, niż bym zdołał obrobić. Ale znajdował urok w tęg sielance i w życiu z naturą, i w tym porcie tak cichym, że żadne burze nad nim nie wieją. Jednakże, po niej jakim czasie, pnęta zbladła. Nieznane mi jeszcze morza, lądy i ludy; szlachetny zawód podróżnika, życie, jego walki, kłęski, zwycięstwa i powaby, wreszcie przyszła chwila powrotu, w której ztrąsnę z obuwia obcy pył u progu ojczyzny: wszystko to przemówiło daleko silniej:—więc powiedziałem Dżakowi, że jak ptakiem przyleciałem w te góry, tak ptakiem z nich odlece.

II.

Było to jakoś w drugiej połowie października. Około godziny dwunastęj w południe, taka cisza osiadła na okolicy, że góry, skały i puszcze zdawały się zaklętym snem ujęte. Żaden liść nie poruszał się na drzewie. Piszząc w chacie, słyszałem jak dojrzałe żołędzie czarnych dębów urywały się z szypulek i szeleszcząc po liściach, uderzały o ziemię. Upał był nieznosny, powietrze w domu stało się tak duszne, że po małej chwili, nie mogąc pisać, złożyłem pióro. Serce i tętna w skroniach biły mi przyspieszonym ruchem. Nie rozumiałem co się to dzieje: czy ja jestem chory, czy też w naturze ma zdarzyć się

coś niezwykłego. Chciałem spytać o to Dżaka, ale przed godziną poszedł się był kąpać do potoku i nie wrócił jeszcze do chaty: więc położyłem się na mchu i począłem obcierać pot, który obficie występował mi na czoło.

Tymczasem stawało się coraz duszniej. Nie mogłem już wątpić, że to na mnie nachodzi jakaś choroba, gdy nagle usłyszałem zdala ciężki chód Harrysona. Po chwili wszedł do chaty: policzki jego były zarumienione, ale oczy jakoby przygasłe, a czoło niemniej zroszone potem od mojego.

— Co to się z nami dzieje, Dżak?—spytałem go.

— Santa-Ana-wind!—odrzekł.

Wiedziałem już co to znaczy. Czytelnik, spojrzawszy na dokładną kartę Kalifornii, z łatwością dostrzeże dwa równoległe prawie łańcuchy gór: Santa-Ana i San-Bernardino. Mniejsze i niższe pasmo Santa-Ana ciągnie się bliżej oceanu, poważne zaś Bernardyny wznoszą się w głębi kraju, stanowiąc jakoby kość pacierzową jego południowej części.

Owóż za temi górami, państwo Kalifornia ciągnie się jeszcze daleko na wschód, aż do rzeki Colorado, stanowiącej granicę od Arizony. Cała ta część, jestto jedna, równa, piaszczysta pustynia, gdzieniegdzie tylko powzdymana w sypkie wzgórza, gdzieniegdzie poprzerrywana bezimiennemi jeziorami, w których przez większą część roku wody brakuje. Największe z tych jezior nosi nawet nazwę: Dry-Lake, co znaczy Suche jezioro. Po deszczach zimowych pustynia na krótki czas zmienia się w preryę umajoną cudną zielonością, ale to jeden tylko krótki uśmiech natury na tém wielkiem cmentarzysku piaszczy-

stych kurchanów. Rzeka Colorado, stanowiąca granicę od Arizony, nie jest wcale granicą pustyni. Wprawdzie brzegi rzeki żyzne, urodzajne i zarośnięte, ciągną się jakby zielona wstęga, aż do zatoki Trzech-Króli, ale za rzeką pustynia znowu się rozpoczyna i obejmując większą część Arizony, rozlega się na wschód, aż do niezliczonych pasm gór, zawałających środek tego Stanu, na południe zaś, aż do meksykańskiej Sonory.

Przy rzece Gila, wpadającej do Colorado, pustynia staje się najgłuchszą. Część ta nosi nawet nazwę Gila-Desert. Ruchome jej piaski nigdy nie pokrywają się zielenością; niema tam żadnych osad, ani ludzi białych, ani indyjan. W części pustyni kalifornijskiej (między St.-Bernardino a Colorado) na wiosnę, gdy jeziora pełne są wody, a trawa pokrywa wklęsłości gruntu, głusza ustępuje gwarowi życia. Czasem stado bawołów, zabłąkanych aż do gór Arizońskich, rozbija piersiami trawę, a za niem pędzą skurczeni na koniach jeźdźcy indyjscy; czasem metysowie gnają stada mustangów; czasem kupcy-wolarze ciągną do wschodnich osad pasterskich; czasem zabłąka się traper z Prescott lub Tuscon: tak dzieje się w za-bernardyńskiej części pustyni, ale Gila zawsze jest cicha, głucha, martwa i złowroga.

A taką jak Gila, staje się po upływie wiosny cała pustynia. Nazwałem ją nie próżno złowroga, wszystko bowiem co ztamtąd przychodzi, jest jakby technieniem śmierci. W tychto gorących piaskach, szarańcza składa swoje jaja na zimę, a wiosną ciągnie w postaci chmur na cudne doliny Kalifornii, zostawiając po sobie bezlistne drzewa i bezwstydnie gołą ziemię; ztamtąd nareszcie, od

Gila i suchych jezior wieje wiatr, zwany w Anahejskiej dolinie: Santa-Ana-wind.

Powinniby go raczej nazywać: Desert-wind lub Gila-wind. Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wyssała wszelką świeżość i wilgoć, a przesycała natomiast elektrycznością. Czasem wiatr ten wieje także z południa, od strony „Lower-California,” czyli od strony meksykańskiej, półwyspowej Kalifornii, będącej również pustynią. Częściej jednak ciągnie ze wschodu od Gila. Jest on tém samém dla Kalifornii, czém Sirocco dla Sycylii, Solano dla Hiszpanii, a Samum dla Arabii. Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy, bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie, wysusza mięśnie, skręca liście na drzewach i przejmie strachem zwierzęta. Gdy Dżak oznajmił mi jego blizkie przybycie, wyszedłem natychmiast z chaty. W całej naturze znać było, mimo ciszy, jakąś niespokojność a i sama cisza wydała mi się martwotą, nie spoczynkiem. Powietrze straciło swoją przezroczystość. Niby jakiś pył, niby dym unosił się w atmosferze. Światło słoneczne przechodząc przez ów tuman straciło swoją pyszną, jarzącą pożłocistość, a świeciło chorobliwie, rdzawo, smutno. Sam krąg słoneczny, pozbawiony promiennych włosów, przesłonięty, a czerwony, pozwalał oku bezkarnie patrzeć na się, jakoby przez zakopane szkło. Myślałem, że to może dym rozszedł się po powietrzu.

— Dżak! — spytałem — wszakto indyane musieli gdzieś zapalić lasy?

— Nie! — odpowiedział Dżak — ja myślę, że to pył z pustyni.

Ale Dżak mylił się, bo przecież pył nie mógł przyjść przed wiatrem. Na pytanie jednak, czy tak zawsze bywa, odpowiedział mi, że zawsze. Tymczasem dęby zadrzały nagle, zaszeleściły liśćmi i posypały deszczem żołądki. Następnie Dżak poradził mi, abym rozpuścił węzły lasso, na którym uwiązany był mustang, albowiem zwierzę szarpiąc się w czasie wichru, mogłoby się zadusić. Gdy się do niego zbliżyłem, ujrzałem, iż sierć była na nim poszerzeniała, głowę miał spuszczoną, nozdrza przy ziemi. Rozluźniłem pętlę aż zanadto. Wracając ujrzałem tłumy rozmaitego ptactwa, dążącego do skłonów gór i z parowów ku puszczy: więc stada różowych synogarlic, kuropatw* zwyczajnych, kuropatw górskich, błękitnych płaszczów, przedrzeźniaczy, czarnych dzięciołów z kanarkową piersią i szkarlatną głową. Szare bażanty smyrgały na piechotę, tak niedaleko naszej chaty, że można je było z okien strzelać. Nad lasem krążyły orły i kruki, ale zapadały co chwila w gęstwiny, siadając zapewne na dobrze okrytych liściem gałęziach. Wreszcie ucichło wszystko: tuman zgęstniał, światło słoneczne stało się jeszcze bardziej gorączkowe, a potem uderzył pierwszy powiew.

Zdawało mi się, że jakieś potworne płuca chuchnęły nagle na mnie gorącym oddechem. Obaj z Dżakiem schroniliśmy się natychmiast do chaty, i pozasłaniawszy kocami okna, położyliśmy się na mchu. Ale w chacie zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Dostałem lekkiego zawrotu głowy; krew jakby ołowiem biła mi w żyłach. Probowalem czytać i nie mogłem. Było mi duszno. Elektryczność przesycająca powietrze podziałała tak na moje nerwy, że miałem ochotę pokłócić się z Dżakiem. Pró-

bowalem pić, ale woda stojąca w blaszance w kącie chaty, wydała mi się obrzydliwą; chciałem nakoniec palić: tytuń po kwadransie wiatru wysechł do tego stopnia, że rozsypywał się w proch w moich palcach.

Dżak, przywykły już do tego wiatru, znosił go daleko lepiej, a mnie tymczasem coraz było trudniej. Pojedyncze uderzenia powiewów zmieniły się w twarde huragan. Puszczą gięła się, dęby łopotwały gałęziami; w powietrzu zaś unosiło się takie mnóstwo liści i piasku, że niepodobna było nic dojrzeć. Przeklęty ów wiatr zmienił się w końcu poprostu na żar buchający jakby z rozpalonego pieca i przepełniony czadem. Dżak przyniósł mi świeżej wody ze strumienia, którą palem łapczywie, ale gdy nadeszła pora posiłku, jeść nie mogłem. Zresztą ani w południe, ani na wieczór, nie paliliśmy w parowie ognia, albowiem wiatr rozwiałby był ognisko na cztery strony świata, a co gorzej mógł ponieść skry na puszcę i spowodować pożar lasu.

W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Na drugi dzień wiatr, zamiast uciszyć się, wiał jeszcze gwałtowniej. Drzewa trzeszczały, a połamane gałęzie waliły się w potok. Przez cały ten czas nie było ani chmurki na niebie. Wychodziłem z chaty tylko po to, aby koniowi dać jeść. Cierpiałem nieznośne męki. Ale na trzeci dzień, świtanem, a może jeszcze w nocy ucichło wszystko.

Wyszedszy z chaty odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne, ożywcze, błękit niebieski czysty. Łagodny wietrzyk pociągał od oceanu. Na wschodzie płoniła się, jak dziewczyna, różana zorza poranna. Uśmie-

chało się wszystko na okół. Spojrzałem po okolicy, i... zakląłem, jak pierwszy lepszy majtek z Landig.

Nie było mojego konia.

Przy drzewie zwieszało się smutne lasso. Koń widocznie wysunął w czasie wiatru głowę, ze zbyt obszernej pętlicy, i uciekł.

III.

Złożyliśmy z Harrysonem wielką radę wojenną.

Koń wysunawszy się z pętlicy, mógł zejść tylko do parowu, bo innej drogi nie było. Natomiast parowem mógł udać się, albo na wschód ku Bernardynom, w którymto razie nie trudnoby go było odnaleźć, albowiem potok w górze jest nie do przebycia, albo na zachód ku Anaheim.

W tym ostatnim wypadku, sprawa byłaby trudniejszą, z powodu iż potok w miarę spadku rozszerza się, a canion staje się coraz obfitszy w obszerne, pokryte lasem doliny. Myślałem także przetrząsnąć puszcę, wśród której stała nasza chata, ale Dżak upewnił mnie, że tak wielkie zwierzę, jak koń, nigdy nie zdołałoby przeniknąć w gęstwinę równie zbitą i poplątaną lianami. Jakoż tak było w istocie.

Wogóle przychodziło wątpić, czy opłacało się szukać konia. W nocy mogły go zjeść drapieżne zwierzęta, bądź kuguary, bądź ostrowidze. Mogli go także skraść Meksykanie. Szukanina wymagała wiele trudów, a pod pewnym względem, była nawet niebezpieczna. Ale przywiązałem się już do mego wierzchowca i postanowiłem, nie zważając na nic, pójść w jego ślady.

Zresztą, po skończeniu chaty, nie mieliśmy z Dżakiem wiele do roboty, zaraz więc po brekfeście zajęliśmy się przygotowaniem do wyprawy. Nie wiadomo było jak ona długo potrwa, każdy z nas więc wziął mały zapasik sucharów i suszonego mięsa, a oprócz tego, każdy uzbroił się, jak gdyby na wojnę, w karabin, rewolwer i „bowie-knife,” nie licząc lasa, które miało służyć do odprowadzenia konia.

Tak uzbrojeni poszliśmy przedewszystkiē pod drzewo, aby odnaleźć choć jakie takie ślady. Na trawie było ich bardzo wiele: wyrobiła się z nich nawet jakby ścieżka, ale była to tylko ścieżka, którą prowadzałem konia do wody. Oko moje nie mogło nic z niej wyczytać, Dżak jednakże położył się na trawie i popatrzywszy na nią uważnie, wykrzyknął wkrótce obyczajem indyjskim:

— *Hugh!*

Znalazł, a przynajmniej utrzymywał, że znalazł świeży ślad, chociaż ja nie mogłem upatrzeć w nim różnicy od starych. Koń szedł, jakeśmy to przewidywali, do potoku. Dalsze ślady, zbaczające ze ścieżki, wskazywały to wyraźnie. Koń mógł pójść w górę potoku, albo na dół ku Anaheim. Trzeba nam było się z Dżakiem rozstać.

Wybrałem kierunek ³⁰⁰ ku Anaheim, bo jakkolwiek drogę tę odbyłem z Neblungiem w nocy, przecie pamiętałem ją cokolwiek. Świsnąłem na psa, i zapaliwszy fajkę, poszedłem. Ranek po wietrze był cudowny. Powiew od strony oceanu niósł ze sobą wilgoć i chłód. Ptaki śpiewały po obu stronach parowu, jak najęte. W miejscach szerszych, gdzie korytarz skalny roztwierał się, ustępując miejsca dolinom, przystępne brzegi strumienia

wrzały życiem zwierzęcém. Ptaki piły wodę. Czarne wiewiórki ziemne siedziały na tylnych łapkach, chrupiąc orzeszki laurowe i poruszając wąsikami. Pies mój szczekał z radości, a echo niosło daleko szczekanie, nadając mu dziwnie potężny rozgłos. Była to chwila poranna, chwila téj radości i rozbudzenia się natury, w której drzewa i kwiaty i ptaki, i wszystko co żyje zdaje się wołać: „ewoe!” radujmy się i kochajmy! W takiej chwili, starcowi nawet przychodzi ogień życia przez zziębłe kości, a u młodego to aż kipi dusza, i prawie skrzydła wyrastają mu u ramion.

Mniej więcéj w takiém byłem usposobieniu. Coraz nowe doliny, nowe kształty skał, nowe drzewa, migaly mi przed oczyma. Cała droga, ponieważ poprzednio przebyłem ją w nocy, wydała mi się nową i nieznaną. Jedną szczególniej miejscowość została mi w pamięci. Dolina ta, obejmująca z jakie dwie mile kwadratowe (angielskie), nie była zarośnięta tak zbitą i poplątaną puszczą, jak inne. Było poprostu ogród wersalski na pustyni, strojny w tak cudowne bukiety drzew i krzewów, jakby je układała ręka ogrodnika-artysty. Ciemne, śliczne dąbrowy i małe rozrzucone wdzięczne gaiki platanów, pokrywały większą część przestrzeni; laury układały się w regularne klomby: pojedyncze drzewa tworzyły jakby aleje, których końca nie mogłem dojrzeć. Niepodobna było prawie uwierzyć, aby to natura układała wszystko tak misternie i foremnie. Środek doliny, lekko zakłęsły, pokryty był trawą, o zieloności jasnej i świeżej, zdradzającej wilgoć gruntu. Wysokie rosnące tam krzewy, znikaly zupełnie dla oka, pod skrętami dzikiego winogrodu, dochodzącego

do olbrzymich rozmiarów. Złudzenie, że są to poprostu sztuczne altany, było tak silne, że pierzchnęło dopiero wówczas, gdy zbliżywszy się do jednej z nich, dojrzał wyskakującego z pod liści szarego, czarno centkowanego żbika.

W żadnych górach europejskich niema nic podobnego. Natura wysiliła się tu, aby stworzyć przepyszny park z całym wymagalnym doborem barw i cieniów, z misternym układem szczegółów, z odpowiednią perspektywą, i z mądrym namysłem, tak ludzającym, iż mimowoli patrzyłem i szukałem, czy z pośród ciemnej zieloności drzewnej nie błysną mi z oddali białe marmury jakiego pałacu, ze zwierciadłami w szybach, ze strojnemi damami na gankach, z jeziorem u stóp i z łabędziami na błękitnej toni ¹⁾.

Ale okolica była bezludna, milcząca, a ciszę przerywało tylko brzęczenie wielkich złotych much, za którymi uganiały się ptaki. Oczarowany, siedłem bardzo wolno i zatrzymywałem się co chwila. A tymczasem słońce podniosło się wysoko i poczęło dogrzewać. Wyszukawszy wzgórek pokryty mchem, położyłem się pod cieniem dębu,

¹⁾ Później dowiedziałem się, że śliczna ta miejscowość, jakkolwiek jeszcze bezludna, ma już swoją nazwę, nazywa się zaś: „Pic-nic-Place,” albowiem mieszkańcy Anaheim, Orange, Santa-Ana, wraz z okolicznymi farmerami, zjeżdżają się tu raz do roku na wielką zabawę. Ziemia Pic-nic-Place, również nie należy już do rządu, ale do jednej z licznych w Kalifornii Land-company, posiadających ogromne, a zupełnie jeszcze dzikie i bezludne obszary. Od Pic-nic-Place zaczynają się terytoria niezajęte, rządowe.

zjadłem kawałek suchara z suszoném mięsem, a następnie poleciwszy straż psu, usnąłem.

Spałem tak dobrze, że rozbudziłem się dopiero koło godziny czwartej. Słońce przebiegło już większą część zwykłego łuku i kłoniło się ku zachodowi. Poznałem, że przed nocą nie będę już mógł zejść ani do osad pasterskich, leżących u stóp gór na drodze ku Anaheim, ani też wrócić do chaty Dżaka. Wołałem jednak nocować bliżej osad, i dlatego poszedłem naprzód. Park skończył się wkrótce, a amfiteatr czerwonych skał zacieśnił się znowu w wąską i ciemną gardziel. Przy samém wejściu do niej spotkałem jeźdźca, starego jakiegoś meksykanina, o czarnych, podobnych do końskiej grzywy włosach i złodziejskiej twarzy. Zaczęliśmy ze sobą rozmowę, wedle obyczaju meksykańskiego niezmiernie grzeczną, tytułując się, jak można najczęściej: „usted” i „caballero.” Wypytywałem się o konia, na co „caballero,” mający, mówiąc nawiasem, minę ostatniego rzeźmiesza, odpowiedział, że konia nie widział, ale że widział ślady szarego niedźwiedzia, czemu zresztą ani na chwilę nie uwierzyłem. Poczém z prawdziwie meksykańską uprzejmością, przepraszając za śmiałość „de hacer cuestion,” począłypytywać: co robię w górach, czy mam tu jakich znajomych i gdzie mieszkam. Może chciał się wywiedzieć, czy będzie mógł bezkarnie rzucić na mnie lasso, w chwili gdy się od niego odwróce, aby zrabować moją broń. Ale ja także dosyć już znałem meksykanów, i mimo wszelkich „usted,” trzymając palec na cynglu, gotów byłem rozłuc na kawałki czaszkę drapieżnikowi, skorobym tylko spostrzegł, że poczyną odwiązywać sznury. Nie bałem się go wcale

i rozmawiałem z nim poprostu drwiąco, co go nawet mieszało, byłem jednak zdecydowany nie pierwój pójść w drogę, aż uprzejmy rycerz oddali się na kilka rzutów łąso. Ale jak tylko powiedziałem, że mieszkam u Harrysona, ostrożność stała się zbyteczną. Caballero wpadł w zachwycenie: powiedział, że zna Dżaka, że jest to znakomity (*considerable*), a nawet wielki (*grande*) człowiek, a jego przyjaciele muszą być tacy sami, poczem pojechał przed siebie. Widocznie Dżak miał w górach opinią wzbudzającą poszanowanie. Ale w ogóle skłonni do rabunku meksykańscy „caballerowie,” niezmiernie boją się skwaterów, z powodu ich solidarności. Za jednego zamordowanego skwatera, inni, chociażby zamieszkali bardzo daleko, ujmują się natychmiast, i póty tłuką wszystkich napotkanych indyan i meksykanów, póki ci ostatni sami nie wydadzą winnego.

O téj dziwnej pod wieloma względami ludności, rozpiszę się później obszernie; teraz zaś nadmienię, że winnemu nie tak łatwo tu ująć przed lynchem; jeżeli bowiem łotrzykowie zabijają i rabują człowieka, to nie dlatego, aby uciekać następnie na pustynię, ale aby pić i hulać w najbliższych wentach ¹⁾, gdzie ich téż zwykle straszliwy: „*uncle lynch*” odnajduje.

Zabójstw z tych powodów bywa niewiele, jakkolwiek rozproszenie, w jakim żyją skwaterowie, zapewnia pozorną przestępcom bezkarność. Że jednak ostrożność naj-

¹⁾ Wenta znaczy: karczma, tienda zaś to, co nasza restauracya.

lepszym jest przewodnikiem i stróżem podróży, nie prędkiej tedy ruszyłem w dalszą drogę, aż uprzejmy caballero oddalił się na dobry wystrzał karabinowy. Potém dolatywała mnie tylko jego piosenka i wtór do niej, polegający na uderzaniu trzonkiem noża w kulę kulbaki. *Uszedłem jeszcze ze cztery mile (angielskie), ale wreszcie słońce zaszło; że zaś w tym klimacie zmierzch bywa bardzo krótki, więc i noc następowała szybko. Żalotne zwiastuny ciemności: kujoty, ozwały się już raz i drugi, w pokrytych lasem dolinach, pies zaczął się niepokoić, trzeba zatém było myśleć o noclegu. Korzystając z resztek światła, naciąłem cztery naręcza, suchych jak pieprz krzewów, znanych pod nazwą: czaporalu i czamizalu, nabierałem suchych, połamanych przez Santa-Ana-wind gałęzi, których pełno było w łożysku potoku i wybrawszy stosowne miejsce, między kamieniami, roznieciłem ognisko.

Przez całą noc spałem mało, bo musiałem co chwila dorzucać gałęzi, aby podtrzymać ogień. Rozmaite głosy zwierzęce dochodziły mnie, jak zwykle nocą, ale niewiele sobie z nich robiłem, mając przed sobą jasny płomień, czujnego psa i dobry karabin. Przytém kuguar i niedźwiedź, jedyne groźne zwierzęta, nie są tu liczne i nie napadają nigdy pierwsze na ludzi, nie było więc żadnego niebezpieczeństwa. Swoją drogą, pies odlatywał co chwila od ogniska i niknąc w ciemnościach, ujadął głośno. Świtaniem puszcza ucichła. Wówczas usnąłem jak kamień, i dopiero o godzinie dziewiątej, puściłem się w dalszą drogę. Może o jakie kilkadziesiąt kroków od noclegu, spostrzegłem małego grzechotnika, pełnącego od jedne-

go kamienia ku drugiemu. Grzechotka jego składała się z pięciu dzwonek. Idąc dalej, doszedłem do miejsca, w którym po obu brzegach strumienia ciągnął się pas niezmiernie delikatnego piasku, pomieszanego z żółtą miką. Raz już nad rzeką Cosumnes (Macosme), w okolicy Sacramento, oszukała mnie ta mika, albowiem spostrzegłszy całe jej zaspy, sądziłem, że znalazł takie bogactwa, iż Rotszyldom nie pozostanie nic więcej, jak pójść do mnie na buchalterów. Patrzyłem, pamiętam, wówczas i nie wierzyłem oczom własnym: cały brzeg rzeki lśnił się i mienił; promienie słoneczne łamały się na większych blaszkach: wszędzie było złoto i złoto. Można je było furami wywozić. Szczypałem się sam, aby się przekonać, czy nie śpię, i nabrawszy pełne kieszenie moich dóbr, pobiegłem do kapitana W., naszego rodaka, u którego właśnie bawiłem, aby podzielić się z nim, jako z doświadczonym górnikiem, wiadomością, wejść w spółkę i zrobić kilkadziesiąt skromnych miliardów w ciągu kilku miesięcy. Więcej sobie wcale nie życzyłem. Czytelnik domyśli się łatwo, jaką musiałem mieć minę, gdy stary górnik rozśmiał się i potrząsając na rękę moim skarbem, rzekł krótko a węzłowato: „mika.” Swoją drogą powiem, że choćby podróżnik, przebiegający góry i stępy Kalifornii, był nie wiem jakim filozofem, przecie myśli, że w pierwszej lepszej szparze ziemnej, w pierwszym lepszym stosie kamieni, można tu znaleźć skarby, nie opuszcza go ani na chwilę. Mimowoli pogładasz, czy czasem z łożyska jasnego strumienia lub ze szpary skalnej, nie wyjrzy na ciebie potężna, przedpotopowa żyła żółtego kruszcu. Co więcej: niema w tém nic niepodobnego. Na pytanie, gdzie w Ka-

lifornii znajduje się złoto, każdy bez wahania odpowiada: wszędzie! Prawda, miejscami jest go tak mało, że przemywanie dwakroć i trzykroć przeniosłoby wartość metalu, ale, swoją drogą, weź kilkanaście fur ziemi i puść je w płuczkarnię, a żywe srebro chwytające złoto, niezawodnie uchwyci pewną ilość jego atomów.

Ciekawy przykład owój zmory złotój, duszającej tu wszystkich, miałem niedawno przed oczyma. Pewnego razu, ja, jeden mój ziomek, zegarmistrz od niedawna osiadły w Orange, i jeden skwatter, zwiedzaliśmy osadę położoną nad brzegiem niewielkiego strumienia. Po nocy spędzonej na wozie, ziomek mój poszedł się myć do strumienia. Po chwili wrócił nagle: twarz jego była wzbudzona, a na głowie nie miał kapelusza.

— Co panu jest? — pytam, sądząc, że może ujrzał jakie niebezpieczne zwierzę.

— Cicho! — odpowiada, kładąc palec na usta i przerywanym ze zmęczenia głosem.

— Cóż tedy?

— Złoto!

— Gdzie?

— Pójdź pan zobaczyć!

Poszedłem, choć nie wierzyłem w nie ani na chwilę, gdyby się bowiem tam znajdowało, mieszkańcy osady znaleźliby je oddawna. Przybywszy na brzeg, towarzysz mój ukazał mi nie wielki okrągły kamień, na którego powierzchni połyskiwała żółta, metaliczna kręsa. Wtedy uwierzyłem i ja, i dalej w radę, czy przypuścić do tajemnicy trzeciego. Stało, żeby przypuścić, bo człowiek był porządny, a wytrawny. Jakoż przyszedł zaraz i objaśnił

nas, że owa żółta metaliczna krésa, była poprostu śladem podkutych mosiężnemi ćwiekami trzewików, jakich zwykle używają farmerowie.

Podobne rozczarowania, a szczególniej z mikią, zdarzają się tu codziennie, témbardziej, że jój tu wszędzie pełno. Widziałem jój mnóstwo na pobrzeżach oceanu w A-Landing, Wilmington i wielu innych miejscach. Strumienie górskie powszechnie nie bardzo w nią obfitują; tam jednak, gdzie brzeg jest piaszczysty, osadza się powszechnie trochę i miki.

Ta, którą znalazłem przy strumieniu, osadzała się szczególniej w dołkach, wytłoczonych przez nogi zwierząt. Szukałem między temi śladami śladów kopyt mego konia, ale znalazłem tylko mniej więcej zatarte wyciski racic jelenich i płytkie, ale szerokie tropy okrągłych stóp, należących zapewne do ostrowidzów. Zaczynałem wątpić czy koń mój przechodził tędy, i przez chwilę przyszła mi myśl wrócić się, ale dla pewności chciałem jeszcze zapytać o niego w osadzie pasterskiej, leżącej u stóp gór, poszedłem więc dalej. Tymczasem zaszła niespodziana okoliczność. Oto strumień, którego biegu się trzymałem, trafiał nagle na prostopadłą skałę, i rozdzielał się na dwa ramiona, tworzące z główném korytem, dokładną literę Y. Nie wiedziałem, które ramię zaprowadzi mnie teraz do podgórzy, i na drogę do Anaheim. Zdawało mi się, że lewe, wybrałem więc lewe. Ale gdym uszedł ze trzy mile, to lewe znowu rozdzieliło się na dwa. Widocznie była-to cała sieć strumieni, które obejmowały dość znaczną przestrzeń gór, a następnie, wydostawszy się z nich, biegły przez dolinę anaheimską i dalszy step, ku oceano-

wi. Poznałem, że m się zbłądził. Wszedłem w caniony tak dzikie, milczące i głuche, iż przychodziło mi na myśl, że może noga ludzka pierwszy raz w nich powstała.

Brzegi strumienia, tam gdzie nie były zaciśnięte skałami, porastały gęstym lasem. Pnące się rośliny zwieszały się aż do wody, a przerzucając się z brzegu na brzeg, tamowały mi tak drogę, że musiałem ją sobie nożem torować. Wszystko tu nosiło cechę natury arcyprywatnej. Zdawało mi się nawet, iż ptaki mniej się tu boją człowieka, niż w innych canionach. Był tam jakiś spokój, którego nie umiem ani opisać, ani wyrazić; jakaś powaga i majestat przyrodzenia nie czującego się jeszcze podbitym. Jakoż wszystkie pomniejsze caniony nie są zamieszkałe, i w wielu z nich, prawdopodobnie nikt jeszcze nie był.

Tymczasem szedłem ciągle naprzód, nie wiele troszcząc się o to, że m się zbłąkał. Wiedziałem, że każdy strumień wyprowadzi mnie koniec końcem na podgórze, a następnie na dolinę, na której leżą: Anaheim, Santa Ana, Orange i t. d. Jakoż, zaraz po południu, począłem się wydostawać z labiryntu gór. Szczyty, po obu stronach strumienia, stawały się niższe i niższe; korytarz skalny zmieniał się w obszerną dolinę, krajobraz otwierał się coraz szerzej. Wreszcie zatrzymałem się i spojrzałem przed siebie.

Góry skończyły się. Stałem jakoby na olbrzymim, wysokim, na jakie dwieście stóp, tarasie. Strumień spływał zeń po tak stromej pochyłości, na dół, że tworzył prawie wodospad. U stóp tarasu widniał dom farmer-

ski, bielejący wśród massy drzew gumowych ¹⁾: tam zaczynała się dolina anaheimska, a raczej step szeroki, powietrzny, przestronny, biegnący aż do brzegów oceanu.

Oparłszy się o karabin, patrzyłem nieruchomo z pół godziny na ową cudną dolinę. Na krańcu widnokregu szarzała niby mgła, niby chmura jakaś sina, ale rozświeconą purpurą zachodu. Był to „Pacyfik,” ojciec oceanów i mórz wszystkich. We wzgórzach sterczących nad tumanem poznałem wyspy: Santa-Catalina i Catalina-Harbor, które zwiedzałem, bawiąc jeszcze w Landing. Był zachód słońca, a nad oceanem rozlewał się drugi ocean purpury i złota na niebie. Na dolinie ubranej w królewskie kolory, ujrzałem naprzód suche, piaszczyste a szerokie łożysko równoległej do gór rzeki Santa-Ana ²⁾. Dalej, ciemne grupy drzew oznaczały Anaheim i Orange, a mniejsze grupy farmy rozrzucone po całym stepie. Wszystko to leżało u moich nóg. Patrzyłem na wioski i miasta, jak ptak z chmur. Powietrze tak było przezroczyste, że ten ogromny szmat kraju leżał widny dla mego oka, jak na dłoni. Cisza była prawie niepokalana. Śliczny pogodny zachód zdawał się nasycać wszystko nieporównaną słodyczą i różanym spokojem. Błogosławieństwo i ukojenie wielkie unosiło się nad krajem.... Wów-

¹⁾ Eukaliptów.

²⁾ Nazwa ta Santa-Ana powtarza się w tej okolicy z dziwną obfitością. Prócz Anaheim jest tu Santa-Ana rzeka, miasto, góry i wiatr.

czas wezbrało mi serce, a na usta wybiegła mimowoli znana smutna piosnka:

„U nas, inaczej! inaczej! inaczej!”

Słońce już zaszło, gdy zapukałem do drzwi domu położonego u stóp tarasu. Pokazało się, że mieszkał w nim Mitchel, właściciel stad krowich, a dobry mój znajomy jeszcze z Anaheim. Mitchel przyjął mnie gościnnie i dał wyborne łóżko, które, po nocy spędzonej na kamieniu w górach, wydało mi się niezrównane.

Nazajutrz, skoro świt, puściłem się z powrotem w góry.

IV.

Dżak posłyszawszy że się zbliżam, wyszedł naprzeciw mnie bardzo uradowany. Koń był już z powrotem. Dżak znalazł go o dziesięć mil w bok od naszego strumienia, w bocznym canionie, gdzie była osada skwaterska niejakiego Plesenta, luizyańczyka, jak i Dżak. Dżak opowiadał mi o nim, że jestto prawdziwy król gór; trzęsie bowiem wszystkimi meksykańskimi, zamieszkującymi okolicę. Do wpływu takiego doszedł przez swoje bogactwa w pszczołach, trzodach, ale głównie przez żonę, rodem meksykankę, kobietę tak rozumną, że słowa jej są wyrocznią, tak dla męża, jak i dla wszystkich czarnowłosych jej kuzynów. Dżak zaproponował mi, abym razem z nim wybrał się do nich, na co zgodziłem się chętnie i, uważając rozmowę za skończoną, chciałem wyjść do konia. Ale

Dżak widocznie miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo mnie zatrzymał, a potem począł gęsto pykać z fajki i mru-
gać figlarnie oczyma.

— Cóż tam jeszcze nowego, Dżak?—spytałem.

— Hm! hm!—mruknął.

— Chcecie mi jeszcze coś powiedzieć?

— Tak! czy bardzo czujecie się zmęczeni?

— Trochę: a dlaczego?

— Bo do Plesenta trzebaby jeszcze dziś iść
na noc.

— By God!

— Widzicie, sir, jest rzecz taka. U Plesenta bawi
teraz przeszło piętnastu jego krewniaków, meksykańów,
a wszyscy z lassami, konno i zbrojno. Powiem wam, że
wszystko to są wielkie szubrawcy (hoodlamy) i mniejsza-
by o nich, ale czy wiecie dlaczego się pojeżdżali? Oto,
Plesent znalazł na piasku, nad swoim strumieniem, ślad
szarego niedźwiedzia, a potropiwszy go dwa dni, prze-
konał się, że: „uncle grizzly” obrał sobie legowisko nie
dalej, jak dwie mile w górę potoku.

— *All right!* Dżak—przerwałem pośpiesznie.

— Plesent więc wysłał zaraz do meksykańów sta-
rego Ramona, aby się pojeżdżali na wyprawę, co też
i uczynili. Przywieźli ze sobą wina, które piją bezustan-
ku, prócz tego grają w karty i wychwalają wzajemnie
swoją odwagę, choć, by God! jak przyjdzie co do czego,
będą tchórzyc niezawodnie. Stary Ramon był i u mnie,
ale ja właśnie tropiłem wtedy waszego konia. Oprócz
nas, Plesent czeka jeszcze dwóch braci Shrewsburych.

Jutro świtaniem mamy zacząć. Czy zgadzacie się iść ze mną?

Naturalnie, nie tylko zgodziłem się, ale mało nie uściskał Dżaka z radości; następnie wyczyściliśmy broń, opatrzyli wszystko jak należy, i w dwie godziny później ruszyliśmy w drogę.

X.

Szkice amerykańskie.

Z p u s z c z y.

I.

Późną już nocą przybyliśmy wraz z towarzyszem moim Dżakiem do skwatera Plesenta. Nazajutrz rano miało się rozpocząć polowanie na szarego niedźwiedzia.

Miejscowość zajmowana przez Plesenta, stanowi dość obszerną dolinę, pokrytą odwiecznymi dębami; z jednej jej strony ciągnie się ogromnym półkolem wydłużone wzgórze, ucięte równo jak mur; drugi zaś i bardzo spadzisty brzeg przeciwległy téjże doliny, utworzony jest przez potok. Za potokiem ciągnie się inna płaszczyna znacznie niższa, zamknięta wysokimi górami.

Całość na którą pierwszy raz rzuciłem okiem przy świetle księżyca, przedstawiła mi się bardzo romantycznie, jak zresztą większa część siedzib skwaterskich, położonych w canionach. Dolina wyższa, niższa i następne amfiteatralne wzgórze zatoczone łukiem, tworzyły jakby

olbrzymi cyrk rzymski, albo jakby rodzaj schodów. U stóp ich szumiał w korytarzu skalnym potok, stanowiący zarazem drogę do osady. Noc była już późna, ale pogodna. Księżyc zatapiał światłem cały ów amfiteatr wzgórz i arenę doliny. Wszystko to było teraz ciche i uśpione. Można było mniemać, że igrzysko skończyło się przed chwilą; Cezar opuścił miejsce, lud rozproszył się w ulicach miasta, a na arenie, na krwawym piasku leżą uśpione na wielki ciała gladyatorów. Zdawało się, że spietrzone skały, o kształtach często dziwnie symetrycznych, wydawały się podobne przy świetle księżyca do posępnej masy domów wielkiego miasta. Złudzenie takie sprawia czasem pyszną dekoracyą teatralną; to też chwilami znowu zdawało mi się, że widzę ją przed sobą, najpiękniejszą ze wszystkich jakie kiedykolwiek widziałem.

Szczekanie psów oznajmiło mieszkańcom doliny o naszym przybyciu. Wkrótce przez konary dębów ujrzałem błyszczące ognisko i oświecone czerwono ściany białego domku. Przy ognisku migaly postacie ludzkie, chodzące tu i owdzie, lub siedzące obyczajem indyjskim w kuczki. Wdrapawszy się na wysoki brzeg strumienia, znaleźliśmy się w podwórzu domu. Jednocześnie gospodarz, który był wyszedł na nasze spotkanie, powitał zwykłym „halo!” mego towarzysza, a następnie poznał się ze mną.

Gdy zbliżyliśmy się do ogniska, przedstawił mi swą żonę Donnie Refugio, która z prawdziwie hiszpańską uprzejmością, porzuciwszy natychmiast przygotowania do wieczery, poczęła ze mną rozmawiać. Była to kobieta mogąca liczyć około lat czterdziestu, o rysach twarzy regularnych, ale zwiędłych i jakoby martwych. Jak żyję

nie widziałem twarzy tak smutnej. Gdym potem pytał o przyczynę tego smutku, powiedziano mi, że Donnie Refugio umarła młoda i ukochana siostra, ukąszona przez grzechotnika. Donna Refugio, bezdzietna, kochała ją nad wszystko w świecie, to też od śmierci dziecińy nie widziano już uśmiechu na ustach osieroconej.

Tak goście jak i mąż Donny Refugio, umieli widocznie uszanować jej smutek, wszyscy bowiem obchodzili się z nią ze szczególną troskliwością, starając się spełniać w lot jej życzenia, i prawie odgadywać jej myśli. To uszanowanie dziwiło mnie témbardziej, że w Donnie tej płynęła widocznie domieszka krwi indyjskiej, co łatwo było poznać po kruczych a grubych jej włosach i smagłej cerze. Ale istoty wyższe, bez względu na swe pochodzenie, umieją zjednać sobie cześć należytą; Donna Refugio zaś, jak później przekonałem się, była to kobieta niepospolicie rozumna, a nawet niepospolicie wykształcona; stanowiła też rodzaj wyroczni w swém nawpół dzikiém otoczeniu. Przyjeżdżano do niej po radę i pomoc z całej okolicy: z Anaheim, Orengo, a nawet aż z Los Nietos, z kąd była rodem, i gdzie rodzice jej posiadali znakomite obszary stepu. Wysokiego z linii męskiej urodzenia, co dla meksykańów stanowi niemałą wagę, była przez ojca spokrewniona ze wszystkimi meksykańami, przez matkę zaś ze wszystkimi metysami. Stosunkowo znaczne bogactwa przydawały jeszcze blasku i powagi jej rozumowi i cnocie.

Mąż jej, również jak i towarzysz mój Dżak, pochodził z Luizyany; przeniósł się zaś do Kalifornii po wojnie domowej. Byłto dżentleman rosły, młodszy o parę lat od żony, o pocziwych niebieskich oczach i łagodnej, choć

energicznój twarzy. Prócz niego poznałem dwóch jeszcze skwaterów z canionu Madeira, braci Shrewsburych (Szürsbery), starszego Sama i młodszego Lucyusza. Sam czyli Samuel był to doskonały typ amerykańnika - pioniera. Wzrostu miał ze sześć stóp, twarz podobną do głowy starego wilka, wejrzenie rozumne ale przebiegłe; ogromne kościste ręce, także nogi, budowę suchą ale rozwiniętą, znamionującą potężną siłę. Chwilami twarzą i postacią przypominał mi Lincolna, który również był doskonałym typem „*yankee*” w swoim rodzaju. Mówiąc cokolwiek, Sam wyciągał przed siebie swoje olbrzymie nogi i głowę, i głaszcząc ręką obrosłe podgardle, poczyniał zawsze od rozwlekłego „*wel.*” Prócz tego gryzł wiecznie tytuń i spluwał co chwila obrzydliwym czerwonym sosem. Była to także powaga swego rodzaju. Biegły bartnik, był zarazem niezrównanym myśliwym, budowniczym, stolarzem, cieślą, kowalem, mularzem: słowem wszystkiem. Takimi wszystkowiedzami są po największej części skwaterowie. Uczy owych rzemiosł osamotnienie, potrzeba i konieczność rachowania zawsze i wszędzie wyłącznie na własne siły. Z tych warunków wypływają również różne przymioty moralne, jako to: pewność siebie, wysoka niezależność charakteru, republikański sposób myślenia i niepożyta energia, połączona dziwnym sposobem z niejaką powolnością i flegmą. Dwie te ostatnie cechy niezmierznie łatwo mogą omylić tego, ktoby chciał upatrywać w nich znamiona niedołęztwa i niezaradności. Przeciwnie, płyną one tak z zimnej krwi, wrodzonej anglosaksońskiej rassie, jak i ze zwyczaju zastanawiania się głębokiego nad każdym zamierzonym celem.

Skwater myśli powoli, bada, rozważa, ale przedsięwziawszy raz cokolwiek bądź, doprowadza, choćby niepodobne rzeczy, do skutku.

Sam uosabiał w wysokim stopniu wszystkie wspomniane cechy pionierskiego typu, dlatego też opisałem go szerzej. Lucyusz, młodszy o kilkanaście lat, całe życie spędzał na włóczeniu się po lasach. Miał i on swoje pszczoły, ale pilnował mu ich starszy brat, który kochał go jak syna. Mieszkali razem, Lucyuszowi bowiem nie chciało się budować domu. Czasem po kilka tygodni i miesięcy nie było go w domu. Za to, wróciwszy, przynosił zapasy skór pum, niedźwiedzi, rysiów i jeleni. Uchodził za niechybnego strzelca. W wyprawach swoich zapuszczał się przez pustynie, leżące z tamtej strony San Bernardino, aż do Arizony. W ogóle znać w nim było wesołego chłopaka, zaufanego w swój karabin i potężne muskuly, a niedbającego o jutro i rozmiłowanego w awanturach.

Goście ci, wraz z kilkunastu meksykanami, siedzieli nie w domu, dom bowiem składał się tylko z jednej izby, którą do połowy zajmowało małżeńskie łóżko Plesentów, ale obok domu, naokoło ogniska. Z powodu ciepłego klimatu, powszechnie przyjętym zwyczajem w górach jest, że mieszkańcy śpią tylko pod dachem, siedzą zaś, gotują i jedzą na świeżem powietrzu. Moskitów, które stanowią plagę ciepłych krajów, i które wypili tyle krwi mojej nad oceanem Spokojnym w Anaheim Landing, niema tu wcale, nic więc nie staje na zawadzie temu życiu pod gwiazdami. Wreszcie, jak wszędzie, tak i u Plesentów, niedaleko domu i ogniska wznosiła się werenda, składa-

jąca się z czterech cienkich nieobciosanych pni platanych, na których oparty był dach upleciony z liści i suchych prętów laurów. Pod tą arcy prostą budową, gospodarstwo spędzali większą część życia, pod nią także stał teraz stół, a raczej deski, na których pani Refugio przygotowywała wieczerzę. Ogień podsycany ustawicznie przez meksykańów suchemi laurami, buzował się potężnie, strzelając czerwonymi pasmami wyżej prawie nad dach werendy i obejmując ze wszystkich stron okopcone łono kotła, w którym gotowało się mięso antylopy wraz z czerwoną fasolą.

Obok na patelni warczały skwarząc się, kurcząc i sycząc, jak dusze potępione, kawałki słoniny, ulubionego przysmaku meksykańskiego. Japońska herbata z miodem, gotowana we wrzącej wodzie, miała stanowić dopełnienie wieczerzy. Ognisko i zgromadzeni naokół niego ludzie, gdy, oddaliwszy się na chwilę, spojrzal na nich z ciemności, dziwnie oryginalny przedstawiali widok. Wyobraź sobie, czytelniku, te krwawe snopy światła sypiące deszczem iskier, wśród zatopionej światłem księżyca atmosfery; te drzewa jednocześnie mroczne od nocy, srebrne od księżyca i różowe od blasku płomieni! Wyobraź sobie że słyszysz potok szumiący licznemi wodospadami w kamiennym korytarzu, a dalej jeszcze ciemny majestatyczny amfiteatr gór i skał, rysujących się czarno na srebrnym tle nocy. Siedzące przy ognisku postacie, dodawały jeszcze romantycznego uroku krajobrazowi: rzekłbyś, że oddział zbójców Kalabryi lub kleftów w Pindus. Bardziej jeszcze dziko od Sama, Lucyusza, Dżaka i Ple-senta wyglądali meksykianie. Siedząc w kuczki przy ogni-

sku, obyczajem indyjskim, zachowywali na twarzach zarazem indyjską powagę i hiszpańską dumę, dziwnie odbijającą od podartej odzieży, nieokrywającej dostatecznie nagich kolan i łokciów. Przyszły mi na myśl widywane w dziecinnych latach obozowiska cygańskie. Też same twarze z rozrzuconym włosiem, też same brody czarne jak krucze pióra, też łachmany zamiast odzieży; tylko powaga większa i pycha nieporównana i poczucie godności własnej, jakich niemasz między cyganami.

Wszyscy ci caballerowie byli to krewni pani domu i bliźcy krewni między sobą. Kiedy zapoznawano mnie z nimi, wymieniano tylko ich imiona, więc: Doroteo, Francisco, Antonio, Jesus i t. p.; nazwisko zaś mieli wspólne: Salvadores y Guerra. Byli to, jak mi mówiono później, potomkowie rodziny niegdyś bogatej i mającej obszerne posiadłości, która jednak w miarę jak kraj zaludniał się yankesami, straciła wszystko i zeszła na koczujące dzikie życie w górach.

Jestto zresztą los znacznej części dawnych właścicieli ziemskich pochodzenia hiszpańskiego. Sprytniejsi, pracowitsi i przemysłniejsi amerykanie północni, zabrali im zwolna grunta, bogactwa, znaczenie, tak że dumni caballerowie zeszli na miejscowy proletaryat, który albo żyje w nieosiadłych jeszcze górach, albo pasie trzody na stepach, albo wreszcie prowadzi życie wyrobnicze w osadach.

Za upadkiem fortun i znaczenia, przyszedł upadek moralny. Meksykanie parobcy są doskonałymi, bo wytrwałymi i silnymi robotnikami, ale piją jeszcze lepiej od irlandczyków; meksykanie koniuchowie i skotarze oddają

się po całych dniach szulerstwu w szalasach i sklepowych wentach: meksykańskie skwaterowicie są to po największej części próżniacy, żyjący, Bóg wie jak i z czego. Niektórzy trzymają konie, handlują drzewem wycinanem w pustych canionach, wbrew zakazom rządowym: wszyscy zaś skłonni są wielce do bójek, grabieży i złodziejstwa.

Żywiół anglo-saski wyrzucił ich z roli, handlu, przemysłu, wyrzucił ich zaś nie przez jakieś środki gwałtowne, przedsiębrane przez rząd, nie przez zakazy wzbraniające w czémkolwiek udziału, ale poprostu przez większą energię, zapobiegliwość i większy dar organizacyjny.

Jest wprawdzie jeszcze w Kalifornii kilkanaście rodzin meksykańskich, które utrzymały się w dawniej zamożności i znaczeniu, ale te albo roztopią się w nowym żywiole, albo spotka je los reszty współbraci. Zbytek i dumą grają niemałą, a dobrze i u nas znaną rolę między owymi „*morituri*.” Bogaty, choćby niezmiernie bogaty „*yankce*” jest to zawsze pracownik, parobek; jeśli jest kupcem, siedzi w sklepie, jeśli rolnikiem, sam sieje, orze, bronuje: słowem, robi wszystko ze swymi najemnikami, z którymi razem jada. Prawie nie chce się wierzyć europejskiemu przybyszowi, że tak jest, a jednak tak jest. Szacunek i zamilowanie niesłychane pracy: oto potęgą niezwalczona, oto przyszłość świetna i światowładna yankesów. Powtarzam jeszcze raz: yankes to robotnik czasem milionowy, czasem biędny, ale zawsze robotnik; meksykanin to drugi biegun, to antyteza yankesa.

Bogaty meksykanin, to pan, w europejskiem znaczeniu tego słowa. W Los Angeles widywałem od czasu do czasu arystokratycznie wyglądających dżentlemanów,

w czarnych najnowszej mody surdutach i świetnej bieliźnie, odbijającej jaskrawo od ciemnej ich płci, w powozach lub na dzielnych koniach, często ze służbą pieszą lub konną. Dystygowana powierzchowność i duma malująca się w twarzach owych dżentlemanów, zwróciły moją uwagę. Uważałem, że chcąc na przykład kupić coś, nigdy nie wchodzili do sklepu, ale zatrzymywali się na ulicy, kupiec zaś z pośpiechem wychodził pytać czego by żądali. Pytałem kto oni są, odpowiadano mi z ironicznym uśmiechem, że to meksykańskie, panowie Jorba, posiadacze ziemscy, do których przed niedawnym jeszcze czasem należały całe „caniony” w południowej Kalifornii. Niektórzy jeszcze mają znaczne posiadłości, ale po większej części nie sięgające dziesiątej części tego, co posiadali dawniej. Najbogatszego z Jorbów liczył znajomy mi kupiec Hobson, na czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale mówiąc o tém, dodawał zawsze z nieukrywanym zadowoleniem: „to się jednak skończy wkrótce.”

— A cóż potem będzie?—pytałem.

— Potem? Potem paść będą nasze owce. Rzecz to bardzo prosta, zdaje się. Jeżeli Jorba posiadający 40,000 dolarów, ma czterech synów, to każdy z tych synów odziedziczy tylko 10,000 dolarów: nieprawdaż?

„Certainly!” to jest prawda.

— Otóż wiedz pan o tém — mówił dalej Hobson — że każdy z tych synów będzie żył tak samo jak jego ojciec, chociaż będzie posiadał czwartą część tego co ojciec. To ruina nieuchronna.

O! mój Hobsonie, myślałem sobie, ilużto ja znam Jorbów za oceanem. Masz rację! ruina nieuchronna, ale

nie wiem, czy to dopuszczenie Boże, czy co? dość że Jorbom już nie mieści się w głowie tak prosta logika. Gdyby Hobson umiał po łacinie, opisałby mi Jorbów jednem słowem: „*morituri*.” Później poznałem ich osobiście. Są to dżentlemani w całym znaczeniu tego słowa: goście, dumni, uprzejmi, waleczni; słowem: rycerze, którym nie brak nawet tej cechy arystokratycznej, że nie płacą swych sklepowych długów. Ale poznawszy ich, przekonałem się także, że przy tych wszystkich przymiotach, są to ludzie, wprawdzie bardzo dobrze wychowani, ale po prostu nieoświeceni. Są to głowy, w których zewnętrzna, prawie wrodzona ogłada, pokrywa wewnętrzny obskurantyzm, masę przesądów i brak wielu elementarnych po prostu wiadomości. Pierwszy lepszy kupiec lub robotnik amerykański, który żuje tytuń, nie nosi nigdy krawata, zakłada nogi na krzesła; słowem, pierwszy lepszy amerykański, wedle naszych pojęć: gbur, umie matematyki, historii, geografii, nauk przyrodzonych i społecznych, daleko więcej niż elegancki pan Jorba. Za to pan Jorba często umie po francuzku. Pan Jorba mieszka w Stanach Zjednoczonych; w Stanach Zjednoczonych są dwie partye: republikańska i demokratyczna, ty czytelniku przyjeżdżasz z Polski, i nie mając dokładnego pojęcia o tych partyach, pytasz o nie pana Jorbę. Czy wiesz, co się pokaże? Oto, że pan Jorba jeszcze mniej rozumie tej rzeczy od ciebie, a jeśli będziesz bardzo go nacierał, powie ci w końcu: „*Vous-savez....*” kłóci się jakaś kanalia o coś między sobą, ale my się w to nie mieszkamy.”

Oczywiście istnieją mniej więcej liczne od tej zasady wyjątki. Znajdą się rodziny meksykańskie bogate

między kupiectwem, albo, jak mówią kupcy, „domy solidne,” niektórzy meksykanie piastują poważne urzędy w państwie Kalifornijskiem, ale że w ogóle ludność ta marnieje pod naciskiem brata Jonathana, dowodem tego najlepszym jest wspomniane już przezemnie wywłaszczenie z ziemi wielkich posiadaczy pochodzenia hiszpańskiego. Koło Sacramento, koło San-Francisco, ogromne obszary, należące niegdyś do rozmaitych „domów,” obecnie zasiane są farmami pozostającymi w ręku kolonistów północno-amerykańskich. Przypatrzmy się tylko nazwom miejscowości w całej Kalifornii. Poczynając od San-Francisco, Sacramento, i idąc ku południowi, spotykamy wyłącznie nazwy hiszpańskie: więc Merced, San-Louis Obispo, Santa Barbara, Santa Monica, Los Angeles, San Diego. Wymieniam tylko znaczniejsze miejscowości, ale i nazwy drobnych miasteczek, rzek, gór, bodaj nawet i znaczniejszych farm, wszystkie są hiszpańskie. Dowodzi to, że bądź co bądź, kraj był zaludniony niegdyś przeważnie ludnością meksykańską; wiemy zresztą, że Kalifornia nie tak dawno oderwaną została od Meksyku: swoją drogą dziś w tych hiszpańskich miastach, miasteczkach, farmach, górach mieszka ludność północno-amerykańska, a dawna na północy znikła prawie już zupełnie, na południu zaś, po większej części stanowi tylko najniższą robotniczą warstwę ludności.

Ani rządowi, ani ludności Stanów Zjednoczonych, nie przychodziło nigdy do głowy amerykanizować kogośkolwiek lub cokolwiek. W Kalifornii nie zmieniono ani jednej nazwy na angielską. Zakładają kolonię niemcy, zwą ją Berlinem, zakładają francuzi, zwą ją Paryżem, po-

lacy Warszawą, rossyanie Petersburgiem i „*all right!*” Niech sobie miasto nazywa się nawet Szang-hai, dla każdego amerykanina to wszystko jedno. Prócz tego, nie masz w całej Ameryce (US.) wielkiego miasta, gdzieby rozmaite narodowości nie miały stowarzyszeń, pozakładanych z wyraźnym i jawnym celem podtrzymania narodowości, języka, patryotyzmu. Rząd nie tylko nie sprzeciwia się podobnym stowarzyszeniom, ale zapewnia im też same przywileje i prawa, jakie przysługują stowarzyszeniom w ogóle.

Nawiasowo zauważę teraz, że nie widziałem nigdzie, aby narodowości wynaradawiały się tak prędko, jak tu. Dzieci przybyłych do Stanów Zjednoczonych Niemców, Francuzów, Polaków, Rosyan, jeżeli nawet umieją jeszcze język ojczysty, wolą mówić, nawet między sobą, po angielsku. Wyjątek stanowią tylko Chińczycy, których w Kalifornii jest mnóstwo, a którym osobną z czasem korespondencyą poświęcę.

Wracam do meksykańów. Nie wynaradawiał, nie wypędzał i nie uciskał ich nikt; owszem ci, którzy utrzymali się jeszcze, a którzy pamiętają dawne czasy, otwarcie przyznają, że rząd Stanów Zjednoczonych jest lepszy niż dawny meksykański, i wcale nie okazują ochoty przyłączenia się do metropolii. Toż samo równouprawnienie i opieka, które są udziałem wszelkich narodowości, były udziałem i hiszpańskiej, a jednak ludność ta straciła grunt pod nogami.

Miedzy meksykańami znalazłem jeszcze jedną, im tylko właściwą cechę, to jest pychę pochodzenia i lekce-

ważenie wszelkich innych narodowości, a zwłaszcza nie-sympatycznój im anglo-saskiej.

Czy uwierzylibyście, że pierwszy lepszy „*caballero*” meksykański, któremu kolano nagie wyłazi z majtek i który za cały majątek posiada jedną derkę, jedną koszulę, parę wspomnianych, wielce uszkodzonych ineksprymabli, chudego jak Rosinanta konia, łąso i paczkę „*cigarillos*,” że taki tedy caballero, dlatego tylko, że płynie w nim krew hiszpańska, do głębi duszy jest przekonany, że jest czémś lepszym od tych „*yankesów*,” u których zresztą służyć musi. Znane owo porównanie: „dumny jak żebrak hiszpański, nigdzie może nie wydaje się tak prawdziwym, jak w zastosowaniu do téj ludności. Duma owa często może zresztą bywa sztuczną, często ukrywa pod dziurawym swym płaszczem charakter nizki, kłamliwy, cheiwy zysków lub datku. W ogóle, moralność niższych warstw meksykańskich stoi tak nisko, jak i ich oświata. Wspomniałem już, że tylko energia żywiołu anglo-saskiego wstrzymuje ogół meksykańskiego gminu od grabieży, rabunków i ciągłych zaburzeń, jakich ustawiczną widownią jest Meksyk. Ale z owéj sztucznej lub prawdziwéj dumy, z owego rzeczywistego lub pozornego poczucia własnej godności, wyrodziła się jedna szczególniejsza cecha, wyróżniająca ten gmin od każdego innego, to jest grzeszność nadzwyczajna, posunięta aż do śmiesznej ceremonialności. W zwyczajnej rozmowie, jeden meksykanin nigdy inaczej nie nazywa drugiego jak „*caballero*” (rycerz); jeśli jeden drugiemu zaprzecza, czyni to z wszelkimi zastrzeżeniami, oddając zwykle sprawiedliwość głębokiemu rozumowi przeciwnika i trafnemu na rzecz po-

gładowi. Pierwsi lepsi dwaj obdartusi, wchodząc naprzykład do wenty, czyli po naszemu: szynku, czynią na progu wszelkie ceremonie i spory o to, który ma wejść pierwszy; słowem, jeśli, w stosunkach z północnymi amerykańskimi, podróżnika przywykłego do europejskiej ogłady razi ich zaniedbanie wszelkich form, w stosunkach z meksykańskimi znaleźć ich może aż zanadto.

Gdy Plesent zapoznawał mnie z Salvadorami, każdy z tych rycerzy podnosił się kolejno, uchylał kapelusza, w którym często było tyle dziur, ile w dachu żydowskiej karczmy; następnie, składając ceremonialny ukłon, wyciągał prawicę z taką dystynkcyą, gracyą i poczuciem własnej godności, jakich nie powstydzilby się żaden galicyjski hrabia. Zauważyłem następnie, że dżentelmeni ci, jakkolwiek wszyscy krewniacy, stryjeczni lub nawet rodzeni, nie opuszczali przecie mówiąc ze sobą grzecznego „*ustet*” lub „*caballero*.” Sądząc, że nie rozumiem po hiszpańsku, nie chcieli się przedstawiać grzeczniejszymi niż byli w istocie, nie było więc nic udanego w ich rozmowie. Trzymali się jednak razem i jakby w pewnym oddaleniu od Shrewsburych, Dżaka, a nawet i Plesenta, zachowując zresztą w stosunkach z nimi zwykłą grzeczność. Było to nawet trochę śmieszne, rubaszni bowiem amerykańkanie widocznie nie byli zdolni ocenić jak należy, ani téj towarzyskiej polityki, ani owych uprzejmości, i ze swój strony, jako bogatsi, uważając się za coś lepszego, obchodzili się cokolwiek protekcyjonalnie z czarnowłosymi rycerzami. Zresztą harmonia panowała między obiema stronami jak-najlepsza, témbardziej, że nie licząc pani Refugio, żaden

z meksykańów nie umiał po angielsku, skwaterowie zaś północi bardzo mało po hiszpańsku.

Nakoniec wieczerza była gotowa. Zasiedliśmy do niej pod werendą, nie na krzesłach, ale na starych ulach, mających kształt skrzynek. Lucyusz, ciągnięty przeze mnie za język, począł opowiadać swoje myśliwskie przygody.

— *By God!* — mówił — rok temu niedźwiedź miał mnie już pod sobą, i gdyby nie Sam, przysięgam na tę prawą rękę, że nie siedziałbym tu w tej chwili.

— *Well* — odrzekł na to flegmatycznie Sam, gładząc podgardle — opowiedz dżentlemanowi swoje wyprawy do Arizony.

Weszliśmy więc na Arizonę. Lucyusz znał, jak utrzymywał, każdy jej zakątek, zwiedzał ją bowiem ze starym awanturnikiem, nazwiskiem Rub. Wypytywałem go o indyan tamtejszych, apaczów i komenczów, o których dzikości i męztwie wiele słyszałem. Ale Lucyusz nie podzielał tego zdania. Apaczowie nie są wcale w Arizonie tak dzicy, jak o nich myślą, mówił. Często zachodzą do miast tamtejszych Prescott i Tuscon, za kupnem różnych towarów, które wymieniają za skóry, w ogóle przytém obawiają się białych ludzi. Dawniej było co innego: napady, grabieże i mordy zdarzały się codziennie. Nawet osady o znacznej stosunkowo ludności były zagrożone. Lucyusz pamiętał jeszcze dobrze te czasy. Opowiadał mi na przykład, że zaszedłszy raz z Rubem do dwóch górników francuzów, zastał ich obydwóch zamordowanych i skalpowanych. Lucyusz także brał niejednokrotnie

udział w walkach z czerwonymi. O ich męztwie mówił z lekceważeniem i pogardą. Twierdził, że w otwartej bitwie nigdy nie umieli dotrzymać białym, i że wszystkie napady odbywały się nocą, niespodzianie, z zasadzki. Zresztą, obecne pokolenia, żyjące w pobliżu osad, uspokoiły się już, zmuszone do tego krwawym doświadczeniem.

Przed paru laty odkryto w górach, przebiegających we wszystkich kierunkach kraj ten, obfite pokłady srebra, za którémto odkryciem nastąpiło zaraz obfite przesiedlenie się górników z Kalifornii, a w miarę zwiększania się ludności, i większe stosunkowo bezpieczeństwo. Tylko pokolenia mieszkające na stepach, w górach, zwłaszcza ku wschodowi i południowi, są jeszcze dzikie i drapieżne. Szczególniej odznacza się tём pokolenie Moave, mieszkające na granicy Sonory. Wypytywałem się o te szczegóły bardzo dokładnie, miałem bowiem zamiar puścić się do Arizony z pierwszą lepszą karawaną górników lub osadników szukających roli. Obecnie dosyć to łatwo doprowadzić do skutku, w całej bowiem południowej Kalifornii panuje dość ożywiony ruch emigracyjny w tamtą stronę. Z tём wszystkiém, mimo tego ruchu, ponieważ sama Kalifornia, na przeszło sześciu tysiącach naszych mil kwadratowych nie posiada jeszcze miliona mieszkańców, w środkowej zaś i wschodniej swęj części, prawie jeszcze jest pustą, więc i przyrost ludności w Arizonie nie może być znaczny. Dziś można powiedzieć, że ogromny Stan ten po największej części jest jeszcze bezludny. Główne miasta tameczne: Prescott i Tuscon, są osadami liczącemi zaledwie po kilkaset mieszkańców, w górach gdzie indziej istnieją małe osady „minerskie,” w rzadkich

dolinach, obfitujących w drzewo i wodę, tu i owdzie trafi się ferma lub „estancia” pasterska, a zresztą tysiące mil gór i stepów są jeszcze głuche, milczące i bezludne. Większa część osadników prowadzi dotychczas życie pionierskie, to jest z palcem na cynglu od karabina. Górnicy i nieliczni pasterze po wybrzeżach rzek Gila i Colorado, żyją pod namiotami.

Kraj nie produkuje jeszcze tyle, aby się sam mógł wyżywić, a ponieważ metalu, mianowicie srebra, jest obfitość, zapasy zaś żywności trzeba sprowadzać, albo niesłychanie trudną drogą przez pustynię, albo przez ocean, naokoło Lower-California, i zatokę Rubinową przez Colorado, drożyzna jest więc niesłychana. Funt mąki kosztuje dolara, funt kartofli cztery bity, czyli przeszło pięć naszych złotych. Podobne stosunki istniały dawniej w Kalifornii. Górnicy posiadający mało pieniędzy a wiele srebra „*in natura*,” lub téż złotego piasku, płacą za wszystko najczęściej nie pieniędzmi, ale surowym metalem. Kupcy mają z tego powodu znakomite zarobki. W ogóle jednak Lucyusz odradzał mi podróż do tego Stanu.

— Nie możesz sobie wyobrazić—mówił—co to za pęsepną i okropną okolicą. Widziałem rozmaite pustynie. Lower-California jest pustynią, ale rosną na niej przynajmniej kaktusy i palmety. W naszej Kalifornii, również na drodze od Los-Angelos do St. Francisco, rozciąga się ogromna przestrzeń bezwodnego stepu, ale i ten pokryty jednym lasem palmetów, gdy tymczasem w Arizonie niema i tego nawet.

— Cóż tedy jest w Arizonie?—pytałem.

— Co jest?—odrzekł—pewien krótko: góry, skały, kupy siwych kamieni i step; ani wody, ani trawy, ani drzew; nic i nic, tylko kupy kamieni i łyse góry. Prawda, srebro tam leży wszędzie, ale niech przekłety będzie mój język, jeśli warto tam je zbierać.

Potém pytałem o Gila i Colorado. Lucyusz przyznał, że brzegi ich są rzeczywiście żyzne i bujnie porośnięte, ale za tym zielonym pasem, zaraz zaczyna się bezpłodna pustynia. Tam przecie rodzi się ów „Santa-Ana-Wind.” który dusi nas tu od czasu do czasu. Nakoniec co do canionów w tamtejszych górach, znam ich, mówił Lucyusz, bardzo wiele. Lasów tam niema takich, jak w naszych: kryki mniejsze, a przytém prawie niedostępne. Wreszcie, jeśli gdzie i jest las, tam stoją wigwamy apaszów. Samemu lub w małej liczbie towarzyszków niebezpiecznie tam chodzić.

— Niech przekłeta będzie Arizona—zakończył wreszcie Lucyusz—zakładam się, że tam nigdy ludzie nie osiadą.

Opowiadaniom jego nie miałem powodu nie wierzyć, sam bowiem widziałem kraje bardzo do powyższego obrazu podobne. Napróżno starałbym się naprzykład odmalować czytelnikowi, jakie straszne, jakie przygniatające wrażenie czyni Wyoming, Utah i Newada, przez które przejeżdżałem wielką koleją dwóch oceanów. Oko nie tam nie znajdzie, prócz, to bezmiernego stepu, to dantejskich złomów i rozłomów skał, to urwisk, których nazwy same, połączone zawsze z imieniem dyabła, przejmują dreszczem, to nakoniec słonych jezior, odbijających szare posępne niebo. Na przestrzeniach tak rozległych, jak

euuropejskie mocarstwa, nie widziałem ani jednego drzewa. Szare stadka antylop lub wielkich jeleni, migaly czasem po skałach, ale czém żyją i co piją te stworzenia, to dla mnie dotychczas zagadką.

Wreszcie, nie szukając daleko, sama Kalifornia, lubo w slicznym klimacie, lubo przeważnie urodzajna, bujna i wypieszczona przez ludzi i naturę, ma jednak miejscowości ogromne, prawie zupełnie bezwodne, stepowe, pustynne. Zwiedziłem naprzykład niedawno ogromną pustynię środkową, i poprobuję ją opisać w następnych listach, tu zaś nadmienię tylko, że także nie mogę inaczej powiedzieć, jak: że byłem w krajach Danta, w krainie śmierci. Widziałem lasy palmetów, rosnące nakształt posępnych kolumn na piaszczystych bezbrzeżach. Posępne, dziwne jakieś gałęzie ich sterczą, jakby ramiona wyciągnięte ku niebu z rozpaczliwą prośbą o ratunek. Milczenia w takim potępionym lesie nie przerywa ani jedno żywe stworzenie, cicho i cicho! wiatr nie poruszy nawet porośłych, jakby pleśnią i kurzem przesmutnych ramion drzewnych, ani jednéj kropli wody nie znajdziesz na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych, cienia nie dają te szeregi kolumn: ujedziesz między nimi całe dziesiątki mil, a przerażliwa jednostajność ani na włos się nie zmieni: tenże sam piasek pod nogami, też same równe, jakby z pod cyrkla i linii, pnie kosmate, też same gałęzie zadarte w górę.

Ostateczności wreszcie takich znajdziesz mnóstwo w Kalifornii. Za doliną Yosemite, owém artystyczném marzeniem Bożém, gdzie promienne warkocze kaskad przewiażują się wstęgami tęczy, gdzie zwierciadła jezior,

rzekłbyś, pochłoneły wszystek lazur niebieski, gdzie drzewa wznoszą się na czterysta stóp wysokości, a ziemia zatopiona powodzią kwiatów, o ścianę skalną zaczynają się bezpłodne i bezwodne stepy. O Arizonie słyszałem potem i inne opowiadania, w mniej czarnych malujące się barwach, ale więcej wierzę Lucyuszowi, ten bowiem był tam prawie wszędzie i wszystko własnymi oczyma oglądał.

Skończywszy o Arizonie, począł opowiadać dalszy ciąg swych przygód myśliwskich, przyczem rozmowa zesłała na niedźwiedzia, z którym mieliśmy rozprawiać się nazajutrz. Stary indyanin, Ramon, zamieszkały u Plesentów, zabrał głos i oświadczył, że zwierz to jest „*muy grande*” (bardzo wielki). Dowiedziałem się jednocześnie, że właściwe kółko myśliwskie stanowią tylko dwaj Shrewsburowie, Dżak, Plesent i ja, bo przybyli meksykańskie, za całą broń posiadają lassa i noże. Mieli zato pilnować obu wyjść z doliny, i w razie, gdyby zwierz chciał się wymknąć tamtędy, rzucić na niego sznury i zatrzymać na miejscu. Starzy kalifornijczycy często wychodzą na niedźwiedzia tylko z lassami, ale nie zrównana ta broń, może być skutecznie użytą wyłącznie z konia, zatem nie w urwiskach i zaroślach.

Tymczasem skończyła się wieczerza i zasiedliśmy na nowo przy ognisku. Stary Ramon wziął w usta instrument, zwany „*cyotte*,” i utkwivszy oczy w niebo, jak pozujący koncertant, począł na nim brzdąkać. Zdała z ciemności dochodziły parskania meksykańskich mustangów, poprzywiązanych lassami do drzew, i dzwonki kóz angielskich, zamkniętych w koralu położonym na pochyłości góry. Słyszałem te dzwonki potem przez całą noc, przy-

wiażują je bowiem koniom i kozom dla odstraszenia dzikich zwierząt. Dźwięk ich przygłuszony, jakoby echo, wy, sprawia wrażenie smutne, ale łagodne, i skłania do marzeń.

Siedzieliśmy wszyscy przez jakiś czas w milczeniu, przerywaném tylko przez trzask palącego się drzewa i ciche tony „*cyotte*.” Wkrótce jednak milczenie to przerywane zostało jednym z codziennych wypadków w tych górach. Koło koralu z kozłętami, zaczął szczekać pies, inne poleciały zaraz za nim, i przez chwilę wawóz rozlegał się żarliwém ujadaniem! Plesent zapalił długą smolną szczypkę drzewa, wziął strzelbę i poszedł zobaczyć co się dzieje. Za nim poszedłem ja także i stary Ramon. Białe kozłeta beczwały przeraźliwie, psy zaś zebrane pod jedném wielkiém drzewem, popodnosiły w górę paszcze i wyły. Ramon, zebrawszy kilka kamieni, począł rzucać niemi w drzewo, świszcząc przytém przeraźliwie. Przez chwilę nie poruszało się nic, ale po chwili ujrzeliśmy ciemne zwierzę wielkości średniego psa, przeskakujące tak szybko na następne drzewo, że Plesent nie zdążył za niém strzelić.

— Co to było?—spytałem.

— *Lynx!* pomorek na jego potomstwo! — odpowiedział Plesent. Przywiązuję dobrego psa w koralu, a jednak to nie pomaga. Przeszłego roku srebrny lew wybrał mi dwanaście kozłat i starego kozła, za którego w Los-Angelos zapłaciłem siedmdziesiąt pięć dolarów gotówką.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, przyczém oddali-

łem się trochę na bok, wybierając drogę, jak mi się zda-
wało, krótszą, gdy nagle skwater zawołał:

— Nie tędy! nie tędy! ostrożnie, bo złapiesz się pan
w żelaza.

Jakoż niewiele już do tego brakło. Dwa sąsiednie
korale jeden z kozami, drugi z kozłętami, były to ni-
by małe fortece, do których nie łatwo było wedrzeć się
wrogom. Ale nic też nie nęciło tak wszelkiego rodzaju
drapieżników, jak owa smakowita zdobycz. Całe życie
Plesenta było ciągłą z niemi walką. Plesent jeden z pierw-
szych zapewne skwaterów, wprowadził chów kóz angor-
skich w górach Santa-Ana i miał już z niego znakomi-
te korzyści, wełna ich bowiem o wiele jest droższa od
owczęj. Kalifornia hoduje wprawdzie setki tysięcy, a mo-
że i miliony owiec, ale hodowla ta trafia na jedną nieprze-
zwyciężoną jeszcze dotąd zupełnie trudność. Oto wszy-
stkie stepy i góry Kalifornijskie, pokryte są gatunkiem
ostu, którego małe, mikroskopijne prawie szyszki, zaplą-
tują się w wełnę, przez co utrudniają niezmiernie jej prze-
dź. Dotychczas, mimo licznych prób, nie wynaleziono
jeszcze środka zaradczego, skutkiem czego i wełna nie-
ma téj ceny, jakaby mieć mogła i powinna. Kozy angor-
skie mniej są narażone na owe szyszki, sierć ich bowiem
nie kędzierzawa, tak jak wełna owcza, ale długa i wiszą-
ca, i mniej chwytą szyszki, i łatwiej może być z nich oczy-
szczoną. Dlatego sędzę, że jakkolwiek chów kóz angor-
skich możliwy jest tylko w górach, rozwinie się on w przy-
szłości znakomicie i utworzy z czasem nowe a potężne
źródło krajowego dochodu.

Chów ten zresztą, o ile mu się przypatrzyłem, nie przedstawia żadnych trudności. Skoro zaświta, otwierają koral, kozy wychodzą w góry, idą gdzie chcą, jedzą co chcą, na noc zaś wracają do koralu. W dzień nie są narażone na napady drapieżnych zwierząt. Mimo przykrego zapachu, jaki wydają te zwierzęta, przypatrywałem im się czasem całemi godzinami. Oczy ich wielkie i łagodne, jedwabista srebrna albo blado-żłotawa sierć nadają im dziwnie wdzięczną postać. Kozły zwłaszcza mają sierć tak długą, że widać im z pod niej nogi tylko od kostek; najpiękniejsze jednak są małe kozłeta, o sierci krótkiej, mlecznej i ruchach gazelli. Po skałach, urwiskach, nad przepaściami, wieszają się z nieporównaną zręcznością. Kozieł, brodac z miną starego rozpustnika, jest wodzem a przytém despotycznym władcą całego stada. On najpierwszy wychodzi rankiem z koralu; on prowadzi całe stado, pobrzękując dzwonkiem i kiwając poważnie głową: on wybiera miejsce paszy, nie dozwała zbyt rozpraszać się małżonkom, nagradza pieszczotami posłuszne, nieposłuszne zaś karci umiarkowanemi ciosami rogów. W ogóle wydaje się rozwiązłym, ale poważnym, statecznym i pełnym ufności w siebie. Z powodu ogromnej głowy, jeszcze większych rogów i obfitej sierci, robi wrażenie wielkiego zwierzęcia, w rzeczywistości jednak jest mały, a gdy go ostrzygą, wygląda jak pierwszy lepszy chłystek. Z psów nie sobie nie robi. Gdy zobaczy obcego, idzie wprost na niego, wytrzeszczając głupowate oczy, kiwając brodą i spluwając głośno, jak gdyby z obrzydzenia. Jeżeli pies nie ustępuje, ale co zdarza się najczęściej, zatrzymuje się wietrząc i przypatrując się także dziwolągowi; wówczas

i kozieł zbliżywszy się o kilka kroków staje, przez chwilę patrzy, kicha jeszcze groźniej, nakoniec zniżywszy rogi, rzuca się jak piorun na wroga.

Pies mój był ustawicznym przedmiotem podobnych napaści. Zdarza się, że wojowniczy kozieł rzuca się i na swego pana, w chwili gdy ten otwiera koral, ale pan chwytą go wówczas za sierć, jedną ręką koło karku, drugą koło ogona, i bez dalszych ceremonii przerzuca przez płot o dziesięć kroków. Obrażony takim postępowaniem sultan, wyraża swoje oburzenie głośnym pluniciem i oddała się pospiesznie.

Stary indyanin Ramon, który specjalnie zajmował się temi kozami, kochał je, jak własne dzieci. Wracając z za koralą po odstraszeniu rysia, zabrałem z owym caballero bliższą znajomość. Był to starzec siedemdziesięcioletni z białemi włosami, ale czerstwy i zdrowy. Twarz jego miała kolor brązu. Mówiono, że nie był zupełnie czystym indyaninem, ale jeśli płynęła w nim jaka domieszka krwi białych, to musiała być bardzo nieznaczna. Parę łyków „brandy,” które ofiarowałem mu z méj manierki, otworzyły mi jego serce. Siedliśmy potem koło siebie przy ognisku i poczęli rozmawiać. Pytałem go gdzie mieszka. Odpowiedział: w górach! A gdzie jest „*la casa de usted?*” (dom jego?). On zaś: O! bobre Ramon! nie ma wcale domu. Mieszka czasem u Plesentów, czasem u Shrewsburych, czasem w namiotach Salvadorów, ale najczęściej u Plesentów, bo to, bardzo, bardzo dobrzy ludzie. Dawniej, ale to bardzo dawno, Ramon miał żonę i dzieci, i szalasy i stada własne. Potem... ta nieszczęsna woda ognista... Ot, co tu mówić: teraz Ramon „*solo*” ach!

„*solito!*” powtarzał żałośnie... „*solito.*” To rzekłszy, wziął swoje „*cyotte*” i począł znowu na niém brzdąkać, utkwwszy oczy w ciemne gwiaździste niebo.

Przypatrywałem się z ciekawością temu instrumentowi, nad który niema pewno prostszego na świecie. Wszystkie prawie stoki gór pokryte są rośliną, zwaną po hiszpańsku: „*cyotte*” której angielskiej nazwy nie mogłem się dopytać. *Cyotte* jest to kępa liści podobnych do liści naszych lilii lub tataraku, tylko twardszych i zakończonych kolcami. Ze środka tych liści strzela w górę długo od pięciu do ośmiu stóp biała laska, grubsza u dołu a zwężająca się ku górze. Koniec tej laski pokrywa się na wiosnę kiściami przepysznego purpurowego kwiatu. Jestto roślina niezmiernie pożyteczna. Rdzeń laski, podobny do bżowego, lekki i wypełniający całą długość rośliny, dostarcza indyanom i meksykanom smacznego pokarmu. Jedzą także i korzeń. W czasie wycieczek myśliwskich w górach, próbowałem go niejednokrotnie. Ma on smak świeżego włoskiego orzecha. W czasie kwitnienia, około kiści purpurowych iskrzą się ~~moje~~ kolibrów i wielkich motylów, pszczoł i bąków. Jesienią, gdy kwiat opadnie, a łodyga wyschnie należyście, wtedy jest przydatną do robienia instrumentów. Obcinają ją wówczas u góry i u dołu, potem przywiązują na nięj strunę podpartą z jednej strony kijkiem i instrument gotowy. Jestto więc harfa o jednej strunie, ale gra się na nięj inaczej, jak na zwyczajnej. Stary Ramon brał cieńszy koniec w usta, i palcami jednej ręki przyciskał w rozmaitych miejscach strunę, dla wydobywania rozmaitych tonów, drugą zaś ręką ją trzącał. Pomimo całego ubóstwa dźwięków, Ramon po-

trafił jednak wygrać rozmaite melodye meksykańskie, po największej części melancholiczne i rzewne. Jeden z Salvadorów wtórował mu od czasu do czasu głębokim i dźwięcznym jak metal barytonem: którego pozazdrościłby mu nie jeden śpiewak operowy. Treść piosenek była po największej części miłosna: „Gdym spał pod cieniem magnolii, śpiewał Francisco Salvador, śniłem o tobie; gdym się zbudził i nie ujrzał ciebie, począłem tak płakać, żem usnął znów!”... Po takim krótkim przedśpiewie, następował przestanek; przez chwilę słychać było tylko dzwonki kóz i tony „*cyotte*,” a potem śpiewak kończył podniesionym głosem, wyrażającym jak najgłębszą tęsknotę: „O Julia! o Julia!”

Większe jednak jeszcze wrażenie uczyniła piosenka wyrażająca żal kochanka, po utracie narzeczonej. „Deszcz odświeżał dla ciebie powietrze, wiatr chłodził cię, muskity uciekały od ciebie, figa pochylała ci gałęzie z owocami; gdzie nastąpiłaś wyrastały kwiaty: jam ciebie kochał, o! kochał bardzo, a jednak opuściłaś mnie, dziewczyno.” Po skończeniu piosnki nastąpiła długa chwila milczenia. Donnie Refugio przypomniła się zmarła siostra i łzy zabłysły w jej oczach, więc chcąc je ukryć, wstała i poszła pomywać statki po wieczery; Lucyusz Shrewsbury posępniał jak noc; a Plesent, zwróciwszy się do mnie, począł mówić:

— Pan nie znalazł siostry mojej żony? na imie jej było Monika. Kochaliśmy ją oboje, jak własną córkę. Ach panie! taka była dobra, taka młoda, taka ładna, ważyła przeszło sto czterdzieści funtów! i ot, waży ją ukąsił i umarła.

Byłem gotów domieszać lzy moje do wspólnej łzawicy nad losami pięknej Moniki, gdyby nie ta czysto amerykańska wzmianka o wadze stu czterdziestu funtów, która sprawiła, że musiałem przygryźć usta, aby się nie uśmiechnąć. Chcąc coś powiedzieć, spytałem czy Monika była już narzeczoną? Na to Plesent spojrział na Lucyusza, który patrzył ponuro w ziemię i nie odrzekł nic. Potém dowiedziałem się, że nie była jeszcze narzeczoną, ale kochali się oboje z Lucyuszem. Co za tragiczne rozwiązanie sielanki! co za powtórzenie smutnych losów Pawła i Wirgini! Lucyusz wyciosał własnymi rękoma trumnę dla kochanki. Na grób jój nanosił z siłą olbrzyma ogromnych kamieni, aby kujoty nie niepokoiły snu zmarłej, i między kamienie nasadził dzikich róż. Widziałem potém to miejsce. Róże dzikie przez rok rozrosły się bujnie... i gdy się zbliżył, chwyciły kolcami za moje odzienie, jak gdyby zmarła dziewczyna starała się zatrzymać przechodnia, i prosić o „Zdrowaś Marya!”

Tymczasem na owych gawędkach, śpiewach i rozmyślaniach zeszła znaczna część nocy. Była północ. Kogut począł pisać pod szopą, w której stał wóz i maszyny pszczelnicze Plesenta. Starszy Shrewsbury wyciągnął nogi, poglądził podgardle, i zwróciwszy się ku gospodarzowi, rzekł:

— *Well!* jutro wstaniemy o świcie!

Udaliśmy się na spoczynek. Meksykanie poszli do szopy, gdzie znajdowało się trochę słomy jęczmiennój, ale gdzie stał także odłączony od stada stary kozieł, zatrzymujący powietrze, Shrewsburowie zaś, ja i Dżak, pokładaliśmy się koło ogniska. Mimo, że byłem niezmiernie zmę-

czony, a może właśnie dlatego, nie mogłem usnąć. Lucyusz, Monika, stary Ramon, jutrzejszy szary niedźwiedź, wszystko to krążyło w bezładném zwichrzeniu w méj głowie. Przytém w uszach brzmiały mi ciągle monotonne dzwonki kóz; czasem zakwiczały konie; czasem zawyły na szczytach dalszych gór zwierzęta, to znów psy zrywały się nagle i biegnąc z hałaśliwém ujadaniem, niknęły w ciemnościach; sen zamknął mi powieki dopiero koło godziny drugiej, gdy ognisko zasuło się popiołem i wygasło prawie zupełnie.

II.

Rozbudził mnie chrzęst żelaznego stempla w lufie. Otworzywszy oczy ujrzałem w półmroku, w półświecie, ogromną postać Lucyusza, pochyloną nad długą rurą karabina. Starszy Sam nie spał już także, meksykańskie ruszali się pod szopą, a w okienku Plesentów połyskiwało światło. Na niebie był dopiero pierwszy brzask. Niepojęty urok ma dla mnie zawsze ta chwila, w której Ormuzd kończy zwycięzką walkę z Arimanem. Jest coś mistycznego w naturze, gdy powietrze poczyną nasycać się zwolna bladem światłem: coraz nowe przedmioty, to skały, to drzewa wychylają się stopniowo z cienia; światło określa ich kontury, bieli leciuchno linie, rysuje zwolna kształty, z początku szaro, blado, mętnie, sennie; potem coraz wyraźniej i wypuklój; rzekłbyś, ciemność miesza ze sobą przedmioty, unicestwia i roztapia je w sobie, brzask powołuje je napowrót do życia; uśpienie owija jeszcze świat, ale już zasłona nocy podnosi się, i jawa, wraz z wrażeniami

rzeczywistości, poczyną się podstawić w fantastyczne obrazy snu. Jestto pół-istnienie, pół-nicość, pół-wid a pół-mara; jestto nakoniec szara granica między panteistycznym nieosobowym światem pomroki, a budzeniem się życia indywidualnego.

Wysoce tajemnicza i poetyczna chwila dla tego, kto ją umie czuć i pojąć. Zabłąkaną w tych pustyniach leśnych, pod gorącym niebem Kalifornii, więc stęsknionej za krajem, i rozkołysanej duszy mojej, wydała się ona jeszcze pełniejszą tajemniczych czarów i uroków. Tymczasem noc bladła i bladła, odległe przestrzenie z szeregi pni drzewnych, stały się coraz widoczniejsze dla oka; ranny ptak, dzieciół, począł pukać w drzewo, jakby chciał mówić: „puk! puk! wstawajcie, oto dzień robi się na górach i dolinach.” Wreszcie w przerwie dwóch gór ukazały się pierwsze blaski jutrzni porannej.

Leciuchna, przejrzysta, seledynowej barwy smuga wyciągnęła się naksztalt pasem i włókien na wschodzie. Niebo całe było jeszcze chłodne, ciemne i zimne, ale smuga rosła, rozlewała się coraz szerzej. Zwolna górny jej brzeg począł przemieniać się w blado-złotawy szlak. Oko nie mogło uchwycić przemiany tonów, tak nieznacznie jedna barwa topniała w drugiej. Błękit, blade złoto i blada zieloność igrały ze sobą przez chwilę, aż wreszcie wszystkie przesłoniły się, niby leciuchną mgłą różaną. Wstawiała jutrzienka: „rózanopalca jutrzienka,” jak ją nazywa Homer, śliczna, zapłoniona, zalewająca góry i doliny radosnym światłem i zmieniająca na brylanty krople rosy wiszące na liściach dębów. Była jakaś radość prawdziwa w tym dziewiczym, młodym jeszcze świecie, budzą-

cym się do życia, z ochotą do życia, i wiarą w życie. Ptaki poczęły śpiewać, kozy beczeć, psy skakać wesoło i biegać. Na wszystkich skłonach gór ozwało się zwykle: „o ho! ho!” kuropatnich kogutów zwołujących samice. My wszyscy byliśmy w doskonałych usposobieniach. Poważny nawet Sam śpiewał znaną pieśń amerykańską, w której co zwrotka powtarza się: „Hej, ho Missisipi, Missisipi *river!*” Wreszcie, opatrzywszy broń, ruszyliśmy na wyprawę.

Zeszedłszy do kamiennego korytarza, puściliśmy się w górę potoku. Plesent i stary Ramon, jako najświadosi miejscowości, szli naprzód, drugą parę stanowiłem ja i Lucyusz, Sam zaś z Dżakiem zamykali pochód. Meksykanie wyruszyli jeszcze znacznie przed nami, jedni ku zachodniemu, czyli dolnemu; drudzy ku wschodniemu, czyli górnemu biegowi strumienia. Ci ostatni, część tylko drogi mogli iść łożyskiem, dalej zaś, jak to wskazywały ślady, wdarli się na brzeg i przejechawszy wzgórze, około którego zaginał się strumień, skrócili sobie przez to znakomicie drogę. Celem ich było wedrzeć się w głąb' gór, jak można najdalej, aby w razie gdyby zwierz chciał ujść w górę łożyska, przeciąć mu drogę. Plan tedy wyprawy, ułożony przez Ramona i Lucyusza polegał na tém, aby kawalerya zajmując dwa ujścia doliny, napędziła zwierza na piechotę, znajdującą się w środku. Niedźwiedź mógł wprawdzie tak dobrze starać się ujść bokami, jak i łożyskiem, ale że boki doliny utworzone były przez skłony gór dość spadziste, a widne dla oka, rzadka bowiem tylko zarosnięta dębami, w takim więc razie, ujrzelibyśmy go z pewnością. Zresztą Ramon, który był znakomitym

traperem, utrzymywał, że niedźwiedź prawie napewno będzie się znajdował na jedném wzgórzu, tworzącem zagięcie strumienia i wystającém niezmiernie stromo nad wodę. O trzy mile od granicy klemu Plesenta, Ramon począł uważnie przypatrywać się wązkemu szlaczkowi piasku pomieszanego z miką. Przez chwilę badanie to było bezskuteczne, nagle jednak stary indyanin pochylił się i wykrzyknawszy zcicha: „*hugh!*” ukazał nam głęboki i wyraźny ślad. Był on tém widoczniejszy, że we wgłębieniu zebrała się obficie mika, ślad więc błyszczał jak pozłocony. Było ich trzy, z tych dwa tylko wyraźne; potem znowu nikły na kamieniach. Swoją drogą, Ramon umiał je dojrzeć tam nawet, gdzieby kto inny ich nie podejrzывał. Dziwny widok przedstawiał ten starzec z brązową twarzą, a białemi włosami, wietrzący, jak gończy pies, pochylający się co chwila i wykrzykujący raz poraz gardłowo: „*hugh!*” Wczorajszej nocy, gdy siedział w kuczki przed ogniem, z łokciami opartemi na kolanach i mleczną głową wspartą na ręku, wydawał mi się zgrzybiałym prawie; dziś nozdrza jego były rozdęte i poruszały się szybko, jak gdyby chwytając wiatr, oczy zaś błyszczące biegały z prawdziwie indyjską ruchliwością, badając każdy złam skały przy łożysku, każdy krzak na skłonach gór i wreszcie grunt pod nogami. Zbliżając się do owego wzgórza, na którém prawdopodobnie zwierz obrał stałą siedzibę, szliśmy coraz wolniej, a przytém tak cicho, że słyszałem doskonale szmer wody po kamieniach, pukanie dzięciołów na drzewach i nawoływanie się kuropatw górskich. Rannek był śliczny, słońce już weszło, powietrze, przesyczone

miodowym zapachem szaławii, sprawiałoby prawdziwą rozkosz płucom, gdyby nie to, że miejscami zatrzymywały je obrzydliwe wyziewy skunksów, czyli śmierdzieli amerykańskich, małych czarnych zwierzątek, nader obfitych w tych górach. Straszliwy zapach, jaki wydają, nie jest niczém więcej, jak tylko nadmiarem piżma, a zatém substancyi, która w małej ilości atomów jest nawet wonna, ale w nadmiarze poprostu dusi. Dom, pod którym ukrywa się skunks, staje się absolutnie nie do mieszkania; zapach wchodzi nosem, gardłem, przepełnia płuca, sprawia krztuszenie się i wymioty. Nie znoszą go nawet psy; kury zaś, poczuwszy go, wpadają w zupełne omdlenie.

W ciągu naszego pochodu, trzy lub cztery razy natrafialiśmy na ów zapach, tak że z największém wysileniem potrafiłem wstrzymać się od kaszlu. Doszliśmy wreszcie do owego wzgórza wystającego, jakby trójkąt, nad okrążającym je strumieniem. Nadzieja znalezienia na niém zwierzka zmieniła się prawie w pewność, gdy stary Ramon ukazał nam tuż u jego stóp wielki kamień porośnięty delikatnie śliską warstwą mchu. Zwierz widocznie wdzierał się po nim na wzgórze, i wdzierał się niedawno, mech bowiem wilgotny, widocznie świeżo był pościerany, w krésach zaś, utworzonych przez ześlizgiwanie się straszliwych pazurów, błyszczała rosa nocna. Ramon wskazawszy nam te ślady, wyszepnął cicho: „*orso*” i zaraz potem rozdzieliliśmy się na dwie partye. Lucyusz, Sam i Plesent, okrążyli wystający cypel, aby się wdrzeć na wzgórze z drugiego boku, my zaś poszliśmy wprost pod górę. Zarośla były tu tak gęste, że postępować naprzód można było tylko nadzwyczaj wolno. Nasza trójka, to

jest Ramon, Dżak i ja, rozdzieliliśmy się także w ten sposób, że jeden od drugiego przynajmniej o czterdzieści kroków był odległy. Teraz zaczęło się prawdziwe polowanie. Całe wzgórze ciche było jak grób; najbystrzejsze oko nie mogłoby dojrzeć nas, pełzaliśmy bowiem w zaroślach, ukryci nawet jeden przed drugim.

Od czasu do czasu tylko każdy podnosił głowę, aby po drzeniu krzaków przekonać się, gdzie są jego towarzysze. W ten sposób raz ujrzałem jasną brodę Dżaka, drugi raz palające oczy Ramona. Upłynęło dziesięć minut, kwadrans, a zrobiliśmy zaledwie kilkadziesiąt kroków pod górę. Trafiłem na miejsce, gdzie u stóp zarośli leżał obficie zwir: małe kamyki poczęły staczać się i szeleścić, musiałem więc przyczać się i czekać. Następnie poruszyłem się jeszcze ostrożniej. Upłynęło wreszcie z pół godziny. Poczynałem się trochę niecierpliwić. Cisza i cisza! Podniósłszy głowę, dojrzałem na prawo i na lewo lekkiego drżenia zarośli, towarzysze widać szli naprzód. Przyszło mi do głowy, że gdybyśmy podnieśli okrzyk, zwierz, jeśli istotnie znajduje się w zaroślach, ukazałby się prędzej. Była to prawda, ale też jeśli się znajdował blisko wierzchołka, od którego my byliśmy jeszcze odlegli przynajmniej na sześćset jardów, w takim razie przebyłby go i skrył się przed naszymi oczyma, zanimbyśmy zdolali uczynić połowę drogi. Zresztą niecierpliwość moja nie miała już być na zbyt długą próbę wystawiona. Upłynęło może jeszcze kilkanaście minut, gdy po drugiej stronie cypla huknął strzał karabinowy, potem rozległ się straszliwy ryk, potem wysilony okrzyk: „*take care!*” „*take care!*” Potem drugi strzał i trzeci. Zer-

waliśmy się na równe nogi i biegli na złamanie szyi do cypła. Ramon, który był go najbliżej, dobiegł też najpierwszy. Widziałem go zdaleka, jak dobiegłszy, zatrzymał się i natychmiast przyłożył kolbę do twarzy. Potem buchnął strzał i znowu dwa jeszcze, i znowu ryk, odtąd już nieprzerwany, i nawoływania: „*take care!*” lub „*come here!*” Nakoniec przybiegliśmy na skręt, ja i najbardziej oddalony Dżak. Objąłem teraz okiem całą pochyłość drugiego boku. Wyżej stali dwaj Shrewsburowie tuż koło siebie i nabijali na gwałt karabiny, dalej zaś nieco stał Plesent, który mierzył spokojnie. Niedźwiedzia nie mogłem dojrzeć odrazu, po chwili jednak ujrzałem u stóp prawie wzgórza ogromną szarą masę, podobną do olbrzymiej kuli, wdzierającą się szybko na górę. Nie rozumiałem nic co się stało. Spodziewałem się ujrzeć strzelców na dole, a niedźwiedzia u góry, tymczasem stało się przeciwnie. Ale nie było czasu na tlómaczenia, wszystko bowiem, co opisuję, liczyło się na sekundy, nie na minuty. Plesent strzelił, szara massa wydała nowy rozpaczliwy ryk, ale wdierała się dalej szybko. Wówczas wymierziliśmy obaj z Dżakiem. Niedźwiedź zapadł na chwilę w zarośla, ale zaraz ukazał się nanowo. Wtedy strzelił Dżak. Po jego strzale zwierz porwał się na nogi, ale upadł w tył i stoczył się aż do potoku. Ogromne hurra! wyrwało się z naszych piersi. Sądziłem, że to już koniec, ale twardego życia potwór, znowu się zerwał i począł, czepiając się pyskiem i pazurami krzaków, biedz na Shrewsburych. Bracia jeszcze raz dali ognia, my zaś z Dżakiem, posiadając czternasto-strzałowe karabiny, zwane „Henry-rifle,” posyłaliśmy kulę za kulą. W tej

chwili rozległ się i tentent meksykańskich jeźdźców, którzy galopując po przeciwnym, płaskim brzegu strumienia, wyli jak dzikie zwierzęta. Dwaj z nich, dopadwszy brzegu, przedzieleni od zwierza tylko strumieniem i niewielką przestrzenią skłonu wzgórza, zakręcili nad głowami straszliwe sznury, ale nim pętlice były rzucone, nowa salwa zakończyła dramat. Zwierz stoczył się jeszcze raz do strumienia, ale już nie zerwał się więcej. Mimo to, gdy chciałem biec ku niemu, Dżak zatrzymał mnie grmiącym: „*stop!*” Poczuliśmy schodzić pomału, wszyscy razem i z palcami na cynglach. O dziesięć kroków, zatrzymaliśmy się gotowi do wystrzału. Zwierz leżał na brzuchu z wyciągniętymi łapami i drgał jeszcze. Z pyska wypływał mu ogromny strumień krwi, od czasu zaś do czasu dawało się słyszeć chrapanie konania. Piasek i trawa, na których leżał, poszarpane były strasznymi pazurami, okrwawione wargi i nos zwierza powalane piaskiem, za który widocznie chwycił z wściekłości zębami.

Lucyusz strzelił jeszcze raz, przyłożywszy prawie lufę swego „kentucky” do głowy zwierzęcia, poczem drgania ustały, cielsko zaś wyprężyło się nieruchomo. „*Enough!*” (dosyć!) rzekł flegmatycznie Sam. Poczem zaczęliśmy oglądać nieboszczyka.

Podziurawiony był jak sito. Jedna kula trafiła w głowę tuż koło ucha, druga pod oko, nie licząc ostatniej Lucyuszowej i tych wszystkich, które miał w ciele. Nie był to zwierz tak olbrzymi, jak ten, którego widziałem w Cheyenne, na kolei dwóch oceanów, ale także jeden z największych w swoim rodzaju. Podłożywszy obie ręce pod jego dolną szczękę, zaledwie mogłem unieść trochę

z ziemi ogromny łeb. Odchylałem mu także wargi, aby przypatrzeć się zębom. Siedziały na nich całe sople krwi już krzepnącej, łapy jego przednie uzbrojone były w pazury, przy których pazury naszych litewskich białoszyków zaledwie na nazwę pazurów zasługują.

Szary niedźwiedź amerykański, na miejscu zwany „grizly,” po łacinie zaś „*ursus ferox*,” jest najniebezpieczniejszém zwierzęciem z rodzaju niedźwiedziowatych. Przenosząc ogromem i siłą największe gatunki europejskie, przewyższa je także dzikością, zuchwalstwem i okrucieństwem. Na ludzi dość rzadko lub prawie nigdy nie napada pierwszy, jednakże mało ich się obawia, i zdarza się, że nękany głodem, wdziera się gwałtem nawet do chat lub szałasów skwaterskich. Spotkawszy człowieka, poczyną sapać gniewnie, małe jego oczki świecą wściekłością; zaczepiony zaś, rzuca się natychmiast i ściga z zaciętością niesłychaną swoją ofiarę. Z powodu jednak swego ogromu i ciężkości, nie może wdzierać się na drzewa, jak to czynią niedźwiedzie europejskie. Życie jego tak jest twarde, że ugodzony kulami w głowę, może biędz jeszcze bardzo długo.

Jedném słowem, jestto spadkobierca w prostej linii niedźwiedzia kopalnego. Skłonni do chępliwości amerykańkanie, szczycą się nim, opowiadając straszne wypadki z polowań, i utrzymując stanowczo, że ani afrykańskie lwy, ani indyjskie tygrysy nie mogą z nim iść w porównanie. Jakoż sędzę, że szary niedźwiedź przewyższa siłą te olbrzymie koty stref południowych, czy zaś polowanie na te ostatnie jest niebezpieczniejsze, dotychczas nie wiem.

Po przypatrzeniu się należytem martwemu potworowi, stary Ramon pozostał wraz z meksykańcami, aby zeń zedrzeć skórę i poodcinać smakowite łapy, przyczem prosiłem, aby zachowano dla mnie kły i pazury, my zaś wróciliśmy do chaty. Donna Refugio czekała już nas ze śniadaniem. Uważałem jednak, że twarz jej nie ożywiła się ani na chwilę podczas naszych opowiadań. Opowiadania te wyjaśniły mi niezrozumiałą okoliczność, dlaczego dobiegłszy do cypla wzgórza, ujrzałem niedźwiedzia na dole, a strzelców w górze, nie zaś przeciwnie. Była rzecz taka: Lucyusz, który pierwszy ujrzał zwierza, ujrzał go nad sobą: strzelił i ciężko ranił. Wówczas niedźwiedź rzucił się na niego natychmiast, jak burza; wówczas także usłyszeliśmy przeraźliwe wołania Sama: „*take care!*” Jakoż Lucyusz zdołał uskoczyć w bok, niedźwiedź zaś nie mogąc się zatrzymać, stoczył się aż do stóp góry. Na polowaniach trafia się to często. Zwierz ten mając tylne nogi cokolwiek wyższe od przednich, z niezmierną trudnością może biédz z góry. Najczęściej trafia się, że traci równowagę i nie zbiega, ale stacza się na głowę. Za to pod górę, koń nawet uciec przed nim nie zdoła. Ten sam wypadek zaszedł i w ostatniem spotkaniu.

W godzinę po nas wrócił Ramon i meksykianie. Po ich powrocie rozpoczął się prawdziwy koncert ujadania i wycia, psy bowiem zwietrzywszy skórę, podniosły taki gwałt, jakby ich własna skóra była zagrożoną. Tegoż dnia, który z powodu szczęśliwie ukończonej walki uważaliśmy jako uroczysty, Salvadorowie wyprawili rodzaj niby turnieju, niby gonitew konnych. Po południu udali-

śmy się wszyscy na obszerną płaszczyznę, zrzadka tylko zarośniętą dębami. Meksykanie wszyscy byli konno, w rękę zaś trzymali skręcone wkółko lassa, czyli, jak je nazywają: „*rietta*.” Gdy owe gonitwy rozpoczęły się, nie wiedziałem co mam więcej podziwiać: zręczność koni, czy też jeźdźców. Jeden z rycerzy udawał uciekającego i przytulał się do kulbaki tak, że głowa, ręce i nogi jego tworzyły jedną całość z koniem, o którą lasso nie miało się jak zahaczyć; drugi, kręcąc nad głową straszne sznury i wyjąc gonił przeciwnika, pragnąc go schwytać. Upatrzywszy stosowną chwilę, rzucał lasso, przyczem koń, lubo rozpędzony, zwracał na miejscu młyńca i poczynął galopować w przeciwną stronę. Jeżeli lasso ześliznęło się nie zaczepiwszy o uciekającego, wówczas ten z kolei stawał się goniącym i usiłował w ten sam sposób schwytać przeciwnika. Najczęściej jednak trafiało się, że sznur chwytal za głowę uciekającego. Jedynym wówczas sposobem, aby nie zostać ściągniętym z konia i zaduszonym, jest zwrócić szybko konia i galopować w ślad za tym, który lasso trzyma w rękę, doścignąć go i rozpocząć z nim walkę ręczną. Wymaga to niesłychanej zręczności i umiejętności kierowania koniem, jeździec bowiem, który trzyma sznur, umyślnie robi niespodziane zwroty, aby ściągnąć z kulbaki schwytanego.

Najzręczniejszym i najsilniejszym z Salvadorów okazał się Jesus (Hesus), trzydziestoletni, barczysty meksykanin, z czarną brodą, i z prawdziwie orlém spojrzeniem. Rzut jego „*rietty*” nigdy nie był omylny, schwytywał zaś doganiał przeciwnika, i zrzucał go z konia. Dał przytém dowód wielkiej prawdziwie siły, gdy dogoniwszy brata

swego Doroteo, schwycił go jedną ręką jak kawałek drzewa, ściągnął z kulbaki i przesadziwszy na swoją, puścił na ziemię dopiero u nóg naszych. Ten dowód siły obudził zazdrość Lucyusza, który, chcąc popisać się przedemną, wyzwał Jesusa, aby się z nim próbował. Jesus z początku nie chciał, wreszcie jednak zgodził się i wzięli się za bary. Po kilku sekundach młody „yankee” uniósł atletę meksykańskiego w górę i rzucił go na ziemię, przy czém wybił mu rękę. Poprzednio jednak jeszcze odbywała się gonitwa z kogutem. Wyproszonego naumyślnie na ten cel u pani Refugio nieszczęśliwego ptaka, zakopano lekko ze związanemi nogami w ziemię, tak, aby mu widać było tylko głowę i szyję. Potém kolejno każdy z „caballeros” odjeżdżał na kilkadziesiąt kroków, wypuszczał konia i przelatując w największym pędzie koło koguta, starał się go uchwycić za łeb i wyciągnąć z ziemi. Po kilku takich próbach, kogut zdechł, a po kilkunastu, głowa jego została w ręku któregoś z Salvadorów. Dowiedziałem się później, że zabawa z kogutem należy do ulubionych zabaw meksykańskich, i że raz do roku odbywają się podobne gonitwy z wielką uroczystością pod Los Angeles. Zjeżdża wówczas na nie cała ludność meksykańska i wielu yankesów z miasta i okolicznych farm.

Wieczorem tego samego dnia przybyło do osady Plesenta trzech indyan z dzikiego jeszcze zupełnie pokolenia Cachuilla, zamieszkałego z drugiej strony Santa Ana. Twarze ich koloru ciemno-czerwonego, były podobne do cygańskich. Na głowach nie mieli piór ani warkoczy, ale włosy ich spadały w grubych splotach po obu stronach głowy. Ubrani byli w mokasiny ze skór

jelenich, i w pewien rodzaj koszul nieosłaniających piersi. Wogóle wyglądali raczej na żebraków niż na wojowników, i w niczem nie przypominali mi Siouxów, których kilku widziałem na kolei dwóch oceanów. Nie było w nich ani téj obojętności, ani téj energii, ani dumy. Ciała ich przytém wydawały pewien przykry zapach, który szczególnie drażnił powonienie psów naszych. Ani jeden z tych trzech nie miał strzelby, uzbrojeni byli w łuki, strzały i toporki obsadzone na rękojeściach z drzewa zwanego „*hicoro*.” Rozmawiałem z nimi z pomocą staro Ramona, żaden bowiem nie umiał ani po angielsku, ani po hiszpańsku. Biédacy ci powiedzieli, że głód panuje w ich wigwamach, i że idą do białych prosić, aby im dali co jeść.

— Czyż czerwoni wojownicy nie mogą zabijać jeleni i bitornów?—pytałem przez Ramona. Na to „U-wa-ka,” starszy widać od innych odrzekł:

— Odkąd deszcze spadły w górach, jelenie nie schodzą pić do źródeł, czerwoni zaś nie mogą doścignąć ich na szczytach.

— A czy nie mają krów i owiec?

— Mieli je, ale zjedli, przytém wiele owiec zdechło im z braku wody.

— Czy rozeszło się całe pokolenie?

— Nie: zostały skwawy, starcy i dzieci, młodzi zaś poszli szukać pracy u białych.

Dałem im trochę tytoniu i wódki. Kupiłem także łuk i strzały; a raczej dostałem je w zamian za nóż. U-wa-ka pokazywał jak się strzela z łuku, i oddaliwszy się na chwilę ze mną między dęby, przeszył strzałami kilku

dzięciółów i błękitniaków. Probowałem potém i ja, ale lubo pokazało się, że potrafię naciągnąć łuk daleko silniej od wygłodzonego indyanina, jednakże strzały, które wypuszczałem, przechodziły o kilka łokci od celu, gdy tymczasem on nie chybiał prawie nigdy. Mając zamiar pomieszkać trochę w indyjskich wigwamach, pytałem kiedy wojownicy wrócą napowrót z za gór. Odpowiedzieli mi, że za miesiąc. A czy mnie przyjmą?

— Przyjmą i cieszyć się będą. Brat biały będzie polował razem z czerwonymi w wawozach, przyjedzie kiedy zechce, odjedzie kiedy zechce, będzie zasiadał u ogniska czerwonych, palił z nimi i nikt z pokolenia Cachuilla nie podniesie na niego ręki. Tymczasem Lucyusz który słuchał zdaleka naszej rozmowy, zbliżył się i pytał:

— Jakto, chcesz pan mieszkać w ich trzcinowych namiotach?

— Tak jest?

— I nie obawiasz się?

— Czyżby mieli rzucić się na mnie?

— Nie, bo gdyby który z tych czerwonych dyablów śmiał to zrobić, roztrzaskaj mu łeb w jego własnym wigwamie.

— Z pewnością to zrobię.

— *All right!* ale nie obronisz się pan innemu niebezpieczeństwu, to jest wszom. Ja, mówił dalej Lucyusz, znam ich z tego, i by God! gdybym miał dziś w kieszeni tyle dwudziesto-dolarówek, ile każda z tych małp ma wszy w głowie, założyłbym bank we Frysko (San-Francisko).

Wyznaję, że słowa Lucyusza ostudziły trochę moją chęć pożycia między czerwonoskórymi, a nawet na razie

zmniejszyły sympatyą do nich. Swoją drogą jednak biedacy ci zasługują pod każdym względem na litość. Pokolenia zamieszkujące północne prerye Stanów, i pokolenia południowe, jako to: Apacze i Komencze, umieją się bronić przynajmniej; mają jeszcze jaką taką siłę oporu; ale indyanie kalifornijscy dali już zupełnie za wygraną. Nikt o nich nie wie, mało kto o nich słyszał. Najlepszym tego dowodem jest, że zanim udałem się w góry, bardzo wielu kalifornijczyków zaręczało mi, że dzikich indyan wcale już niema w Kalifornii. Jakoż są ich tylko szczątki. Ukryci w niedostępnych canionach, lub na pustych stepach, potomkowie potężnych niegdyś pokoleń wiodą życie koczujące, trochę pasterskie, więcej myśliwskie, a potrochu także i żerujące. Nikt ich już tu nie przesładuje, bo nie zawadzają nikomu. Wpół ucywilizowani, zajmują się jesienią do winobrania, a następnie kupują czerwone materye, lub przepijają zarobek w mieście; nieucywilizowani przymierają często nawet głodem, w ogóle zaś żyją z dnia na dzień, Bóg wie czém, tembardziej że z téj strony San-Bernardino niema bawołów, stanowiących główny pokarm innych pokoleń.

Donna Refugio opatrzyła tych biedaków słoniną i fasolą, a że było już późno, odeszli więc między drzewa i pokładli się spać. Nazajutrz rano nie było ich już w osadzie.

Dzień jeszcze bawiliśmy u gościnnych Plesentów. Gospodarz pokazywał mi swoją pasiekę, która przynosiła mu znakomite dochody. Na polance, zarosłej rzadko dębami, stało na drewnianych podstawkach dwieście przeszło uli w kształcie skrzynek malowanych na biało. W skrzy-

kach takich umieszczają się ramki, które pszczoły zarabiają woskiem i miodem. Ramek takich jest jedenaście. Wosku raz zrobionego nie zabierają nigdy, przez co pszczoły, nie tracąc czasu na robotę wosku, robią dwa razy tyle miodu. Ciekawym jest także sposób jakim wydobywają miód. Robi się to za pomocą umyślnie na ten cel wynalezionéj maszyny. Ramka wraz z woskiem i miodem wstawia się w cylinder i poddaje szybkiemu obrotowi, skutkiem czego miód, na mocy siły odśrodkowej, wylatuje co do kropli. Nie gniecie się przytém ani jedna komórka woskowa. Po wypędzeniu miodu ramkę wraz z woskiem wstawiają napowrót do ula, pszczoły zaś natychmiast poczynają ją napełniać. Wydajność miodowa jest tu prawdziwie zadziwiająca: w najgorszych latach przewyższa ona pięciokrotnie wydajność, o jakiej słyszałem u nas. Tłómaczy się to tém, że najprzód pszczoły w ciepłym klimacie są dzielniejsze, a powtóre, że podczas gdy u nas zima trzyma je zamknięte w ulu przeszło pięć miesięcy, przy czém wychodzą ogromne zapasy miodu, tu pszczoły pracują prawie cały okrągły rok, zimą bowiem i latem stoki gór okryte są kwiatami. Miód tutejszy przewyższa także dobrocią, zapachem i przezroczystością nawet litewski lipiec.

Wogóle, gospodarstwa pasieczne są tu prowadzone wcale nie na stary barciowy sposób lub w pniach, ale z wszelkimi ulepszeniami, jakie wynaleziono w czasach ostatnich. Utrudniony zbyt, z powodu braku dróg, nie pozwalał się jak należy rozwijać téj gałęzi gospodarstwa krajowego. Od chwili jednak gdy wszyscy skwaterowie-

pasiecznicy zawiązali: „Towarzystwo kalifornijskich pszczolarzy,” i gdy produkt swój postanowili wysyłać wprost do Liwerpool bez pośrednictwa osób trzecich, ceny miodu natychmiast podniosły się, oczekują zaś, że w przyszłości będzie to jedna z najbardziej zyskownych gałęzi gospodarstwa.

XI.

Szkice amerykańskie.

Nie pamiętam, czym opisywał już pierwszą moją podróż z San-Francisco do Los-Angeles. Upłynęło od tego czasu ze sześć miesięcy. Kolej żelazna nie była jeszcze wówczas skończona, odbywałem więc drogę oceanem Spokojnym. Statek „Mohongo,” stary weteran, kursujący niegdyś między Chinami a Kalifornią, pełni obecnie takąż samą służbę między San-Francisco a San-Diego. Wydostawszy się z olbrzymiej zatoki San-franciskańskiej, przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden-Gate) na Ocean, i przepłynąwszy koło skał Clif-Housu, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydał mi się bardziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna, a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w oddali ze sklepieniem nieba. Czasem tylko, na owych dwóch błękitach niebios i morza, zaczer-

niała, naksztalt chmurki, smuga szarego dymu; to jakiś parowiec pasażerski przewożący ludzi i towary z wysp Sandwich do Kalifornii, wyrastał z wolna, jak gdyby z pod toni, na krańcu widnokregu; czasem zabeliał żagiel rybackiego skuneru. Czarne pobrażne skały wydawały się zdaleka jakby całkowicie pokryte jakimś olbrzymiem robactwem, poruszającym się i pełznącym naksztalt liszek, lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich, za zbliżeniem się statku, rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tyśiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowy i, otwierając paszcze, witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice szczekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad temi ruchliwemi skałami, a wyżej jeszcze świeciło gorące półzwrotnikowe słońce. Widziany zdala wysoki brzeg piętrzył się wyniosłemi urwiskami, z poza szczytów których wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzieniegdzie strumień spadał białą jak mléko kaskadą z wysokości kikudziesięciu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk, albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem: było śliczny krajobraz morski, pelen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiał go całe nasze towarzystwo: w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby niema: stary „Mohongo” drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej. Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują

się zdrowsi, smutni weselsi. Jedziemy naprzód, za nami ciągnie się szeroki szlak zbitęj kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się, rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie: jedna porywa za ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne wzajemnie, aż tu nowy ogryzek zatacza łuk ku morzu i znowu toż samo, a my śmiejemy się, jakby z najdowcipniejszej krotofili. Takie to są zabawy podróżników. Po chwili inna nowość: co to takiego? co to takiego? wołają w okęcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia, a stewart okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornój zupie. Odpowiadamy ogólném: „hurra!” Niektórzy mają ochotę się kapać; inni: a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamcy. Indywiduum podobne znajduje się na każdym okęcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępioném koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niedługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia, przerywam mu nieśmiało i pytam, czy nie sądzi, że latające ryby znajdują się tylko w wodach znacznie bliższych równików?

— Tak?—pyta niezmiuszony wcale, przymrużając jedno oko—a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

— Nie.

— To bardzo dobrze, bo i ja nie widziałem.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nademną stanowcze zwycięstwo, ponieważ niema już mowy o rybach

latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy obaj.

Jak żyję nie widziałem tak wesołego towarzystwa. Z lada powodu śmiejemy się wszyscy jak dzieci. Oto, np. z pod pokładu wychyla się kosooka głowa chińczyka, rozgląda się głupowato po pokładzie, i woła przez nos: „*Jeh-hang!*” „*Jeh-hang!*” Na pokładzie niema żadnego *Jeh-hanga*, ale natychmiast wszyscy poczynają wołać: „*Jeh-hang!*” na całym okręcie rozlega się *Jeh-hang!* na wszelkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: „*Jeh-hang!*” Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół żółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem sam pieprz. Nawet amerykańcom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewardów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala murzyn lampy, obiad się kończy, i wychodzimy znów na pokład.

Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebieskie i białe światło dnia wsąka w siebie stopniowo złoto i czerwoność: powietrze świeże, trochę słone, przejęte na wskroś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Prostu usypia. Nagle jednak to szklane przezrocze zaczyna jakby pękać w długie rysy. Rysy te, w kształcie łuków lub krętych linii, to pojawiają się, to nikną; nareszcie powód wyjaśnia się: nad powierzchnią wody spostrzegam czarną trójkątną pletwę: potem drugą i trzecią. Podróżni pokazują je sobie palcami: to żarłaczce (rekiny) krążą koło statku.

Wkrótce jest ich coraz więcej. Nie wiem, igraszka li to, lub gonitwa miłosna? Czasem potworny grzbiet razem z płetwą wychyla się do połowy z wody. Widać go doskonale w czerwonych promieniach zachodu, w których krople wody, spływające ze skrzel, wyglądają jak krople krwi. Ruchy potworów szybkie, niezmiernie ciche, nie burzą wody, płetwy rozcinają gładką powierzchnię, tworzą się rysy, które zagładzają się natychmiast i wszystko się uspakaja.

Jeden z nich przewraca się nagle na bok, nie dalej jak o trzydzieści kroków od statku. Widzę dokładnie, przez przezroczystą wodę, jego szczękę górną, znacznie wystającą naprzód, i dolną, umieszczoną jak gdyby w szyi. Na okręcie krzyczą: „dostrzegł coś i rzuca się,” ale potwór niknie spokojnie pod wodą, a za nim kryją się pokolei i inne.

I znowu widać tylko gładką spokojną toń. Żarłacz nie oddaliły się jednak, wpłynęły tylko na złoty niezmiernie świetny szlak, usłany przez zachodzące słońce na wodzie. Na szlaku tym nie możemy ich dostrzedz, bo oczy nasze mrużą się pod nadmiarem blasku. Ale słońce zajdzie wkrótce. Promienna jego głowa już tylko do połowy wygląda z wody. Po chwili już tylko złote warkoczki leżą na fali: głowa zasunęła się za toń daleką. Jeszcze minuta, słońce zaszło.

Co za cudowna chwila teraz. Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona z pod spodu. Ta droga złocista ginie na krańcu widnokładu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mi-

mowoli pytasz się, czy ta droga nie prowadzi do jakiej krajiny zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wiecznie panują. Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień. Chciałbyś płynąć tam, goniąc za światłem jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

— Co to za wysepki?—pytam majtka.

— Endżel ailand (Angel Island), anielska wyspa.

I doprawdy, nietylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw. Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w oceanie. Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane krwią. Mewy pławią się w świetle czerwonym. W tém wszystkim tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu, i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach: jedna mała czarna łupinka, i więcej nic. Bo téż niema nic prostszego nad majestat.

Mijamy Endżel ailand. Zorze gasną. Na purpurowe jeszcze, ale mroczące się już tło, wychodzi jedna gwiazda, druga. Na przednim maszcie rysuje się w sieci lin czarna postać majtka. Po chwili zapalają błękitną latarnię; maszyna świszcze, zawijamy do jakiegoś portu. Statek idzie bardzo powoli, ale coraz więcej skręca ku brzegom. Tymczasem zapada noc. Jeszcze raz słychać świstanie. Skały nadbrzeżne rozstępują się nagle, tworząc obszerną, lekko pochyloną ku morzu dolinę, w której widać kępy drzew, jakby nasze dąbrowy; dalej białe domki, światła w oknach, śpiczastą wieżę rysującą się na

mroczném tle nieba, bliżej warf zbudowany z pali drewnianych, a na nim ludzie z latarniami. Majtkowie krzyczą zwykle żałosne: ooo—ho! ciągnąc linę. Daje się uczuć wstrząśnienie. To statek otarł się już o palisadę. Z warfu łapią rzuconą linę i okręcają ją koło słupa. Jeszcze jedno słabsze wstrząśnienie: stajemy.

— Co to za miasto?—pytam.

— Monterey.

Wagony czekające na warfie zabierają passażerów i towary. Okręt wyładował co miał wyładować, potem odpoczywamy jeszcze godzinę. Warf wyludnia się powoli; nasz pokład także. Podróżni którzy dalej jadą, idą spać do kajut. Wkrótce zostaje na pokładzie tylko dwóch: jakiś ksiądz meksykański i ja. Ksiądz chodzi spokojnym krokiem i, poglądając na gwiazdy, mówi pacierz; ja siedzę na ławce i patrzę na światła migające zdala w oknach domów.

Skończywszy pacierze, ksiądz zbliża się do mnie.

— *Bonita noche!* (piękna noc)—mówi zcicha, jakby się obawiał spłoszyć jej urok.

Skłaniam głowę na znak potwierdzenia, ale nie mam ochoty do rozmowy, więc ksiądz powraca do modlitwy:

Ave stella...

— Z łądu wiatr przynosi zapach kwitnących pomarańcz i heliotropów, a woń ta miesza się z zapachem morskim. Powoli światła w oknach gasną, ksiądz idzie spać. Na pokładzie zostaje sternik, kręcący kołem na przodzie statku, dwóch majtków, i ja. Po godzinie wyruszamy na przód. Mijamy pasmo gór leżące tuż nad brzegiem. Da-

lój pobrzeże rozpląszcza się i ciągnie się ławicami piasku aż do Santa-Inez. W tej części step przeważa nad górami. O ile mogę dojrzeć w nocy, kraj jest pusty i nie widać ani drzew, ani mieszkań ludzkich. Siedzę na pokładzie, bo mi się nie chce iść spać, a nie spędza mnie z mego nocnego siedliska ani wiatr, ani zimno. Noc jest cicha, ciepła, pogodna; ocean ciągle gładki. Księżyc rzuca nań jedną smugę światła, potężna gwiazda Venus drugą. Coraz cieplej. Powoli przychodzi mi na myśl kraj rodzinny. U nas teraz zima, robi się właśnie ranek: może mroźny, ale różowy ranek. Wioski zasypane śniegiem: dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze; po ogrodach gałęzie zasute szronem rysują się nieruchomo i milcząc; przed chałupami skrzypią zamarzłe żórawie studzienne, a stada wron łopotaniem skrzydeł i zwykłym: „kra! kra!” budzą tych, co jeszcze śpią. Obraz znany wam dobrze, ale z nad brzegu drugiego oceanu patrzy się nań przez ów wiersz Mickiewiczowski:

„.....ty jesteś jak zdrowie!”

Przesiedziałem na pokładzie całą noc. Potem jeszcze upłynęła doba, i wreszcie zawinęliśmy do Santa-Monica, zkąd kolój idzie do pobliskiego Los-Angeles.

*

*

*

Ścisłe mówiąc, tej pierwszej podróży nie miałem zamiaru opisywać, ale pióro wzięło na kiel. Właściwym jednak moim celem jest opisanie odwrotnej drogi, to jest z Los-Angeles do San-Francisco, a raczej do środkowej pustyni kalifornijskiej Mohawe.

Kolój łączącą Los-Angeles z San-Francisco skończono za mego poprzedniego pobytu na południu. Obyczajem przyjętym w Ameryce, pierwszy pociąg szedł darmo. Skorzystałem z tego, aby po drodze obejrzeć całą prawie długość Kalifornii, a zwłaszcza pomienioną pustynię. Obok Los-Angeles ciągną się też same góry Santa-Ana, które widać z Anaheim, i które już opisywałem. Kolój żelazna idzie bardzo blisko nich. Po kilkunastu milach stepu zarosłego trawą, dzikimi słonecznikami, a czasem, na ogromnych przestrzeniach, kaktusami, bezdrzewna okolica kończy się, a zaczynają się góry. Przeszedłszy przez długi, ciemny tunel, pociąg idzie tuż przy wejściach do canionów porośniętych dębami, platanami, drzewem bobkowem i pomniejszą dziczyzną górską. W niektórych miejscach obfitość wody wytwarza tak wybujałą roślinność, że oko, na parę kroków w głąb nie zdoła jej przeniknąć. Z okna wagonu widziałem mnóstwo rozmaitej cennej zwierzyny, jako to: bażantów, kuropatw, wieiórek ziemnych i zajęcy. Ziemia naokół była pusta. Prócz nielicznych stacyi kolejowych, nigdzie ani domku ani namiotu. Caniony, jak mnie zapewniano, są tylko w połowie zajęte przez pół-dzikich skwaterów meksykańskich, hodujących bydło; co najwyżej jednak wypada jeden skwater na cały canion ciągnący się czasem kilkanaście, a czasem i więcej mil w głąb gór. Najlesistsze lub zupełnie bezleśne caniony stoją puste, służąc za przytułek tylko stadom jeleni, niedźwiedziom i kuguarom. Miejscami trafialiśmy na pyszne krajobrazy. Oto np. rzeka przecina linię kolei; oba jej brzegi pokryte tysiącami drzewami w kwiecie. Wierzchołki drzew łączą się ze

sobą w górze, zwoje dzikiego wina, lijany, dzikie bluszcze przeskakują z jednej strony na drugą, tworząc zieloną galeryę nad wodą. Gdzieindziej znów strumień spada z wysokości kilkunastu stóp, tworząc kaskadę. U stóp kaskady łąka porośnięta grupami sekwoi, które tu niezbyt olbrzymie, dalej na północ, w miejscowości zwanéj Wielko-drzewiem (Big-Trees), dochodzą do czterystu stóp wysokości a trzydziestu średnicy ¹⁾, i są najpotężniejszymi na świecie przedstawicielami świata roślinnego. Takie łąki z ich trawą wiecznie zieloną, z drzewami i żywą wodą, zdają się być stworzone na fermy rolnicze lub pasterskie, lub nawet na wille, które pięknoscią mogłyby rywalizować z włoskimi. Zwolna jednak okolica staje się coraz dzikszą. Roślinność niknie stopniowo, ustępując miejsca skałom. Brak wody nie pozwala tu rozwinąć się jakiegokolwiek życiu organicznemu. Pociąg poczyną biedzą wśród amfiteatrów nagich skał, które, ciągnąc się półkolami wzdłuż drogi, zdają się nie mieć końca. Widać tylko skały i niebo. Spojrzysz na prawo lub na lewo w gardło canionu, widzisz kamienną pustą galeryę; przed tobą kamienna galerya, za tobą także. Pociąg leci jakby wśród umarłych miast. Gwałtowny oddech lokomotywy, hukot kół, zdwojony echem, są jedynymi głosami wśród panującej tam ciszy. Tu ludzi nigdy nie będzie; niema i żadnych innych żywych istot: pusto! głucho!

¹⁾ Drzewo zwane *Tather of the forest* ma 450 stóp długości, a 112 obwodu. Inne: *The Grizzled Giant* 30 stóp średnicy.

— Czy to Mohave? — pytam jadącego ze mną skwatera.

— Nie — odpowiada — Mohave to pustynia.

— A toż nie pustynia?

Tymczasem upływa godzina, dwie, droga nie zmienia się. Ciągłe też same amfiteatra skalne, też same półkola skał, jedne podobne do drugiego: kamień, kamień.... Porzucam więc okno wagonu, témbardziej że poczyna być ciemno.

Nazajutrz rano, pociąg zatrzymał się na małej stacyi, tuż nad granicą Mohave. Stacyą tę składało kilka domów stojących bez osłony na nagim stepie, więc zwykły pomalowany brązowo domek kolejowy, pospolita budka z czerwonych desek z napisem „Bakery!” i druga takż sama zatytułowana: „Saloon,” co znaczy poprostu szynk. Dowiedziawszy się, że z tej właśnie stacyi można się dostać na pustynię ciągnącą się wzdłuż linii kolejowej, wysiadłem tu z zamiarem pozostania przez dni kilka. Nie wiedziałem wprawdzie gdzie będę spał, ale spać można w tym klimacie i pod gołym niebem. Zresztą, tyle już nocy spędziłem w ten sposób, że jedna więcej nie czyniła różnicy. Za to napisy: „Bakery” i „Saloon” upewniły mnie, że w najgorszym razie dostanę sucharów i piwa. Jakoż i tak było. Gdy pociąg odszedł, poznałem się z urzędnikiem kolejowym, nazwiskiem Brown, który zaprosił mnie na nocleg. Powiedział mi także, że do właściwej pustyni, a raczej do lasu palmettów, jest jeszcze cały dzień drogi konno. Na stacyi nie było koni, ale, o parę mil dalej, mieszkał indyanin, niegdyś przewodnik kupieckich wozów przez tę część pustyni, mający kilka mustangów, które łatwo było najać. Wskazano mi kie-

runek, w którym miałem szukać jego chaty; więc nie mając nic lepszego do roboty, udałem się tam niezwłocznie. Jakoż po godzinie drogi stepem, gołym zupełnie jak klepisko i popękanym, zobaczyłem małą dolinę, a raczej wklęsłość, w środku której stała śpiczasta chata indyjska, i korall, w którym chodziły konie. Było w tej dolinie trochę zieloności, albowiem woda zaskórna, wydobywająca się w postaci kałuż na wierzch, pozwalała rosnąć trawie i małym krzakom, podobnym do naszych sumaków. Zresztą nie rosło ani jedno drzewo. Koło chaty sterczały łodygi kukurydzowe. W trójkątnym otworze wigwamu siedział stary indyanin, obdzierając ze skóry zabite wiewiórki ziemne, których kilka już obłupionych suszyło się na słońcu.

Nie łatwo było mi się z nim porozumieć, mówił bowiem mieszaniną poprzekręcanych wyrazów hiszpańskich, angielskich i indyjskich. Na szczęście, na wszelkie moje kwestye i pytania odpowiadał stale jednym frazesem w złej hiszpańszczyźnie: „*dos pesos!*” (dwa dolary). Pytałem, jak daleko do lasu? odrzekł: „*dos pesos,*” pytałem, czy i sam pojedzie, czy mi tylko da konia, on znów: „*dos pesos.*” Przyczém pokazywał mi dwa palce, jakby dla lepszego objaśnienia. Zgodziłem się wreszcie na „*dos pesos!*” ale pod warunkiem, abyśmy wyjechali natychmiast. Indyanin nie miał ochoty. Chciało mu się to spać, to jeść, dopiero gdy spostrzegł, że niema rady, począł siodłać konie, mrucząc pod nosem, zapewne przekleństwa na upartą „błądą twarz.” Przygotowania do drogi trwały jednak krótko. Nowy mój przewodnik przytroczył do siodła spory worek z kukurydzą i drugi na

wodę. Naczerpnął jój nawet natychmiast, ale, że była mętna i ciepła, kazałem ją wylać, témbardziej, że mogliśmy nabrać studziennój na stacyi. Powstała o to między nami kłótnia. Pero (Pies, takie było imię indyanina) utrzymywał, że nie mamy potrzeby jechać na stacyą, że to z drogi i t. d., ale ja miałem potrzebę, nie życząc bowiem sobie jeść jego suszonych obrzydliwych wiewiórek, chciałem zakupić sucharów i czego można było dostać.

Kłóciliśmy się zawzięcie, nie chcąc jeden drugiemu ustąpić; ale ponieważ konie były już przygotowane, siadłem więc na jednego i zwróciłem go ku stacyi, oświadczwszy Perowi, że może robić co mu się podoba. Rad nie rad musiał jechać za mną. Po drodze, gdyśmy galopowali jeden obok drugiego, wpadł w jeszcze gorszy humor, oświadczył bowiem, że muszę mu dać „*mucho*” (bardzo wiele) tytoniu i wódki, ja zaś odpowiedziałem, że wcale nie muszę, i że, jeśli nie będzie robił co zechce, nie dam nic. Musiałem tak postąpić, aby się nie pozwolić zawojować. Wiedziałem także, że Pero żałował, iż żądał odemnie tylko dwa dolary, ale na wszelkie te żale było zapóźno.

Przybyliśmy wreszcie na stacyą. Urzędnik Brown, zobaczywszy mego Pera, powiedział mu, iż jest wielkim złodziejem, i że nikt inny, prócz niego, nie mógł ukraść połciów słoniny, które przed paru dniami zginęły. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Pero chciał koniecznie stacyą wyminąć. Ale prosiłem, aby dano mu pokój, témbardziej, że nie było jawnie świadczących przeciw niemu dowodów; sam zaś Pero gorąco zapewniał, że jakkolwiek słoninę musiał zjeść „*pero*” (pies), ale nie „*big*” (wielki)

Pero, tylko mały „pero” na czterech nogach. Dla zakończenia sprawy, posłałem go po wodę, sam zaś poszedłem do „Bakery.” Dostałem tam nie tylko sucharów, ale tartę szynki, a przede wszystkim ogromny pęk bananów, wiszących na grubej łądźce. Po południu ruszyliśmy ku pustyni. Obejrzałem się w kierunku gór, przez które przejeżdżałem wczoraj. Zaledwie majaczyły na widnokręgu, jakby błękitne pasma mgły i obłoków. Przed nami rozciągał się bezbrzeżny szary step, pochylający się nieco w kierunku zachodnim ku oceanowi. Na całej tej ogromnej przestrzeni wzrok nie odkrywał ani jednego drzewa. Grunt nagi, szary, popękany w wielkie kręte szpary, wyglądał jakby wyschłe łożysko wód, popaczone od promieni słonecznych. Nizkie też położenie tych płaszczyn pozwalało mi przypuszczać, że były one kiedyś dnem wód. Step miejscami zupełnie równy, miejscami znów falował się lekko w obszerne, ale ledwie widoczne dla oka wklęsłości i pagórki. We wklęsłościach rosły szare, kruche, przepalone słońcem łądźgi jakichś wysokich roślin, które budzą się do życia, zapewne tylko w czasie deszczów wiosennych. Zdawało się, że cała ta okolica powinna być zupełnie martwą, jednakże tu i owdzie spostrzegałem ślady życia zwierzęcego. W kępach łądźg szeleściły małe stada ptaków o czarno-błękitnych piórach, z świetnie czerwonymi piętami na skrzydłach. Boki owych małych wyniesień i wklęsłości gruntu, pokryte były kopcami piasków ziemnych; czarne wiewiórki smyrgały do jam przed koźmi. Widocznie, ziarna owych wysokich łądźg dostarczają pokarmu tym zwierzętom, za napój zaś służą im rosa nocna.

Przezroczystość powietrza, lub gra promieni słonecznych odbitych od gruntu, wytwarza tu majaki (*fata morgana*) i sprawia, że liczne drobne przedmioty, widziane z daleka, olbrzymieją w oczach. Stada wiewiórek, siedzących na tylnych łapkach, brałem za stada kujotów, lub innych jakich większych zwierząt. Przejeżdżając koło kopców pisków ziemnych, widzieliśmy grzechotniki wygrzewające się na słońcu, albowiem węże te i piski trzymają się zawsze razem. Konie strzygą uszyna przechodząc koło grzechotników, nie okazują jednak wielkiej trwogi. Przeciwnie, gdy jeździec zabije węża, rodowity mustang zatrzymuje się dobrowolnie przed każdym spotkaniem następnie.

Jechaliśmy już parę godzin, a widnokrąg nie zmienił się prawie zupełnie. Skończyła się tylko falistość gruntu, a przed nami leżał step równy, szary, jednostajny, po którym błdziłem oczyma, gubiąc je w nieskończonej dali. Była godzina czwarta po południu. Słońce piekło całą ulewą promieni. Rozpalony grunt odbijał żar słoneczny: konie spotniały. Step ten poczynął nużyć mnie i męczyć, bo to nie nasz step ukraiński z kurhanami, ze swoją tradycją poetyczną. Na Ukrainie wiatr niesie, jakby z drugiego świata, odgłosy „Alla” i „Jezus Marya!” i huk samopałów i rżenie koni: słowem, tam step ma swoją żywą duszę; tu cisza, martwość, bezduszość. Ten kawał ziemi, to tylko głupia i bezmyślna krzywdą życia. Tamten mówi i śpiewa cały jak szeroki i długi, ten niema co powiedzieć; tamten buja, kołysze się, porusza, żyje; tam jeźdźcy „w trawach pławią się po pachy,” tu bezwstydna ziemia odkrywa nagie popękane łono. Dla

oczu nic, nic dla ucha i dla wyobraźni; jedno wielkie nic, nie znajduję innego określenia.

Było coraz goręcej. Z upragnieniem wyglądałem zachodu słońca, który miał przynieść ze sobą chłód nocny i chłodniejszy jeszcze powiew od oceanu. Zstępowało téż zwolna słońce ze szczytu niebieskiego sklepienia ku krańcom. Las palmettów do któregośmy dążyli, ani nawet poczynął majaczyć na widnokręgu, jakoż Pero zapewnił mnie, że nie dojedziemy do niego przed nocą.

— Co „błada twarz” chce robić na Mohave?— spytał po chwili.

— Chcę ją widzieć— odrzekłem.

— Mohave bardzo zła. Tam niema nic.

— I tu niema nic.

— Tu są wiewiórki. „Błada twarz” może zabić wiewiórkę i zjeść ją. Na Mohave trzeba umrzeć z głodu.

— Czy Pero był tam już wiele razy?

— Pero bywał przewodnikiem białych przez tę część, która jest na drodze między wielkimi miastami, ale w stronie od której słońce wschodzi, Pero nie był nigdy, bo tam pustynia niema końca.

— Zkądże więc Pero wie, że pustynia niema na wschodzie końca, jeśli tam nie był nigdy?

— Pero słyszał to od bardzo starych ludzi, którzy opowiadali mu, że za „umarłym lasem” są w stronie, w której słońce wschodzi, wielkie góry. Pero był nawet w nich, ale w inném miejscu. Są to bardzo złe góry, bo niema w nich trawy, ani zwierząt. Za górami jest też sama pustynia i wielka woda, a za wodą znowu pustynia, która już niema końca.

— Jak „blade twarze” nazywają wielką wodę?

— Tulare.

Gdy potem sprawdziłem opowiadania mego przewodnika, przekonałem się, że, jak na indyanina, wcale nie był złym geografem. Pustynia zajmuje rzeczywiście cały środek Kalifornii. Stepys dotykające oceanu, biegnąc na wschód, zmieniają się zwolna w bezpłodną piaszczystą równinę. Pasma Coast-Range, albo Maunt-Diablo, będące kością pacierzową nadbrzeżnego kraju, odcina część pustyni bliższą oceanu, do której właśnie zdążaliśmy, od dalszej, ciągnącej się ku Sierra-Nevada. Wielkie jezioro Tulare leży w tej drugiej części, która skręcając ku południowi, omija kończyny Sierra-Nevada, przerzuca się przez pomniejsze pasma, rozrzucone dalej na wschodzie, obejmuje część stanu Nevada, Arizone, New-Meksyk, zachodnią część Texasu, północne części trzech meksykańskich prowincyj: Sonory, Chihuahua, Cochahui i kończy się dopiero u stóp Gór Skalistych.

Tak samo jak pustynie arabskie, perskie, a nawet i Gobi są tylko przedłużeniem Sahary, tak samo Mohave, Gila, Colorado i t. d., są jednym systemem pustyń, jednym ogromnym płaskowzgórzem, czasem poprzerzywanym rzekami, czasem powyginanym w góry, ale jednolitym pod względem pustynnego charakteru płaszczyzn. Piaszczyste równiny, kupy kamieni, rumowiska gór, miejscami step latem goły i popękany: oto ogólny charakter tych ogromnych przestrzeni, prawie zupełnie jeszcze bezludnych, a po największej części wrogich dla organicznego świata. Wiosną jednak po deszczach, jest chwila życia w tym martwym świecie. Przestrzenie piaszczyste po-

rastają drobną trawką, rozpadliny skalne zielenią się; step zwykle nagi przystraja się tysiącami kwiatów. Trudno opisać co to za przepyszna tęczowa chwila zmartwychpowstania dla tych stepów. W marcu i kwietniu widziałem całe przestrzenie, po kilkanaście mil rozległe, porośnięte kwieciami barwy żółtej, podobnym do tulipanów. Bywa tu tak prawie zawsze, że pewna roślina, znalazłszy najodpowiedniejsze dla siebie warunki, zagłusza wszystkie inne kielki w zarodzie, tępi je i panuje nieograniczenie. Skutkiem tego, za królestwem tulipanowem np., zaczyna się błękitne, znów kilkunasomilowe królestwo dzwonek, dalej purpurowe gwoździków, dalej żółte, białe, różowe, pstre lub Bóg wie jakich kwiatów. Wszelkie odcienia barw mają tu swoje przestrzenie. Są to poprostu morza kwiatów. Ale falowanie tych mórz kołysanych wiatrem, krótkotrwałe. W końcu maja step zmienia już swą barwę różnowzorą odzież na jednostajną żółtą, a raczej żółto-zwiedłą. W czerwcu ziemia pęka. Kwiaty musiały, od marca do czerwca, urosnąć, rozkwitnąć, pokochać się, ożenić, wydać nasionka. Nadchodzi czas... zwieżdnąć... Co zwieżdło, pada na ziemię; nasionka zasuwiają się w szpary, gdzie ciemność chroni je od spalania, wszystko zaś co zostało na powierzchni zmienia się w proch, w popiół; następnie wiatr rozgania one prochy w cztery strony świata i step staje się zupełnie nagi.

Są jednak przestrzenie, na których, nawet wiosną po deszczach, nic nie porasta. Piasek pokrywa się trawą tam tylko, gdzie zaraz pod nim leży warstwa urodzajna, ale na przykład na Gila, piasek jest mialki, ruchliwy i niezmiernie głęboki, zatem zupełnie bezpłodny. Na stepie,

miejsca pokryte drobnym żwirem także pozostają zawsze nagie, a toż samo ma miejsce gdzie ziemia jest skalista, lub jakby pociągnięta szklivem, powstałem z przepalonego od promieni słonecznych piasku. Taki grunt przeważa na Mohave, a raczej w części jej położonej bliżej oceanu. Na piaskach jednak rosną w tych miejscach tak zwane palmetty, które Pero nazwał lasem umarłym, a które mieliśmy nazajutrz świtanem zobaczyć.

Tymczasem stanęliśmy na nocleg. Pero uwiązał konie przy zaostrzonym kolku, który zatknął w szczelinę ziemną, potem dał im pić i jeść, a gdy poczęły chrupać twarde kukuryziane ziarna, i my wzięliśmy się do naszych zapasów. Napiwszy się wody z wódką, Pero począł żuć swoje wyschłe na słońcu obrzydliwe wiewiórki, ja zaś raczyłem się bananami. Po posiłku, gdy zresztą zciemniało zupełnie, podłożywszy kulbaki pod głowy, położyliśmy się spać. Tymczasem gwiazdy weszły na widnokrąg, a wielki czerwony księżyc ukazywał się zwolna na skraju stepu. Potem, blednąc coraz bardziej, żeglował wyżej i wyżej po niebie. Zrobiło się tak widno, że na kilkadziesiąt kroków mogłem dostrzedz czarną siatkę rozpadlin. Zauważyłem przytém, że w niektórych miejscach ziemia tak była zbita, twarda, że promienie księżyca odbijały się od niej jak od polerowanej powierzchni. Zresztą nie było na czém oprzeć wzroku ani uwagi. W dali tenże sam step. Miejscami znowu nieznaczne wklęsłości, oświetlone niepewnym światłem księżyca — i nakoniec także same kępy łądyg, w których wiatr smutno szeleścił.

Ta pustka i bezprzedmiotowość ma jednak swój urok, ale to dziwny jakiś urok bez treści. Tu, mówiąc

poetycznie, smutna Dyanna, a prościej księżyc, zstępuje z jednego miejsca, wstępuje na drugie, jakby szukając pilnie jakiegokolwiek przedmiotu zatraczonego w pustkowiu, jakby chcąc znaleźć coś, dla czegooby warto świecić. Czasem powracało mi wrażenie, że to, co widzę naokół, jest dno morskie, nad którym niedawno przesuwały się fale, a następnie wyschnąwszy lub uciekłszy, zostawiły po sobie pustkę. Po chwili znowu: że to nierozbudzony jeszcze do życia szmat ziemi, który wynurzywszy się z bezdni po potopie, czeka dopiero na stworzenie. Tak istotnie musiała wyglądać niegdyś ziemia, zanim strzeliły z niej przedpotopowe paprocie i grzyby. Byłem jak gdyby cudem przeniesiony o setki tysięcy lat w tę chwilę mistycznego snu ziemi, po którym dopiero ocknęły się drżemiące jej siły.

Ale po chwili głosy pustyni rozbudziły mnie z marzeń. Pogrzebowe płaczki stepów—kujoty, zaczęły jęczeć i skomleć w pobliskich kępach suchych łądyg. Jesteście i tu na tém pustkowiu? pomyślałem sobie ze zdziwieniem. Ale kujoty są wszędzie. W stepach żyją wiewiórkami, a wiewiórki nasieniem owych suchych roślin. Na stepach, jak i wszędzie, życie polega na tém, że silniejszy zjada słabszego, ten jeszcze słabszego, i tak bez końca, kujoty przytém kradną co mogą pastuchom, podróżnym. Spotkawszy silniejsze jakie zwierzę, jak np. niedźwiedzia lub kuguara, chodzą za nim trop w trop, licząc na resztki jego uczty. Są to stepowi pieczeniarze. Ciągną za jasnie wielmożnym pazurowiczem i żyją z jego łaski. Za to, gdy myśliwiec stepowy postrzeli chlebobawcę, a ten gdzieś zdecydnie w skałach, kujoty zjadają go także, co w ich języku kon-

wencyonalnym nazywa się zapewne: „uchronieniem zwłok od profanacyi.” Trafia się także, że gdy podróżny, zmęczony dziennym upałem, zaśnie nocą, nie rozniciwszy ognia, wilczki owe zbliżają się do niego, obwąchują go starannie, a chociaż tchórzostwo ich nie pozwala im rzucić się nawet na śpiącego, kradną mu natomiast wszystkie zapasy nawet z pod głowy. Co do mnie, chodziło mi głównie o noc spokojną. Nasłuchiwałem się już wprawdzie tyle tych grobowych skomleń, że nie doznawałem, jak pierwój, uczucia jakiegoś zabobonnego strachu; zawsze jednak ogarniała mnie pod ich wrażeniem taka niewymowna nuda, taki smutek i zniechęcenie, że wołałbym sto razy słyszeć ryk kuguarów. Tym razem, jak zwykle, próbowałem zasnąć i nie mogłem, więc zniecierpliwiony, wyciągnąłem z zapasa rewolwer i wystrzeliłem w powietrze. Konie szarpnęły za sznury, kujoty umilkły na chwilę, najbardziej jednak przeraził się Pero, który poprzednio usnąwszy smacznie, zerwał się teraz na równe nogi.

— Co „błada twarz” robi? — spytał z przestrachem.

— Nie mogę zasnąć — odrzekłem — i jeśli Pero nie odpędzi kujotów, będę strzelał całą noc.

Pero ochłonawszy, pomyślał chwilę:

— Czy „błada twarz” ma krzesiwo?

— Mam.

— Pero ma także, niechże więc „błada twarz” idzie, zapali najbliższą kępę, a Pero zapali dalsze.

Myśl wydała mi się doskonałą, natychmiast więc przystąpiliśmy do jój spełnienia. Gdym się zbliżył do kępy, dwa kujoty wypadły pospiesznie z łądyg i poczęły umykać co tchu w step. Skrzesalem ognia z łatwością,

ale łodygi nie chciały się palić. Nałamawszy co najdrobniejszych ździebł, począłem pracować płucami. Skry chwytaly łatwo za zeschnięte resztki liści, ale wypaliwszy ognisty rąbek, gasły. Tymczasem wprawniejszy Pero uwinął się daleko prędzej. W chwili, gdy jeszcze dmuchał bez nadziei, od strony Pera zabłysło światło, a wkrótce krwawa luna rozdarła ciemność. Obejrzawszy się, ujrzałem najprzód nasze konie, czarno rysujące się na stepie, dalej oświeconą czerwono sieć szczelin ziemnych, płonącą kępę i indyanina podobnego do szatana tańczącego koło ognia.

Rozbudzone szpaki z wrzaskiem i łopotem zlatywały się ze wszystkich stron do światła; wysokie łodygi buzowały się ogromnym płomieniem; wyschłe źdźbła trzęsły się przez chwilę w objęciach złotego płomienia i topniały w nim natychmiast. Po nad tém wszystkiém świeciło blade światło księżyca, walcząc i łamiąc się na krańcach oświeconej przestrzeni z różowemi odbłaskami ognia. Pero, wyrwawszy kilka płonących łodyg i pochyliwszy je ku wiatrowi, biegł zapalać następną kępę, a za nim biegł i gasnął w ciemnościach czerwony warkocz iskier. Zapaliłem nakoniec i ja swoją, potem dwie jeszcze poblizkie, a gdy zapłonęło ich z dziesięć, wróciliśmy do koni. Kępy zagasły wkrótce, ale mieliśmy zapewnionych parę godzin spoczynku, bo przestraszone kujoty uciekły aż poza granicę światła. Jakoż zasnęliśmy obaj natychmiast, ale zato Pero obudził mnie nazajutrz, prawie jeszcze przed brzaskiem. Przez pół śpiąc, wlażłem na siodło, a gdy koń puścił się zwykłym meksykańskim, regularnym i kołyszącym galopkiem, usnąłem znowu na kulbace, tak dobrze, jak

w łóżku. Nie wiem jak długo spałem, ale gdym się rozbudził, był już dzień biały. Konie zwolniły biegu, a choć ruch ich był zawsze niby galopem, był jednak tak powolny, że można było nadążyć mu piechotą. Rozejrzałem się wokoło. Twardy step ze swoją siecią rozpadlin i kępami suchych łądyg znikł. Jechaliśmy teraz po gruncie pokrytym niezmiernie drobnym piaskiem, podobnym do popiołu, miękkim i ruchomym. Znikły także już porażki falistości gruntu. Jak mogłem okiem sięgnąć, rozciągała się przed nami i obok nas równina szara, gładka jak stół. Sklepienie niebieskie, przechodząc na krańcach w odcienia szare i siwe, zdawało się z nią zlewać niedostrzeżenie. Naokół nie rosło ani jedno źdźbło trawy, nic i nic, tylko niebo w górze, popielata, wygładzona toń piaszczysta na dole. Pero podniósł się w kulbace, zatoczył brązową ręką łuk ogarniający widnokrąg i rzekł:

— Mohave.

Jechaliśmy jeszcze z pół godziny, niedostrzegając naokół ani jednego przedmiotu. Nicość założyła tu sobie królestwo. Nietylko zmysły ale i myśl czuje tu jakiś brak przygniatający. W krainie przedmiotów myśl, wyleciawszy z głowy, zwykła wracać jak pszczoła obładowana miodem wrażeń; tu wraca tylko zniechęcona, czczą, zmęczona i złamana. Umysł musi tu dać wszystko z siebie, od zewnątrz nie dostaje nic. Słowo: „pustynia,” szumi w głowie a nie przyobleka się w żadne kształty, w żadne określone wyobrażenia. Jak zabłąkany wędrowiec, konający z pragnienia woła: „wody,” tak mdlejąca wyobraźnia woła tu ostatkiem sił: przedmiotów.

Nakoniec jednak zamajaczyło coś na północy, niby ciemny szlak, niby zgęstniała mgła, chmura, niby wstęga lasu. Owo „coś rysuje się coraz wyraźniej i wyraźniej na błękitie widnokregu, wychyla się coraz dokładniej ze zmaconej oddali: zbliża się, wypełnia, zwierza się w kształty. Pero znów wyciąga brązową rękę i mówi:

— Las umarły.

A, chwała Bogu! Umarły czy żywy, niech będzie pozdrowiony. Długie, na ćwierć łokcia, meksykańskie ostrogi, wbijam w boki mustanga: kudłaty łeb jego zaczyna kołysać się żywiój. Pędzimy, jak gońce wojskowi; las wyrasta w oczach: jeszcze pół godziny i jesteśmy na jego krańcu.

* * *

Co to są palmetty, co mówi o nich botanika, nie wiem. Z drugiej strony, jeśli powiem, że są to drzewa poprostu tragiczne, będzie to określenie o tyle przynajmniej dalekie od botaniki, o ile blizkie Wiktora Hugo. A jednak nie cofam wyrażenia. Pero, prosty indyjanin, pomimo, iż się na stylu nie znał, nazywał jednak ten las, lasem umarłym. Cisza, śmierć, nieruchomość: oto pierwsze wrażenia, jakie ten las sprawia. Palmetty nie są wcale podobne do innych drzew. Każde drzewo ma pień, konary, grubsze i cieńsze gałęzie, liście: słowem cała rozmaitość linii, kształtów i barw. Palmetty nie mają tego wszystkiego. Palmetto jestto jednostajny szarego koloru pień, rozdzielający się w górze na dwa, rzadko trzy, równie grube, tępo ucięte ramiona. Drzewo to wygląda poprostu jak człowiek, który wyciągnął z rozpaczą ręce do nieba. Pień od samego dołu, a ramiona aż do saméj

góry pokryte są jakby grubą szczecina, nie odstającą od kory i zbitą w jeden pokrowiec, który okrywa całe drzewo. Wszystkie kształty grube, nieruchome, niby wyciosane niezgrabnie, robią wrażenie przedmiotów kamiennych. Cały las wydaje się lasem skamieniałym, ot na przykład lasem olbrzymich koralów, uśpionych gdzieś na dnie morskiem. Na szarym piasku, na którym rosną palmetty, nie rośnie nic więcej, niema nigdzie ani trawki, ani kwiatka, ani śladu wody. Nie usłyszysz tam gwaru ptastwa, żaden owad nie toczy tych pni nieruchomych. Jak okiem dojrzeć, wznosi się pień za pniem, jakby posępna kolumna za kolumną; całe szeregi martwe, milczące, bezduszne. Prawdziwie umarły las. Z każdego innego drzewa życie wypowiada się, to drganiem gałęzi, to zielonością, to kwiatem, to zapachem; znać że drzewo żyje, oddycha, roni balsam żywiczny, rozkwita, rodzi; między palmettami zaś, przesuwałem się jak wśród nagrobków sterczących na jakim wielkim cmentarzu. Błądziłem niby duch, konie zostały u brzegu, a indyanin, jak drugi duch, poważny i milczący siedł za mną. Wiatr nie wiał. Szary piasek obsuwał się bez szelestu pod naszymi stopami; słońce weszło wysoko na horyzont i sypało na nasze głowy żar ognisty. Cisza śmiertelna panowała wszędzie. Krótkie cienie kładły się na piasek od drzew, znacząc jego szarą powierzchnię czarnymi plamami. Szliśmy głębiej i głębiej. Mimowoli przyszedł mi na myśl wiersz Słowackiego:

„Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy niegdyś w elizejskie bory.

Uroczysty ów pochód przerwał dopiero głos indyanina, mówiący cicho:

— „Błada twarz” nie może przejść umarłego lasu.

— Czy daleko ciągnie się na wschód?

— Słońce trzy razy przeszłoby od gór do wielkiej wody, zanimby „błada twarz” mogła przejechać umarły las na najszybszym koniu.

— Nie chcę go też przejść całego, ale niech Pero powie mi jeszcze, czy też przebył go kto aż do gór dawniej?

— Dawniej? nie. Czerwoni nie mieszkali tu nigdy, bo na Mohave niéma wody i zwierząt. Koń i jeździec musi tu umrzeć. Czerwoni mieszkali niżej (tu ukazał ręką w kierunku Los-Angelos) w górach, gdzie rosną drzewa, i co wiosna jeździli na bawoły na drugą stronę. Tam step pokryty jest trawą.

— A teraz nie jeżdżą już?

— Teraz ich niéma.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Czy to byli bracia Pera?—spytałem po chwili.

— Nie.

— Jakże się zwali?

— Mohave.

— A bracia Pera?

— Cahuijja.

— Ci są jeszcze?

— Wigwamy ich stoją rozrzucone w górach na południu, ale niewiele jest już wigwamów. Dawniej mieszkali aż do granic Mohawów. Tam, gdzie dziś stoją kamienne wigwamy białych twarzy (Los Angeles), tam było wielkie pole (obóz). Ale dziś Cahuijja nie mieszkają już tam oddawna.

— Gdzie są teraz?

Bronzowa ręka poraz trzeci wyciągnęła się w kierunku gór, a głos uroczysty odrzekł:

— Tam, z duchami ojców.

Powieść była prawdziwa. Niegdyś wspomniane pokolenia żyły obok siebie, ale żyły, jak zwykle, w ciągłej wojnie o terytorya myśliwskie. Mohawowie wyginęli prawie zupełnie w tych zapasach, a Cahuijja osłabli i prędkiej czy później, także wyginą. Byłem potem w ich wigwamach, daleko na południowych kończynach Tamisalu i Santa-Ana. Nie żyją już w jednym wielkiem obozowisku, ale rozproszeni w rozmaitych miejscowościach. W wigwamach, w których spędziłem dni parę, było wszystkiego dwadzieścia siedem głów męzkich, prócz kobiet i dzieci. Żyją bardzo nędznie, bo jakkolwiek zwierzyny wielka jest w tamtych stronach obfitość, nie mają jednak broni palnej, albo też taką, która jest nie warta. Z łuków wyrobionych z tegoż drzewa strzelają dość celnie, ale strzały nigdy prawie nie zabijają większego zwierzęcia odrazu, na ptastwo zaś jestto polowanie trudne i mozolne. Podczas gdy myśliwy, uzbrojony w strzelbę, strzelając np. do kuropatw żerujących po ziemi ¹⁾, zabija po kilkanaście sztuk odrazu: z łuku można zabić zawsze jedną tylko. Jedzą też ci indyane wszystko: wiewiórki, pieski ziemne, kujoty, dzikie koty, i co się zdarzy. Gdy zabijają niedźwiedzia lub wielkiego jelenia, jest to uroczystość dla całego obozowiska. Śmielsi wyprawiają się na ciągi bawołów

¹⁾ Kalifornijskie kurki strzela się siedzące a nie w lot.

aż za San-Bernardino, zkład czasem przywożą zapasy suszonego mięsa, ale téż często giną pomordowani przez dzikich i bitnych Apachów i Komenczów. W ogóle w Kalifornii, z powodu braku bawołów, stan indyan nie dających się nagiąć do uprawy roli, jest bardzo nędzny. W czasie winobrania wszyscy prawie dorośli mężczyźni ciągną ku brzegowi morskemu, ku okolicom zamieszkałym i wynajmują się do robót, ale za zarobione pieniądze kupują fraszki, a przedewszystkiem wódkę. Prawo zabrania wprowadzić pod wysokimi karami sprzedawać indyanom gorące napoje, ale prawo dość często bywa bezsilne. Liczni farmerowie, którym się wino nie opłaca, pędzą z niego, sekretnie przed akcyznikami, wódkę, i ci sprzedają ją indyanom. Byłem raz świadkiem, jak po ukończeniu robót u zamożnego farmera, nie tylko pracującym indyanom nie się już nie należało, ponieważ wybrali, pod postacią napitków, wszystko naprzód, ale nie było ani jednego, któryby nie pozostał dłużnym na mniejszą lub większą kwotę pracodawcy. Tak dzieje się prawie wszędzie. Czas winobrania jest karnawalem dla indyan, po którym następuje post aż do przyszłego lata. Kredytu przytém nie mają nigdzie, ponieważ nie odznaczają się uczciwością; każdy więc farmer, wszelkie naddatki udzielone, czy to wódką, czy pieniędzmi, uważa za stracone raz na zawsze: dlatego wszyscy starają się już z góry przy układach stracić je z ceny robocizny. Bawiąc kilka dni między Cahuijjami, mogłem, patrząc na ich codzienne życie, zbadać jako tako ich charakter. Niestety, nie znalazłem w nich, prócz pozorów, ani jednego z tych szlachetnych przymiotów, jakie cechują bohaterów Co-

pera. Najprzód życie ich, wśród brudów nie do uwierzenia i wśród robactwa, przed którym wreszcie uciekłem, może przejąć tylko wstrętem; powtóre, w każdym ich kroku znać demoralizacyą cechującą rassy ginące. Są leniwi, wiarołomni, kłamcy, a wreszcie i tchórze. Jeśli nie kradną i nie rozbijają, to tylko dlatego, że drżą przed strasliwym linchem, z którym poznajomili ich skwaterowie.

Nieraz zdarza się, że skwater, któremu coś zginie, sam jeden przyjeżdża do obozowiska, i sam jeden wśród wszystkich mężczyzn dopełnia poszukiwań i wymierza sobie sprawiedliwość. Biędni ci pół-dzicy są przytém niezmiernie łakomi na wszystko co nie jest ich własnością. Mój „bowie-knife,” rewolwer, strzelba, słowem: wszystko aż do psa, toporka i worków, było przedmiotem ustawicznej ich pożądlivosti. Jeden przez drugiego starał się odemnie coś wymanić. Czasem pochlebiano mi rozmaitemi nazwami, czasem ten i ów zuchwalszy, oświadczał, że „blada twarz” musi mu darować ten lub ów przedmiot, ale jedno surowsze spojrzenie przywoływało tchórzliwego zuchwalca do porządku. Niemniej wstrętne jest postępowanie ich z kobietami. Mężczyzna poluje tylko, a gdy nie poluje, leży przed wigwamem w śmieciach, nic nie robiąc, kobieta zaś, często jeszcze z dzieckiem na plecach, zamkniętą do szyi w łubianą kobiałce, spełnia najtrudniejsze roboty, za co otrzymuje wymysły i szturchańce. Mąż żonę, ojciec córkę oddaje tu pierwszemu lepszemu przechodniowi za byle co: za kawał drutu, scyzoryk lub starą kamizelkę. A jednak te dziewczyny z płcią miedzianą, o czarnych, ogromnych i łagodnych oczach, by-

wają w chwili rozkwitu, nieraz bardzo przystojne. Trafia się, że samotni biali skwaterowie biorą je za żony, i żyją z nimi szczęśliwie. Niektóre z nich nabierają pewnej oglady i pewnych wiadomości. W zeszłym liście wspomniałem pół-indyankę, Donnę Refugio, która była tak wykształcona, jak mało amerykanek średniej klasy. Później spotykałem i czyste indyanki, umiejące czytać, pisać, i posiadające daleko więcej wiedzy od swoich białych mężów. Wszystkie przytem są doskonałemi matkami.

Los tych, które wychodzą za białych, jest, w porównaniu do losu skwaw indyjskich, prawdziwie godny zazdrości. Jakkolwiek małżeństwa takie nie bywają najczęściej uprzednio legalizowane, stają się jednak takimi później, na mocy prawa orzekającego, że mężczyzna, który żył z kobietą wolną lat trzy, ma uważać ją jako prawnie poślubioną, że zatem nie wolno mu się żenić z drugą, że w razie opuszczenia jęj musi myśleć o jęj utrzymaniu i t. p. Wogóle, zresztą, w Ameryce formy kościelne nie mają żadnego znaczenia, urzędowe zaś daleko mniej, w stosunku do faktów spełnionych, niż gdzieindziej. Tu nie potrzeba pośrednictwa praw, aby mężczyzna uważał kobietę, z którą żyje, za prawowitą swą małżonkę. Przytem, trzeba być chyba tu na miejscu, aby poznać dokładnie, jak idealnym mężem jest każdy rodowity amerykańczyk. On w swęj żonie czei swój „home,” t. j. swoje ognisko domowe, swoją pozycyą obywatela, ojca dzieciom, swoją godność osobistą, słowem: całego siebie, bez względu na to, czy żona jego poślubiona jest przez pośrednictwo księdza, urzędnika, lub bez pośrednictwa, czy jest biała, żółta lub miedziana. Szacunek ten dla kobiet zda-

je się tkwić głęboko we krwi téj rassy, sam zaś w sobie tak jest bijący w oczy i potężny, że udziela się nawet emigrantom niemcom i irlandczykom, którzy w „Deutschlandzie” i „Irishlandzie” inaczej na te stosunki patrzeć przywykli.

Wracając do Cahuijów, kilkodniowy pobyt mój między niemi, mimo licznych ich wad, zostawił mi jednak pełne współczucia dla tych biédaków wspomnienie. Współczuję im z téj prostej przyczyny, że są nieszczęśliwi. Wojny w Kalifornii niéma już z czerwonoskórymi, a prawdę rzekłszy, wojny wyćpienia nigdy nie było, pokolenia bowiem tutejsze nie odznaczały się ani takiem męstwem, ani zaciętością, jak pokolenia terytoryów stepowych. Biali nie dopuszczają się na nich żadnych gwałtów, przeciwnie jak na północy, gdzie, w chwili gdy to piszę, wre zacięta walka, nietylko między Siouxami a białymi, albo w Ajdaho (Idaho) między straszném pokoleniem „Przeklętych nosów” i wdzierającemi się w ich posiadłości pionierami. Tam wodzowie „Siedzący Byk” (*Sitting bull*) i „Biały Ptak” (*White bird*), ubroczyli już po rękojęcie swe wojenne siekiery we krwi mężczyzn, kobiet i dzieci, tam między skalpami zdartemi z głów białych, powiewa u pasa Siedzącego Byka długowłosy skalp generała Custer a i wszystkich jego żołnierzy; tu o skalpach nikt nie słyszał, wszędzie cisza i spokój, a jednak nieublagany palec cywilizacji ściera i te spokojne pokolenia z powierzchni ziemi. Może to nieuniknione, może konieczne, a jednak, jest w głębi natury ludzkiej jakieś poczucie głębszej sprawiedliwości, któremu dzieje się w ten sposób krzywda; więc mimowoli w imię tego uczucia pra-

gnie się nieraz powiedzieć: „*goddam!*” na ową cywilizacyą, co dla słabych i ciemnych jest takim przewodnikiem, nauczycielem, jakim byłby wilk dla owiec.

Wracam do umarłego lasu. Gdy cienie palmettów zniknęły prawie zupełnie, oznaczając południe, Pero odszedł dać jeść i pić koniom, a ja zostałem sam i znowu wzrok mój błakał się wśród szeregów umarłych pni. Badałem pokład piasku, chcąc odkryć jakiekolwiek ślady zwierząt lub ptaków, ale szara, sypka powierzchnia gładka była, jakby wczoraj jeszcze przesuwaly się ponad nią wody. Szedłem coraz dalej w głąb' tém śmielej, że wyciski stóp moich, były niby nicią Aryadny, mogącą w każdej chwili wyprowadzić mnie z tego labiryntu. Widok nie zmieniał się wcale: też same szeregi pni, też same rysujące się ciężko kamienne kontury i ten sam grobowy spokój. Dziwna to, szczególna pustynia, w której najdoskońalszym wyrazem pustki, śmierci, ciszy, jest to, co powinno ją natchnąć życiem: t. j. drzewa. Są to téż widma drzew. Doprawdy, nie wiem, czy nawet afrykańska Sahara, lub pustynie arabskie przejmują takim smutkiem i pogębieniem, czy uderzają oczy podobnemi wrażeniami martwoty i odrętwienia, jak Mohave. Tam, czasem przynajmniej, zazieleni się oaza, czasem na piaszczystych wzgórzach zarysują się na tle zorzy wieczornój biblijne kształty wielbłądów i jeźdźców zapatrzonych w niebo; tu palmetty sterczą zawsze bezduszne, straszne, milczące.

A jednak i Mohave ma teraz swoje odgłosy przerywające wieczną ciszę. Wyszedłem właśnie na kraniec lasu do Pera i koni, gdy usłyszałem ten odgłos z pustyniowej oddali. Z początku był to niby szmer cichy, potem

coraz głośniejszy, bliższy; stopniowo zmieniał się w łoskot, potem usłyszeliśmy bicie dzwonu, potem świst, a raczej ryk pary. Pero wpatrzył się w dal smętnych kolumn i rzekł:

— Wielkie wozy białych.

Tymczasem odgłos zbliżył się, doszedł do zenitu, i nagle ujrzelśmy pociąg wypadający z lasu. Dziwny to był widok na tej pustyni. Tłoki maszyny, widziane z daleka, poruszały się z szybkością, jakby nogi jakiegoś potworu; paszcza jego ziała kłębami dymu. Była w tym jakaś niepojęta siła, jakaś wściekłość: cały pociąg wydawał się jak olbrzymie zwierzę, goniące na oślep za łupem. Nie biegł, ale rwał naprzód, jak wichur albo huragan. Przeleciał naksztalt jakiegoś piekielnego korowodu, dyżąc, dzwoniąc i hucząc, wpadł na równiny stepowe, i leciał dalej, aż znikł wreszcie w stepach, w kierunku Los Angeles.

— Biali nie lękają się Mohave!—ozwał się Pero.

I miał słuszość. Kto wie, co za lat kilka lub kilkanaście stanie się z temi obszarami i z samym umarłym lasem. Kto wie czy biali nie wytną drzew i nie osiada tu, gdzie żadne stworzenie mieszkać dotąd nie śmiało. Może olbrzymią siłą poroztrącają wschodnie góry, i wydobywszy jak Mojżesz drzemiacą w głębi skał wodę, sprowadzą o setki mil ożywcze jej strumienie na piaszczyste obszary. A wtedy dzisiejsza pustynia kołysać się będzie falami zbóż wszelkich, palmetty ustąpią miejsca gajom prawdziwych palm, pomarańczom, figom, gwar ludzki zamąci ciszę panującą obecnie. Cóż powstrzyma tę niepomahowaną rasę „bladych twarzy,” w jej pocho-

dzie naprzód, przez pustynię, stepy i lasy dziewicze? Dziś, gdy to piszę, Mohave w całej swjej szerokości i długości przestała już być zaklętym krajem, o którym indyanin tylko podawał indyaninowi błędne wieści. Kolej południowa oceanu Spokojnego (Southern Pacific Railroad) do Los Angeles dawno już skończona. Z Los Angeles jedna linia biegnie przez Anaheim, dalej na południe ku San-Diego; druga, skręcając na wschód, przechodzi całą Mohave, przerzuca się przez góry San-Gabriel i śnieżyste San-Bernardino; za górami i za Agua-Caliente znów zstępuje na pustynię, i kończy się aż w forcie Yuma, na granicy Kalifornii, Arizony i Meksyku, niedaleko od ujścia Colorado.

Kalifornia słusznie chlubi się budową tych linii, przyrównując trudy i zwyciężone przeszkody do trudów i przeszkód, jakie musieli łamać inżynierowie, prowadzący wielką kolej „Dwóch Oceanów.” I słusznie. Może nawet łatwiej było budować na chłodnych płaskowzgórzach Ajowy, Nebraski, Wyomingu i Utah, niż w tych bezwodnych pustyniach, w których żar słoneczny dochodzi do przeszło stu stopni ¹⁾, i w których przez dziesięć miesięcy w roku nie pada ani jedna kropla deszczu. W wielu miejscowościach, w których miały stanąć stacje, nie można było wcale dokopać się wody. Im posuwano się dalej, tém przeszkody stawały się większe. Miałki jak popiół piasek nie trzymał się pod pokładami: wiatry rozdmuchiwały nasypy. Za pustynią nastąpiły nieboty-

¹⁾ Farenheita.

czne szczyty San-Bernardino, dalej jeziora suche, i znów jeszcze bezpłodniejsza pustynia. Tysiące białych i chińczyków pracowało od rana do wieczora ze zwykłym amerykańskim gorączkowym pośpiechem, który największych przedsięwzięć nie lubi na lata rozkładać. Roboty wreszcie skończono. Fort Yuma został połączony z San-Francisco, i nowe kraje tak dla górnictwa, jak i dla kolonizacji otwarte.

Wszystko to tém godniejsze uwagi, iż kolej ta nie jest dziełem całych Stanów Zjednoczonych, ale saméj tylko Kalifornii. Wprawdzie, wszystkie koleje są tu w rękach prywatnych kompanii, ale gdy akcyonariusze na linię „Dwóch Oceanów” rekrutowali się istotnie od oceanu do oceanu, akcye południowej drogi rozchodziły się przeważnie tylko w Kalifornii, mającej sześćset tysięcy mieszkańców.

Ale tu wszystko idzie prędko. Mógłby ktoś powiedzieć, że téż wszelka przedsiębiorczość prywatna, mając pod każdym względem rozwiązane tu ręce, więcéj znajduje pola niż gdzie indziej. Z tém, jako z faktem uznanym, sprzeczać się nie będę, zauważę jednak, że tu, w Ameryce, taż sama energia, która w rozwoju swym nie znosi żadnych ograniczeń, umiałaby wyzyskać wszelkie okoliczności, aby usunąć to, coby jéj na drodze stawało.

Inne pytanie jest, czy takie koleje, prowadzone przez kraje puste, do jakichś placówek cywilizacji, jak np. fort Yuma, opłacają się przedsiębiorcom, ale i na to pytanie niepodobna inaczej odpowiedzieć, jak twierdząco. Przedewszystkiem są to przedsięwzięcia obliczone

na lata, na przyszłość. Aryzona naprzykład jest krajem dziś jeszcze prawie pustym, ale przedsiębiorcy liczą na to, że przestanie być pustym, gdy kolej ułatwi do niej drogę. Wiedzą dobrze, że bogactwa mineralne tego kraju, niewyczerpane kopalnie srebra ściagną mnóstwo górników z całych Stanów: za górnikami pójdą handlujący, za temi kolejno rolnicy; że powznoszą się miasta, powstanie przemysł, a w końcu prace i nakłady aż nadto obfity plon przyniosą.

Jednym słowem: w Ameryce koleje otwierają nowe kraje. Przytém zachodzi jeszcze jedna okoliczność. Oto, rządy stanowe, w chęci popierania tak pożytecznych przedsięwzięć, nadają kolejom ogromne przestrzenie gruntów drogom przyległych. Następnie gdy kolonie wychodźców przybywają z Europy z zamiarem osiedlenia się w Nowym-Swiecie, oczywiście wolą nabywać ziemie kolejowe niż wszelkie inne; najprzód bowiem można je nabyć tanio, a powtórnie ziemie te, leżąc wzdłuż linii, mają zapewnioną łączność z wielkimi ogniskami handlowemi, a tém samym i zbyt swoich produktów. To téż zarządy kolejowe sprzedają rok rocznie setki tysięcy akrów koloniom niemieckim, irlandzkim, duńskim, szwedzkim, norweskim, a nawet i polskim. Koloniści, osiadając gromadnie po kilkadziesiąt i więcej rodzin, śmiało zapuszczają się w nieznanne strony, nie lękając się ani indyan, ani odległości, byle znaleźć ziemię urodzajną, dostatek wody i drzewa. Z czasem téż dochodzą do zamożności i prowadzą życie spokojne. W ten sposób, na pustyniach Wielkiego Zachodu powstają miasta, które przez swą odległość, stanowią jakby zawiązki państw nowych: w ten sposób także

ściąga się ludność w krainy puste, a „terytorya” zmieniają się zwolna w stany.

Stan taki rzeczy trwa do dziś dnia. Czytelnicy słyszeli zapewne o licznej i groźnej dla Galicyi i Poznańskiego emigracyi wieśniaków do Ameryki. Ludność ta wieśniacza, a zatém rolnicza, narażoną bywa częstokroć po przyjeździe, na wielką nędzę po miastach; dlatego też istnieje w niej powszechne dążenie do osiadania na koloniach. Dążność ta objawiła się ze szczególną siłą w ostatnich czasach. Obecnie prowadzą się układy o nabycie od kolei kilkudziesięciu tysięcy akrów w Arkanzas, między rzekami Arkanzas i Missisipi, w kraju lesistym, zdawnym pod uprawę zbóż wszelkich i bawełny, a przez pół jeszcze pustym. Inna znów partya, a raczej duchowni, stojący na jej czele, pragną wyprowadzić swe owieczki na stepowe bezleśne pastwiska Nebraska; obie zaś partye prowadzą z tego powodu nader zaciętą polemikę, w której tak jedna jak i druga strona nie przebiera zarówno w środkach jak i w wyrażeniach.

Rozpisałem się obszernie w końcu niniejszego listu o kolejach, owa bowiem nieustraszona odwaga i przedsiębiorczość z jaką są budowane, stanowi jedną z wybitniejszych cech amerykańskiego charakteru. Obecnie kto spojrzy na kartę Stanów Zjednoczonych, dostrzeże obok linii już istniejących, mnóstwo innych dopiero wytkniętych, które jednak w ciągu kilku lat zostaną ukończone. Linie te biegną, krzyżują się i łamią we wszystkie strony, pokrywając swą potężną siecią góry, pustynie, lasy i bezludne prawie zupełnie jeszcze stepy. Są w Oregone, w Waszyngton-Terytory, w Montana, w Idaho, w Dakota, Ne-

brasce, Colorado, Arizonie, New-Meksyku, Texasie i Indian-Teritory, słowem w okolicach, w których przed kilkunastu laty, prócz niezliczonych trzód bawołów i uganiających się za nimi miedzianych jeźdźców strojnych w pióra, nie było innych panów. Ale to nie dosyć! Zuchwalcze jeszcze zamiary lęgną się już podobno w głowach Yankesów. Zamało już im Stanów Zjednoczonych, więc chcieliby okuć w żelazną sieć całą tę część świata, nietylko w jej szerokości, ale i w długości. Czy te zamiary przyjdą do skutku? doprawdy wątpić niepodobna, bo energia tego wolnego ludu, istotnie nie zna niebezpieczeństw, a jedyném prawdziwém hasłem jego jest: „*Go ahead!*”

LIST Z RZYMU.

W Rzymie, właściwie mówiąc, są trzy miasta: nowożytnie, dawne papieskie i starożytne. Topograficznie nie są one od siebie oddalone. Częstoć domy, wybudowane dziś lub wczoraj, stają na fundamentach starożytnych; między zwykłymi kamienicami wznosi się tu i owdzie wieża rromańska, czoła kościołów wsparte są na starożytnych kolumnach; słowem: życie wieków średnich wyrastało, jak pleśń na zwaliskach świata pogańskiego; potem samo z kolei zapadało w gruzy, z których lepił sobie gniazdo człowiek nowożytny. Rzym jest to więc mieszanina bezładna trzech światów i w skutek tego najosobliwsze miasto na świecie. Ulic jego nie dotknęły prawie jeszcze linia i cyrkiel; domy piętrzą się jedne nad drugimi, obniżają się, wznoszą, występują jako grupy; uliczki gną się w nieznane gdzieindziej krzywizny, między domami widać tarasy, blanki forteczne, wieże, pałace, kościoły, zwaliska, olbrzymie skarpy rzymskich fundamen-

tów, fontanny, krzyże, obeliski, znowu wąskie nakształt korytarzy uliczki, a na ich rogach Madonny, oświetlone nocą blaskiem lamp.

Starożytnego Rzymu widzi się na każdym kroku ślady, ale przeważnie ślady tylko. W ogóle zapadł on w ziemię, wieki pochowały go jak umarłego człowieka i pokryły grubemi warstwami gruntu, a na tym olbrzymim grobie zazieleniało nowe życie. Ale ciekawość dzisiejsza lubi odgrzebywać stare mogiły: w ten sposób odgrzebano Forum-Romanum.

Począwszy od Kapitolu aż do Koloseum, ciągnie się Rzym starożytny, niepomieszany z nowym. Część ta stanowi odrębną dzielnicę, leżącą na skraju dzisiejszego miasta. Widok na nią odkrywa się prawie niespodzianie, i trudno nawet zdać sobie sprawę z wrażenia, jakiego doświadcza podróżnik, gdy, wynurzywszy się z wąskich uliczek obok Kapitolu, spostrzeża odrazu to miasto zwalisk. Forum jest to dziś ogromny prostokąt, zapadły na ośm metrów w ziemię, ograniczony w swęj długości z jednej strony Kapitołem, z drugiej Koloseum. Po prawej stronie leży skała Tarpejska i gruzy pałaców cezaryjańskich, po lewej więzienie Mamertyńskie, świątynia Antonina i Faustyny, a na koniec olbrzymie zrujnowane mury świątyni Konstantyna. Tu było ognisko i serce dawnego Rzymu, a obecnie kraniec dzisiejszego. Przez otwory w łukach i sklepieniach, przez puste okna odwiecznych zwalisk widzi się ogrody, niezabudowane pólka, a w dalekości znów zwaliska i stosy gruzów, przysłonięte błękitem oddalenia, za któremi ciągnie się smutna, rozległa równina Kampanii rzymskiej.

Ruchu miejskiego prawie tu niéma; niesłychać turkotu wozów i dorożek. Kolumny, to stojące samotnie, to jeszcze połączone, sterczą ku górze, z powagą i martwością pustki; wytworne linie przecinają na wszystkie strony ciemny błękit nieba i wykreślają się na niém z nieporównaną czystością i spokojem; olbrzymie sklepienia, jakby nie rękami ludzkimi wznoszone, zwieszające się masą, niepodpieraną od wieków, zdaje się, że runą za chwilę pod własnym ciężarem; nad wszystkiém unosi się jakiś nieopisany majestat wielkich wspomnień, ciszy i śmierci. W około żyje tylko natura; na zrębach murów cezaryjskich pałaców czernieją sosny rzymskie, gdzieś tam palma rysuje się na wysokości naksztalt wysmukłej kolumny, zakończonój kapitelem liści; długie trawy, powoje i mchy czepiają się wszystkich szczytów, rozpadlin, szpar i załamań; nad zwaliskami krąży w powietrzu ptastwo, i słońce zlewa potoki światła, ale wszystko, co tylko wyszło z pod ręki ludzkiej, ciche jest, zrujnowane i martwe. Jest to poprostu miasto umarłe. Częstokroć, zwłaszcza w miesiącach letnich i na początku jesieni, gdy cudzoziemcy jeszcze się nie pojeżdżają, żadna żywa dusza ludzka nie zakłóca tu ciszy. Gdym w godzinach popołudniowych zabłąkał się między te kolumny, zdała zaledwie dochodził szum miasta niewyraźny, zmacony, podobny do mruczenia dalekich wód; zresztą słyszałem tylko świergot ptastwa w gzymsach i sykanie świerszczów, ukrytych w szparach kamiennych. Na myśl nasunął mi się mimowoli wiersz Słowackiego:

„Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie,
Przed nagrobowém pochowane słońcem,

Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Straszny jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyzy,
Jest objawieniem, jest i pieśnią ciszy."

Jakoż, przy towarzyszeniu téj pieśni, zeszedłem do owego grobowca, który zarazem wydał mi się jakby ostatnią, zakłęta w kamień i marmur księgą wielkiego epos. Dziwne myśli przychodzą do głowy podróżnikowi, gdy się raz tu znajdzie i stanie, jakby oko w oko, z przeszłością. Wszystkie wspomnienia, wszystko, co wie o dziejach Rzymu, co o nich czytał, a co, mimo całej zdolności do odtworzenia wyobraźnią, wydawało mu się mimowoli czémś oderwaném, poprostu jakąś teorią historyczną, tu przybiera kształty dotykalne i występuje, jako istotna rzeczywistość. Można na to patrzeć i dotykać ręką. Nie jest to zmiana wątpliwości na pewność, bo któż wątpił? ale ostateczne sprawdzenie słów faktami. I jest w tém jakaś dziwna rozkosz, gdy się pomyśli: ja tu jestem, ja to widzę! rozkosz, mająca swe źródło w większej wyrazistości, z jaką przemawiają fakta, i w ciekawości, jaką budzi świat umarły już, a tak od naszego oddmienny.

Tymczasem oko ześlizguje się po otaczających przedmiotach, jakby przelekle ich wielkością i ruiną. Wszystko tu zniszczone. Żelazna ręka Roberta Guiscard'a zburzyła do reszty to, co przetrwało napady gotów i wandalów, i całe Forum wygląda jak wielki zrujnowany cmentarz, na którym bezład grobowców dopełnia dzieła śmierci. Kolumny, jedne połamane w górnej części, drugie u podstaw, oznaczają jeszcze granice świątyń, ale trzony wielu z tych kolumn leżą już bezładnie na ziemi w różnych

kierunkach; gdzieniegdzie sterczą tylko cokóły, gdzieniegdzie noga depcze korynckie lub jońskie nagłowniki, na wpół zagłębione w ziemi i porastające mchem w ozdobięniach. Trawa wydobywa się ze szpar pomiędzy kamiennymi płytami, któremi całe Forum było wyłożone. Mnóstwo podstaw posągów, ale bez posągów, to stoi, to pochyla się ku upadkowi, to leży już w dzikiem nagromadzeniu. Oko odkrywa jeszcze na nich wpół czytelne napisy, w których wyraz *Divo* powtarza się co chwila. Boskim i ubóstwionym ludziom wznoszone były za cesarstwa te posągi, a teraz często marmurowe członki owych „boskich” leżą w kupach rupieci i w pile zczerniałe, pokryte pleśnią, zapomniane. Cała przestrzeń zasłana jest szczątkami posągów. Tu widać nagi tułów kobiety bez głowy, rąk i nóg, piękny jeszcze w swych kształtach miękkich i zaokrąglonych; dalej: ręce męzkie z mięśniami jak węzły, potężne uda bohaterskie, głowy bez nosów, nogi, torsy, to olbrzymie, to zwykłej wielkości, poprzewracane obok siebie, przy sobie, na sobie: smętne okruchy, wśród których sykają „koniec rapsodu” świerszcze.

Chwilami zdaje się zwiedzającemu, że jest w jakiś olbrzymiej pracowni rzeźbiarskiej. Mimowoli przychodzi na myśl, jak żywotną sztuką była rzeźba dla starożytnego świata, i niepodobna nie zgodzić się z Taine'm, że czas jej minął. W dawnych, rozkochanych w plastyce czasach, była ona zaspokojeniem istotnej potrzeby, którą odczuwał cały naród; dziś jest sztuczną rośliną, hodowaną gwoli wykwintnemu smakowi. Pogański artysta tworzył, dzisiejszy tylko odtwarza, wedle reguł; pogański czerpał ze swego otoczenia, ze współczesnych zamiłowań, z żyją-

cych wyobrażeń i pojęć, bądź religijnych, bądź poetycznych: słowem, był szczery; dzisiejszy nie zwraca się do swego świata, nie czerpie z niego, ale musi szukać treści w dziejach przeszłych, umarłych i nieodczuwanych przez nikogo. Nowsze też czasy wytworzyły swoją własną poezją, malarstwo, muzykę i budownictwo, w rzeźbie nie wyszliśmy z koła bogów, faunów, nimf i bohaterów greckich. A jednak, ta najmniej dziś żywotna ze sztuk pięknych, była niegdyś najżywotniejszą. Po za mrówczem codziennym życiem dawnego klassycznego miasta, świątynia, a w niej szeregi posągów, były prawdziwą „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty,” i słowo w słowo można powtórzyć z poetą, że w nie „lud składał broń swego rycerza, swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty,” swoją religią, swoją ufność w potęgę i opiekę bogów. Służyły one, jako ogniwo dotykalne, wiążące przeszłość z przyszłością, rzeczywistość z ideałem, człowieka z bóstwem. Więc też Forum było całym ludem posągów. Barbarzyńcy niszczyli je, kruszyła i pokrywała pleśnią wilgoć, czas zasypywał ziemią, grabiły późniejsze muzea, a jednak jeszcze dziś przestrzeń przy Via Sacra i na całym Forum prawie jest brukowana ich odłamami.

W miarę jak „między kolumny, na niebie się kreśląc,” zbliżamy się do Kapitolu, nadlatują wspomnienia historyczne, a litery S. P. Q. R., ryte na przecznicach, napędzają do głowy szeregi obrazów. Tu „*sub tutela inviolati templi*,” wśród tego lasu kolumn i posągów zbierały się komicya. Wyżej na górze zasiadał senat z trybunami w progu, których wnioski przejmowały gniewem i drżeniem „*patres conscriptos*.” Tu tacy Mira-

beau'wie dawnych czasów, jak Canuleius, a późniéj Lici-
nius Stolo, wśród wrzawy, wśród zmarszczonych brwi i za-
ciśniętych ust arystokratów, powtarzali swoje brzemienne
w następstwie: „*ut alterum ex plebe consulem fieri lice-
ret,*” a potem „*aedilem,*” „*censorem.*” Tędy na via Sa-
cra przesuwały się wozy tryumfatorów, za niemi w pętach
królowie barbarzyńców, zadumani o puszczech rodzin-
nych, smętni, ogromni; naokół nich liktorzy z pękami różg
i siekierami, dalej legiony, łupy, orły i radosny lud.
W chwilach nieszczęść tu ginęli senatorowie z ręki Gal-
lów Brennusa, potem Gracchowie z rąk Rzymian. Na
Kapitolu bladł senat, a Sulla się śmiał, gdy jęki mordo-
wanych dochodziły z pobliskich więzień Mamertyńskich.
W tychże więzieniach, wśród ciszy nocnej, Cicero świecił
latarką w oczy trupom współników Katyliny i powtarzał,
jakby dzisiejszy mieszczanin drżący przed rewolucją, swo-
je pamiętne: „*jam non vivunt!*” z murów Kapitolu
wreszcie powiewała posępnie skrwawiona toga Cezara,
a w dole lud wył o zemstę.

Wszystko to było, żyło, działało i przeszło. Poko-
lenia kładły się do grobów i tylko lud posągów mnożył
się na Forum. Z Kapitolu został zrab muru, na którym
Michał Anioł zbudował pałac w stylu odrodzenia; na Fo-
rum z czasów rzeczypospolitej nie pozostało prawie nic,
tak, że już żelazny Guiscard burzył tylko pomniki cesar-
stwa. Ale dziś i tych niewiele. Sam tylko łuk Septima
Sewera przetrwał. Wandale i normandowie poogryzali
go u podstaw, tak jakby wilki poogryzały kość mammuta,
ale skruszyć potężnych zworów nie mogli. Nagłówniki ko-
lumn ostrzygły nożyce czasu, marmur żółkł, płaskorzeźby

zatarły się i w części pokryły plamami, budowla zapadła się w ziemię na jakie dwa piętra, ale trwa potężnie. Zresztą, nie licząc dalej stojących łuków Tytusa i Konstantyna, jedyny to pomnik czysto rzymskiego budownictwa na Forum. Wszystkie inne to dzieci Hellady.

Zachowała się jeszcze kolumna Fokasa, ośm kolumn świątyni Jowisza, trzy Kastora i Polluksa i kilka mniejszych Saturna. Przeważnie szczyty ich są połączone jeszcze przecnicami naczelnymi, na których widać resztki napisów. Porządek koryncki przemaga we wszystkich, t. j. większość kolumn kończy się bujnym, wysokim, rozkwitłym w liście i kwiaty nagłównikiem; jońskich z pozawijanemi rogami widziałem kilka tylko; często zdarzają się mieszane, jońsko-korynckie; gładkich doryckich, zakończonych pierścieniem i prostym bez ozdób czworokątem, niema wcale. Gdy patrzyłem na te, które stoja na Forum, z wolna wspomnienia historyczne ustępowały przed wrażeniem piękna. Ład tego budownictwa działa poprostu kojąco. Podobnego wrażenia doświadczyłem na widok Wenus Milo w Luwrze i Apolina Belwederskiego na Watykanie. Podróżny nie wzdryga się w grekorzymskich świątyniach, tak jak w posępnych ciemnych nawach gotyckich; umysłu jego nie ugniata rozszalała fantazyja np. pagody indyjskiej; uwagi nie rozprasza zbyt wiele ozdób nowszych barokowych budowli. Czar zawarty w słowie *ład*, działa inaczej: polega on na zupełnej równowadze wszystkich władz duszy i wrażeń, na poczuciu pewnego spokoju wewnętrznego, w stosunku do doskonałości wymiarów, do jedności i wyśmienitej prostoty. Pogodne wrażenia rodzą pogodę w duszy, człowiek czuje, że

mu jest dobrze. W budowlach klassycznych, jak i w starożytnych posągach, niéma żadnej poszczególnej myśli, jeśli się godzi tak wyrazić: literackiej, któraby podporządkowywała inne i starała się wyłącznie przemówić; jest tylko jedna ogólna myśl boskiego ładu, w stosunku do człowieka i natury.

Powtarzam: i natury, albowiem te kolumny, nagłówniki, przecznice, zlewają się również w pełną ładu całość i z krajobrazem, i z niebem, i ze słońcem. Zielone podesłanie równiny podnosi ich lekkość i wysokość, błękitne tło nieba uwydatnia białość i jakby roztopia w słodki sposób linie zarysów; słońce wreszcie rozświeca je, ożywia, wydobywa wszystko, co wydobyć należy, cieniuje i dopełnia rzeźbienia. Tym jońskim lub korynckim kolumnom potrzeba greckiego lub włoskiego błękitu, greckiego lub włoskiego słońca. Budowniczy rachował na pomoc tych czynników. Przeniesione w mgły północne i pod chmurne niebo, owe wdzięczne kwiaty skurczyłyby się, zmały, zwiędły.

Co widać także z klassycznych budowli, to niezmierną wiarę ludzi starożytnych w życie doczesne, w jego znaczenie i w jego szczęście. Rozumiemy Achillesa, gdy mówił nawpół ze smutkiem: „Słuchaj boski Odyseju! wolałbym być parobkiem i żyć na ziemi, niż błąkać się jak cień po polach Elizejskich.” Jakoż szczęścia, rozkoszy, celów, jakie człowiek sobie zakłada szukano tu na ziemi. Ztąd i ochota do wysileni życiowych, do dopełnienia życia ładem poezji, malarstwa, rzeźby, muzyki i budownictwa. Sztuki piękne są dla nas zapomnieniem życia i ucieczką od niego, dla nich były jego bukietem. Śre-

dniowieczny mnich, patrzący na ziemię, jak na padół nędzy, nie mógł wznosić świątyń podobnych. Kościół jego wyrwał się ku niebu strzelistemi więzami, jak wyrwała się dusza... Średnie wieki straciły wiarę w życie doczesne... nowsze tracą je w przyszłe... Doprawdy przychodzi ochota zapytać, dlaczego i czém wreszcie żyć będziemy?

Ale to troska przyszłości. Inne jeszcze i mniej gorzkie myśli budzi widok klassycznych świątyń. Oto, odwróciwszy się od ponurego łuku Septima Sewera, zwolna na tém Forum rzymskiém zapominasz, że jesteś w Rzymie, a zdaje ci się, że otacza cię Grecya. Toż te kolumny korynckie i jońskie, te nagłówniki, przecznice i posągi, to kwiaty ducha greckiego, to rodzone jego dzieci, ideały. Tu, w zaboreczym Rzymie, zabrana Grecya wystawiła sobie pomnik nieśmiertelny. Rzym rozumiał tylko i popierał wielką ideę państwową, poświęcił jęj zupełnie jednostkę, wytworzył najsilniejszy rząd w świecie, podbił cały krąg ziemski, ogarnął go, opanował, wyżył, zaprowadził wszędzie państwo rzymskie. Grecya pozwoliła się rozwijać jednostce, nie umiała się zdobyć na wielką syntezę państwową, ale dziejami swemi wewnętrznemi uświęciła przepysny rozwój indywidualny człowieka i Rzym runął pod własnym ciężarem, a Grecya nie tylko odrodziła się w państwie bizanckim, ale w samym Rzymie przeżyła Rzym. Ateńczyku dzisiejszy! Ateńczyku „żwawy,” „potęsknij, podumaj nad pomnikiem sławy.” Zwłaszcza podumaj! Co za dziwne losy i koleje! Dumania o nich nie powinny być zbyt gorzkie.

Przez łuk Tytusa, obok zwalisk pałaców cezaryańskich, przechodzi się do Koloseum. Łuk ten, to najpiękniejszy zabytek czysto rzymskiego budownictwa; jakoż wyśmienite jego wymiary i pyszne rzeźby wyróżniają go od pobliskiego łuku Konstantyna, stojącego na drodze do łaźni Karakalli. Na wewnętrznej wklęsłej jego stronie płaskorzeźba wyobraża pochód tryumfalny Tytusowych legionów, obciążonych łupami zburzonej Jerozolimy. Między innemi przedmiotami widać tam sławny świecznik ze świątyni Salomona. Żydzi tutejsi z Ghetto omijają zdaleka tę bramę strasznych dla nich wspomnień. Za łukiem jest się już w zakresie Koloseum. Tu panuje i przemawia wyłącznie cesarstwo, a na myśl nasuwają się przede wszystkim, jakby kute z kamienia, słowa Tacyta: „*Ruerunt in servitute patres, senatores, equites, plebs.*” Ale na cesarstwo można także patrzeć, jak na reakcją ducha ludzkiego przeciw pochłaniającej wszystko idei państwa. Świat już był podbity, a obywatel, zepsuty tryumfami męczył się tą ustawiczną potrzebą poświęcenia wszystkich sił ducha i ciała dla państwa. Z drugiej strony, człowiek zapragnął żyć jako jednostka, nie ginąć bez śladu w nirwanie państwowej, poświęcić się poezji, sztukom, rozkoszom; więc całą tę olbrzymią pracę rządu złożył w ręce jednego cezara; sam zaś odpoczywał, bawił się i rozweselał. Wprawdzie: *ruerunt in servitute*, ale zato cesarz Wespazjan wznosił im takie Koloseum, a Tytus kazał się mordować w niem tysiącom ludzi i zwierząt. Jakoż lud był zadowolony. Cezarowie kapali go w łaźniach, rozdawali zboże na rynkach, pieścili. Lud kochał nawet i Nerona, który był dlań zarazem intenden-

tem i najstarszym błaznem. Wysokie tylko głowy obcinano do ogólnego poziomu, ale spodlonęj czerni tego rodzaju równość płaciła właśnie za wolność. Płaciły jednak przedewszystkiēm igrzyska. Tu z „Kunikulów” w Koloseum odbywały się nocami przeciągle ryki lwów. Dziś olbrzymia ruina świeci pustemi oknami, ale dawniej wśród ryku zwierząt i chrapania konających, dziewięćdziesiąt tysięcy gardzieli wyło: „*macte!*” klaskały dłonie, palce podnosiły się ku górze lub na dół, gladyatorowie wykrzykiwali: *Ave Caesar! Morituri te salutant;* na arenie przesuwali się giermanowie, gallowie, bastarny, olbrzymi dakowie, ludzie tak osobliwi jak te zwierzęta, których dosyłała Afryka. Tu także konali cicho chrześcijanie. Potē ten piekielny chorał krzyków i jęków dzikich i wściekłych, rozpaczliwych lub pokornych, umilkł raz na zawsze, a na przesiąkłej krwią arenie rozciągnął, w głuchēm milczeniu, ramiona krzyż.

Dziś niēma krzyża. Władze świeckie kazały go uprzętnąć. Zresztą wznosił się on już wśród zwalisk. Olbrzymi gmach zaczął sam przez się rozpadać się w gruzy; Normand Guiscard zburzył go w części, resztę dokonał czas i chciwość ludzka. *Quod non fecerunt barbari fecere Barberini!* Pałace Barberinich i Farnesów budowane są z cegły, grabionēj w Koloseum; potē przez całe wieki okradał je kto chciał. Dopiero za czasów Napoleona zaczęto niby odbudowywać gmach i wzniesiono, a raczēj odnowiono, kilkanaście sklepień, ale próby owe były i pozostały, w stosunku do całości, kroplą w morzu. Całość sterczy do dziś dnia potworna, zczerniała, połamana, obumarła i prawie niepodobna do dzie-

ła rąk ludzkich. Widziałem ją w blaskach słońca i przy księżycu. W nocy jest prawie straszna swoim ogromem, ruiną i pustką. Zamieszkują ją teraz skorpiony, niedopierze i zniszczenie.

Pod sklepieniem łuku Konstantyna przechodzi droga do łaźni Karakalli. Droga to prześliczna, wśród ogrodów i wądołów, których szczyty pokryte są sosnami kształtu parasoli, stoki zaś porastają winogradem i wysoką kukurydzą. Na prawo i na lewo, razwraz po nad masą zieleni, wznoszą się jakieś zwaliska i szczątki. Krajobraz jest włoski, pełen słodyczy, światła, lazuru, a oko leci daleko w przezroczy powietrznój. Cichość przerywają tylko ćwierkania wróbli na drzewach, bo zresztą dziwnie jest mało ruchu w téj okolicy. Idąc spotkałem tylko jeden wóz wysoki, ładowny, zaprzężony w muły, poobwieszane dzwonkami; prócz niego ani żywej duszy. Droga objęta murami, zwęża się i zakręca tak, że do łaźni dochodzi się prawie niespodzianie. Zapłaciwszy franka u wejścia, wszedłem w środek, a wszedłszy, począłem się rozglądać na wszystkie strony i mimowoli pytałem siebie gdzie jestem. Koloseum w porównaniu z temi zwaliskami jest poprostu małe. Żaden gmach nowożytny nie daje nam wyobrażenia o wielkości łaźni. Olbrzymie milczące komnaty otwierają się jedna za drugą. Z przedsionka wchodzi się do frigidarium, dalej do tepidarium i callidarium.

Podnosim oczy do nieba, którego krąg ogromny wi-
dać z każdéj komnaty, potem do stropu opustoszałych murów—i te ściany z cegłą zeszkloną przez wieki, wyniosłe,

poszczerbione na szczytach, pokryte pękami zieleni, a ci-
che, wydają się skalami, otaczającemi jakąś dolinę gór-
ską. Stada kawek przelatujące z wrzaskiem z jednego
grzbietu muru na drugi, dopełniają złudzenia. Szcząt-
ki sklepień, przerzucanych ze ściany na ścianę, lub zwie-
szonych w powietrzu, ogromne złamy kamienia poro-
praszane bezładnie, przypominają fantazją przyrodzenia.
Chwilami zdawało mi się, że jestem w górach, w jakimś
kanionie amerykańskim. Głucho tu też także jak w gó-
rach, przestrono i pusto, kawki tylko krzyczą, ale szum
miasta nie dochodzi wcale. Jednakże to dzieło rąk ludz-
kich! to łaźnie Karakalli! W kątach murów leżą jeszcze
szczątki posągów, tułowy i głowy, a tam, gdzie trawa
i wrzos nie pokrywają gruntu, odsłania się oczom najpy-
szniejsza mozaikowa posadzka, układana w kwiaty, zwie-
rzęta i ludzi. Obszedłem wszystkie komnaty; po jakichś
szczątkach schodów wydostałem się na zrab wewnętrznej
ściany, z kąda oczyma mogłem ogarnąć lepiej całość. O-
grom jęj przechodzi stanowczo nasze pojęcia o budowlach
ludzkich; dzieło to zupełnie przyrody! naokoło skały i ska-
ły! Ale okruchy cegieł poczęły się wysuwać z szelestem
z pod nóg moich; trzeba było zejść, témbardziej, że i słoń-
ce jęło zachodzić. Ostatnie jego promienie rzuciły zło-
te blaski na owe szczyty sterczące; stada kawek poszły
spać, niebo czerwieniło się coraz więcej; wreszcie głos
stróża, rozlegający się echem wywołał mnie ze zwalisk.
Doszedłszy do skrzyżtka drogi, raz jeszcze rzuciłem na nie
oczyma. W świetle zorzy były takie czerwone jak krew.
Wydostałem się wreszcie na drogę, wiodącą do łuku Kon-
stantyna. W dzień była pusta, teraz zaś gromady chło-

pców i dziewcząt wracały od roboty, zapewne z winnic i pól kukurydzowych, a wracając zawodziły chórem pieśni. Świeże i wdzięczne głosy rozlegały się poetycznie wśród ciszy wieczorniej. Tymczasem ciemniało coraz bardziej, i na koniec zrobiła się noc, ale noc włoska, ciepła, gwiazdzista. Księżyc roztoczył już na Forum i Kolo-seum czarodziejstwo białych promieni. Śpiewające gromady długo jeszcze szły razem ze mną i stopniały dopiero w labiryncie wąskich uliczek, otaczających Kapitol.

Z WENECYI.

„Może jest rzeczą nieroztropną spisywać pierwsze wrażenia, ale czemuż ich nie spisać, skoro się ich doznaje?” Biorę za punkt wyjścia te słowa Taine'a i bez innych wstępów, posyłam wam list z Wenecyi. Życie włoskie, a etnograficznie biorąc, i Włochy, zaczynają się już od Tryestu. Pociąg, który cały dzień przebiegał węzową linią góry illyrskie i dalmackie, pokryte winnicami lub siwo-perłowym kamieniem, staje w Tryeście o godzinie dziesiątej w nocy. Kto chce jechać dalej, musi zaraz dotrzeć do portu. Można by dalej jechać i koleją, ale po kilkodniowym trzęsieniu w ciasnych wagonach, miliej jest pokolysać się na falach Adryatyku. Widzi się więc miasto w przelocie, ale jednego rzutu oka dosyć, aby się przekonać, że tu już życie od północnego odmienne. Miasto wielkie, o szerokich, dobrze oświetlonych ulicach, wyłożonych nie brukiem, ale płytami kamienia; domy wysokie błyszczą, jak marmurowe, w blasku lamp; otwarte kawiarnie zalewają ulice światłem; przed kawiarniami ole-

andry w wazonach i marmurowe stoliki, przy których roją się tłumy ludzi. Nosi to już charakter południowy. Ludność widocznie wysypuje się rojnie na ulicę dopiero wieczorem, gdy upał dzienny przejdzie. Wówczas wszystko, co żyje, bawi się, przechadza, spotyka i rozmawia. Między tłumem widać strojnych mężczyzn i strojne kobiety o czarnych oczach, przy których gasną lampy. Ulice ze swemi płytami marmuru i kamienia zamiast bruku, z mnóstwem świateł, z oleandrami i z publicznością, wystrojoną świątecznie, robią zupełnie inne wrażenie, niż ulice miast północnych: jest to raczej portyk, służący jako miejsce spotkań. Dodajmy do tego przepyszny wieczór, miliony gwiazd na niebie, drganie słodkiego języka w ustach kobiecych, a zrozumiemy dlaczego Tryest daje jakoby przedsmak Włoch.

Ale wszystko to widzi się, jak wspomniałem, w przełocie; trzeba bowiem śpieszyć się do portu. Zegary miejskie biją na różne tony jedenastą. Świeży powiew morski wskazuje, w którą stronę należy się kierować. Po kilkuset krokach pod nogami nie czuje się już kamienia, ale deski. To już dyga portowa. Szeregi świateł, połyskujących w dali we wszystkich kierunkach, nie rozświetlają ciemności, na której tle rysują się ciemniejsze jeszcze sylwetki kominów i masztów. Czasem snop isker buchnie z takiej sylwetki i rozsypie się w deszcz złoty, którego krople gasną cicho; czasem panującą tu ciszę przerwie świst parowca: zresztą, z powodu późnej godziny, pusto tu, i w porównaniu z szumem miasta głucho. Niema się nawet kogo spytać, gdzie szukać parowca. Jednakże oświetlone budki wskazują co kilkaset kroków

drogę; w jednej z nich, stojącej otworem kupuje się bilety do Wenecyi.

Czarne zarysy statku wykreślają się posępniemi liniami tuż za budką. Zawieszona na przednim maszcie błękitna lampka zdaje się tkwić w powietrzu i rozświeca banderę Lloyda. Na pomoście widać ludzi z latarkami. Pół godziny pozostaje jeszcze do wyruszenia, tymczasem zwolna schodzą się podróżni. Jeśli noc jest piękna, najchętniej podróżować na pokładzie, a także i najtaniej, albowiem przejazd tylko trzy kosztuje guldeny. Ułożywszy węzelek z rzeczami na wystającym z pokładu pomoście, pokrytym żaglowem płótnem, wyciągnąłem swobodnie skurczone długą jazdą w wagonie członki. Panujący tu mrok słabo tylko rozświecają jeszcze wejścia do kajut i okno, przez które widać potężne polerowane członki maszyny, zginające się zwolna w swoich mosiężnych stawach jakby dla nabrania rozpędu. Podróżnych schodzi się coraz więcej; bieganie ludzi z latarkami staje się szybsze, śruba poczyną burzyć wodę, i wreszcie wyjeżdżamy. Chłodny powiew dolatuje teraz z szerokich przestrzeni morskich. Tryest, szeregi domów i światła zdaje się oddalać, jakby zasuwając pod wodę, przesłaniać się mgłą, a nakoniec niknąć w oddaleniu i ciemności. Noc jest przepyszna, cicha, ciepła, gwiazdzista; statek nie kołysze się prawie, bo tań morska wygląda jak nieprzejrzane zwierciadło bez jednej skazy. Razem z myślą, że jestem na klasycznym Adryatyku, przed oczyma przesuwiają mi się różne obrazy: to dumnych flot weneckich, to łodzi uskoków, które kołysały się niegdyś na tych falach. Potomkowie, a przynajmniej pobratymcy tychże uskoków, dal-

maccy rybacy, leżą oto w téj chwili przy mnie na pomoście. W ciemności mogą zaledwie odróżnić ich postacie, ale słyszę prowadzoną półgłosem rozmowę, którą prawie zupełnie rozumiem, mnóstwo bowiem w niej wyrazów do polskich podobnych. Ten blizki naszemu język, słyszany w nocy na falach Adryatyku, dziwne sprawia wrażenie i dziwne myśli napędza do głowy. Cóżto za olbrzymie przestrzenie między Bałtykiem, morzem Czarném i Adryatykiem, zamieszkane przez ludy jednego szczepu! Mimowoli czuje się w tém jakąś przyszłość, bez określonych jeszcze kształtów, ale tak ogromną, że pod jéj tchnieniem myśl zwiija skrzydła. Niegdyś te południowe szczepy patrzyły w gwiazdę Warneńczyka, jak w gwiazdę zbawienia.

Pytałem towarzyszków, dalmatów, w jakim celu jadą do „Mlecina.” Odpowiedź nasunęła mi na myśl wiersz Mickiewiczowski, pod tytułem: „Morlach w Wenecyi.”

Głym ostatniego cekina postradał
I gdy mnie chytra zdradziła niewiasta,
Życie mi zbrzydło, a Włoch mi powiadał:
Dymitry! pojdźmy do morskiego miasta!

Jechali za zarobkiem. Biędny lud! Owe góry pokryte siwo-płowym kamieniem, nie rodzą widocznie zbyt ku chleba. Nie wiedzieli jednak zapewne, że w Wenecyi trudniej dziś o chleb niż w Tryeście. Na pogawędce z nimi uchodziła noc. Brzask rozświetlił rosłe ich postacie o szerokich ramionach i rzymskich głowach, przybranych w czerwone, podobne do frygijskich, czapki, ale zarazem zwrócił moją uwagę gdzieindziej. Tyle razy już widziałem: „Kiedy ranne wstają zorze” na różnych mo-

rzach, że podobne zjawiska nie powinnyby na mnie robić wrażenia, ale świt na Adryatyku szczególnie jest uroczysty. Zaczyna się on od wody. Gładka toń marszczy się z lekka jakby w łuskę, która stopniowo zaczyna srebrzyć się i błednać. Woda staje się zwolna jaśniejszą od nieba; coraz więcej blasku wsiąka w ciemności, z tą bladą czystością linii określanych srebrnymi refleksami. Wierzchnia warstwa wody rozświetla się coraz mocniej, a odbicia jęj padają i na twarze ludzkie. Dal morską odsłania się stopniowo, zupełnie jakby kto podnosił z niej zasłonę. Tu i owdzie na horyzoncie widać już trójkątne żagle łacińskie. Lekki powiew który dochodzi z przestrzeni, zdaje się przynosić ze sobą błękit i blaski. Widnieje! widnieje! Świtanie wygląda jak uśmiech blady i smętny, ale nadzwyczaj łagodny i poprostu niepokalany. Potem od strony Tryestu pojawia się różaność, złoto i cała cudna gra kolorów porannych, światło tryska, rozlewa się, obejmuje cały widnokrąg, a z przeciwnej strony wynurza się z wody, w tych blaskach i majestacie: Wenecja, „la Bella.”

Dziwne miasto! Czwarty tydzień upływa, jak kręć się między placem św. Marka, Canale Grande, Giudecca i Riva dei Schiavoni, a zawsze ma dla mnie coś nowego. Ale nie obawiajcie się: nie chcę stawać do współzawodnictwa z Bedekierem i opisywać osobliwości tutejszych: zawartości kościołów, starych pałaców, muzeów i galerii; są to rzeczy znane i nie można mówić o nich, by zarazem nie przyszedł na myśl typ rudego turysty-anglika, z zadartą głową i czerwoną książką w ręku, a zarazem i drugi typ włoskiego „cicerone,” który, oprowadzając

„his lordship,” po salach pałacu dożów, recytuje jednym tchem nazwy malarzy weneckich poczynawszy od Giovaniego Bellini, Tycyana, Veroneza a skończywszy na Canalettim. Jest już w tém coś konwencyonalnego, a zresztą, opis dzieł sztuki albo ma być gruntowném studyum znawcy, albo niech go nie będzie. Wolę więc mówić o ogólném wrażeniu jakie robi Wenecya, i o życiu, jak się ono odrazu przedstawia oku przejeżdżającego. Ilużto w kraju słyszałem mówiących o Wenecyi z rozczarowaniem. Ktoś, komu z dzieciństwa mówiono o pałacach weneckich, i kto przybywszy tu spodziewał się ujrzeć w najgorszym razie tak porządne kamienice, jak w głównych ulicach Warszawy, świeże, wymalowane, wybielone, o trzech-szybowych oknach: doznaje zawodu. Tu w ciche wody Canale Grande zsuwają się mury pałaców, zczerniałe, popaczone, osiadłe; miejscami wilgoć popstrzyła je w plamy przypominające grzbiec jaszczurki, i potworzyły się pasma czarnej pleśni. U stóp gdzie woda obejmuje kamień, osiadły zielone włókna śliskich mchów, porostów i rzęsy; miejscami tynk poopadał w spojeniach; kamienne koronki nad ostremi łukami maurytańskich okien wybladły od deszczów, lub w załamaniach poczerniały od dymu. Mijamy domy Desdemony, Barberinich, Foscariów, Pesarów, Calerdżich, Tiepolich, Cornarów, a wreszcie potężną arkadę Rialto; wszędzie toż samo. Tradycya rodów potężnych, a wygasłych lub zbiedniałych, wieje od tych pałaców. Okna ich pozamykane na głucho okiennicami; w bramach rzadko ukaże się twarz domownika. Mury to dumne i poważne, ale posępne i jakby zapatrzone w przeszłość. Za to, jakże pełne charakteru, jak różne

od tych budowli, które można widzieć w innych miastach! Z wyjątkiem kilku gmachów w stylu odrodzenia, w prze-ważnej liczbie, myśl architektoniczna wenecka, biorąca początek w gotyku, pomieszała się z maurytańską. Okna wąskie, wysokie, zakończone ostrym łukiem, powycinanym w liść koniczyny, stoją tuż przy sobie, poprzedzielane tylko kolumnami. Ale te kolumny, to nie gotyckie pęki strzał, rozchodzące się bezpośrednio w sklepienia, to raczej kolumny bizantyjskie o rozkwitłym nad miarę kapi-telu. Spodnią część okien obejmują małe i ciasne balko-ny. Od wielkich drzwi wschodowych, szerokie schody spuszcza-ją się wprost w wodę; przed schodami zaś ster-czą pochyle pale, służące do przywiązywania gondoli.

Wszystko wygląda jakby spało. Na rogach tylko, przy ujściach bocznych kanałów, widać trochę więcej ży-cia. Na załamaniach murów, tu i owdzie powznoszono tarasy pokryte roślinnością. Dzikie wino, powoje i klas-syczny bluszcz zwieszają się w festonach, pokrywając ostre zarysy muru i szczytów; czasem figa wygląda z za-kamienną ścianą, czasem dolatują ztamtąd głosy ludzkie lub dźwięki jakiego instrumentu. Ale w ogóle na Ca-nale Grande, w porównaniu z innemi częściami miasta, mało jest ruchu. Przesuwające się gondole nie mącą ci-szy i na krótko tylko fałdują gładką toń, która po brze-gach odbija spokojnie i czysto szeregi uspionych pałaców, wszystkie kolumny, zagięcia, rzeźbienia, środkiem zaś błękit nieba.

Przez którykolwiek z bocznych kanałów można się dostać z tej Wenecyi uspionej, historycznej, do Wenecyi ludowej. Jestto cała sieć uliczek, z których jedne są ka-

nałami, drugie powycinane w stałym gruncie, i tu jednakże nie znajdziesz kamienic budowanych wedle wyobrażeń filistrów XIX-go wieku. Bóg wie kiedy powznoszono te budowle, dziś popaczone, obdrapane, które, wszystkie razem wzięte, sprawiają wrażenie rudery. Ale właśnie w tém ich wdzięk i artystyczny charakter. Uliczki po większej części tak są wąskie, że między szeregami domów niepodobna rąk rozpostrzeć. Mieszkańcy domów stojących naprzeciw siebie, mogą nie tylko rozmawiać, lecz i szeptać sobie do ucha. Co za pole do romantycznych zdarzeń i miłosnych westchnień, do których usposabia tu zresztą wszystko. Młoda twarz, ujęta w starożytną splekaną ramę okna, wygląda jak artystyczny obraz; mrok panujący na uliczce rzuca na nią tajemnicze półświatła i cienie, zczzerwieniałe mury podnoszą białosć płci.

Zapewne téż wiele miłosnych scen rozgrywa się tu między doniczkami kwiatów na trzecich i czwartych piętrach, w pogodne wieczory tutejsze. W dzień roi się w labiryncie tych korytarzy życie ludowe. W otwartych sklepach sprzedają południowe owoce, ryby, kraby, ostrygi, pajaki morskie i w ogóle wszystko, co zwie się: „*frutti di mare*.” Rybacy o brązowych twarzach, z koszami na głowach, nawołują potężnym głosem do kupna swego towaru; polenta dymi na straganach; okrzyki: „*aqua fresca*” lub „*langurie! langurie!*” mieszają się z nawoływaniem rybaków. Pół-nagie dzieciaki, czarne jak cyganie, ta i zamorusane, gryzą chleb św. Jana, grają po kątach w morę lub żebrzą, a na cokółkach mostków śpią w cieniu robotnicy, powyciągawszy malowniczo swoje potężne członki. Wszystko odbywa się na ulicy. Tu gotują

w żelaznym piecyku obiad, tam piorą bieliznę; na pro-gach domów siedzą kobiety z obnażonemi piersiami, kar-miąc dzieci; na placzkach, przy studniach, gawędzą i chy-choczą młode dziewczyny: wszystko to rozmawia głośno, giestykuluje z żywością Włochom wrodzoną i mimowoli pozuje jakby do obrazu.

Przeszedłszy setkami mostów i uliczek całą długość miasta, kierujemy się od środka ku brzegowi i wydostaje-my się na sam koniec Riva dei Schiavoni. Z jednej stro-ny kończy miasto wązki cypel, na którym założono ogród ludowy, z drugiej widać wejście do Canale Grande. Ri-va Dei Schiavoni, to próg Wenecyi od zatoki. Szereg za-toczonych łagodnym łukiem domów i obszerny kamienny taras, pospinany w przerwach mostami zajmują cały brzeg. Podróżnik, wjeżdżający statkiem, ogarnia jednym ruchem oka większą część miasta, od grodu królewskiego Piazzetty i Palazzo Ducale, aż do ogrodu Ludowego. Eks-królowa mórz ukazuje się z téj strony w całym majestacie. Błę-kitna fala zatoki obmywa jęj stopy i kołysze gondole, sto-jące przy tarasie. Większa część cudzoziemców umiesz-cza się w hotelach na Rivie; z okien ich bowiem wzrok ogarnia budowlę arsenału, wszystkie okręty stojące w por-cie, flagi różnych narodów, łodzie rybackie i dalekie mgli-ste wieże Lido, zdające się wytryskać wprost z pod wody, a wreszcie gubi się w błękitach morza i nieba. Wieczo-rem, gdy słońce zachodzi, niema tak smutnych barw w świecie, któremiby nie mieniła się zatoka. Złoto, pur-pura, opal, rubiny i szafiry grają naprzemian na fali i mi-gocą w tysiącnych odbłaskach. Gdy się zciemni, widok się zmienia: księżyc oblewa wówczas białém światłem ko-

ściół Santa-Maria della Salute, pałac książęcy, i ściele długie srebrne gościńce na wodzie. Okręty wywieszają na masztach kolorowe lampki, tysiące światełek, poprzywiązywanych do gondoli, uwija się po zatoce; wówczas majtkowie i rybacy gromadzą się, po całodziennym trudzie, na tarasie Rivy i śpiewają chóralnie do późnej nocy.

Tłumy, rozśpiewane i rozkołysane bezświadomie urokiem nocy i miasta, krążą od ogrodu do Piazzetty. Piazzetta, to znowu przedsionek placu św. Marka. Jeden jej bok stanowi wsparta na kolumnach i arkadach ściana pałacu Dożów, drugi: nowa prokuratorya; u wejścia zaś wznoszą się dwa ogromne słupy, wycięte każdy z jednej sztuki granitu: stojący na prawo dźwiga na sobie skrzydłatego lwa weneckiego, na lewo: św. Teodora. Powtarzam, że Piazzetta jest przedsionkiem do największego w świecie salonu, jakim jest plac św. Marka. Trzy ściany salonu stanowią prokuratorye, czwarty najozdobniejczy: ta dziwna bizantyjska budowla, złożona z marmurów i mozaik, która zwie się kościołem św. Marka. Wysoka na piętnaście pięt wieża dzwonnicza, czyli tak zwana „campanilla” wznosi się na rogu bliżej Piazzetty.

Trudnoby znaleźć drugi plac w Europie, któryby wytrzymał porównanie, pod pewnemi względami, z owym Piazza di San Marco. Szlachetna prostota prokuratoryi znajduje tu równowagę w barwnej dekoracyjnej budowie kościoła, a oko, zmęczone prostemi liniami, chętnie spoczywa na powyginanych łukach, złożonych zagłębieniach i wypukłych wieżach świątyni, której bogactwo, w inném otoczeniu, zbytby może było rażące. Równie odrębnym i szczególnym jest charakter placu. Niéma tu

kurzu miejskiego, pojazdów, dorożek, koni, turkotu, a znaczna część przestrzeni, przytykającej do arkad, zastawiona jest stolikami, przy których siedzi się zupełnie, jak w salonie. Wieczorem plac jest miejscem rendez-vous dla całego pięknego świata weneckiego. Kto nie chce siedzieć w domu, ten stanowczo nie może być gdzie indziej. Tu słucha się muzyki, tu pije się ochładzające napoje, tu się przechadza, przypatruje publiczności, towarzyszy kobietom, spotyka, kogo się chce spotkać, robi znajomość, słowem: jest się jak na balu publicznym. Dźwięki muzyki, szelest wachlarzy, ogniste spojrzenia oczu włoskich, mnóstwo światła, wyfrakowana służba, roznosząca napitki, strojne kobiety, które zamiast kapeluszy przypinają koronki do włosów, potęgują jeszcze wrażenie balu; tylko, gdy wzrok podniesie się do góry i na czarném tle nieba ujrzy tysiące migocących gwiazd, wówczas przypomina sobie człowiek, że nie jest w jakiejś olbrzymiej sali, ale na ulicy.

Podczas dnia mniej tu ruchu. Widać tylko stada gołębi, tak oswojonych, że bez najmniejszej obawy siadają na ramionach i rękach karmiącym je osobom, i cudzoziemców z książkami w ręku, zwiedzających kościół lub pałac Dożów. Ostatnia ta budowla w stylu maurytańskim, to kamienna kronika Wenecyi. Cicerone wprowadza podróżnika we wspaniałe podwórze, ukazuje miejsce, gdzie dawniej była lwia paszcza do wrzucania denuncyacji, wiedzie przez schody olbrzymów w krużganki, nakoniec okazuje cały szereg olbrzymich sal, zdobnych portretami i obrazami mistrzów weneckich: przeważnie Weronęza i Tintoreta. Każda z tych sal, to arcydzieło i pa-

miątka zarazem. Tu zasiadał senat patrycyuszów, tam przyjmowano ambasadorów, tu zbierała się straszna rada dziesięciu, tam, straszniejsza jeszcze: trzech. Z sali ob-
rad trzech, przez tajne drzwiczki, korytarze, przez zło-
wrogi Ponte dei Sospiri schodzi się do więzień.

Przewodnik zapala pochodnię i po wązkich schod-
kach spuszcza się ku czarnym, jak noc, sklepieniom, od
których wieje wilgocią i stęchlizną. Jakiś ciężar ugniata
piersi, gdy się widzi te kamienne nory o niskich wchodo-
wych otworach, bez okien, bez światła i powietrza. Czas
i postęp opróżnił je z ofiar, ale nie starł z nich piętna
okropności i zgrozy. Blaski pochodni zdają się rozświe-
cać na czarnych ścianach plamy krwi, a przytłumiony
głos przewodnika, budzi posępne echa historyczne. Tu
siedział Foscari, tu Marino Falieri, tu go ścięto, tam
spowiadano ofiary, tamtym otworom, umyślnie wyżłobio-
nym w kamieniu, spływała krew w wodę kanału. Po-
dróżnikowi zdaje się, że to sen lub jakaś sensacyjna de-
koracya z dramatu Wiktora Hugo, a jednak to rzeczywi-
stość, do której przechodzi się wprost ze złoconych ko-
mnat pałacu. Czujesz wówczas, że dosyć masz wszyst-
kiego: i sal, i więzień, i całego gmachu, a w duszy mówisz
sobie: błogosławiony niech będzie postęp, który raz na
zawsze zamknął tę krwawą księgę toporów, katów, krwi
i panowania oligarchii kupieckiej. Historya nie zna stra-
szniejszych władców od kupców-oligarchów. Okrucień-
stwa pojedynczych tyranów greckich lub średniowiecznych
książąt były nadużyciem, okrucieństwa kupieckich ar-
chontów: systemem. Dzieje wewnętrzne Kartaginy i młod-

szęj jęj siostry, Wenecyi, są jednakie. Na myśl, mimowoli, nasuwa się porównanie i podobieństwo między temi dwiema rzeczpospolitemi, które w chwilach rozkwitu doszły do takiej potęgi, a które nie zostawiły po sobie żadnej idei błogosławionej.

Patrząc na salę pałacu Dożów, na szeregi kolumn, na złocenia, mozaiki i marmury, na arcydzieła Weronhezów i Tintoretów, na portrety Dożów, poubierane w aksamit i strusie pióra, napróżno pytasz się siebie: do czego to służyło? czém było dla ludzkości? jaka wyższa ogólnoludzka idea wiodła tych kupców?... i nie znajdujesz odpowiedzi. Ze zmroku dziejów wychyla się twarz téj rzeczypopolitéj marmurowa, dumna, potężna, ze lwie-
mi zmarszczkami na czole, ale jakby gniewna, zła, okrwawiona, bezduszna i bez gwiazdy-idei nad głową. Z jakąż otuchą myśl wówczas leci daleko, nad ciemne bory sosnowe i szare pola; z jakąż ulgą rozpatruje się w tych dziejach tak innych, nierządnych wprawdzie i gwarnych, ale tak prawdziwie ludzkich. Spytajcie kogokolwiek, gdzieby chciał żyć, gdyby się urodził w wiekach średnich? Tam, gdzie nie było lwich paszcz do wrzucania denuncyacyi, ani rady dziesięciu, ani rady trzech, ani mostów westchnień, ani czarnych nor nad kanałami! Było wprawdzie mniej kolumn, mozaik i strusich piór, ale była idea, która nosła, jak archanioł, skrzydlate zastępy na Niemców w obronie Słowian, na Turków w obronie Niemców....

Dziś wprawdzie moda inaczej patrzeć na te dzieje. Dziś marmurowym postaciom, śpiącym od wieków w sło-

dkim majestacie, zarzucają i z katedry, że nie umiały być Ludwikami XI; ale ja, wędrowiec, gdym w pysznym pałacu Dożów myślał i porównywał, mimowoli podnosiłem z dumą głowę do góry, a na pamięć nasuwał mi się wpół zapomniany wiersz Klemensa Janickiego:

„Jać nie boleję, zem sarmackie dziecię...”



Z P A R Y Ż A.

Obok tego Paryża, który się bawi, świeci jak wąż stubarwny, szumi, hałasuje i łaknie rozkoszy, jest drugi, który się uczy i myśli. Zamierający w czasie upałów letnich ruch umysłowy ożywia się za nadejściem chłodów i jesiennęj niepogody. Akademie rozpoczynają swoje posiedzenia i prace, wystawy księgarskie zdobią się coraz nowemi książkami, kolegia ściągają rozproszonych słuchaczy. Pracowite mrówki naukowe znoszą ze wszystkich stron żdźbła wiedzy i składają je do wspólnego mrowiska; zawiązują się naukowe spory i rozprawy, i w ten sposób, życiem wewnętrzném, życiem ducha i idei, dopełnia się zewnętrzne goniące tylko za użyciem, za bogactwem, za zabawą i zbytkiem, słowem, wyłącznie za chlebem i igrzyskiem.

W owymto zimowym okresie panowania muz, uważa publiczna nastraja się także poważniej i zajmuje się, nietylko dniową polityką, nietylko hossą i bessą giełdową albo anegdotami o publicznych ludziach, ale interesuje

się również żywo tém, co się dzieje w łonie towarzystw naukowych, co nowego odkryto, powiedziano, gdzie jaki professor wykłada i jak swój przedmiot traktuje. Jest to może charakterystyczną cechą Francyi i Paryża, że tu uczeni nie stanowili nigdy, nakształt średniowiecznych Różokrzyżowców, bractw zamkniętych. Mszę przy ołtarzu nauki odprawiają wprawdzie tylko kapłani, ale słucha owęj mszy cała publiczność. Z ostatecznych przyczyn i zasad, ogół nie umie sobie zapewne zdać sprawy, tak jak większość ludzi, chodzących po Avenue de l'Opéra, nie rozumie dlaczego lampy elektryczne palą się i rzucają blask tak jasny. Nie przeszkadza to jednak, że wszyscy korzystają z ich światła. Takie popularyzowane nauki, takie dopuszczanie, z pomocą Sorbony, Collège de France i innych zakładów, szerszej publiczności do udziału w ruchu naukowym, a nawet i sądu o nim, sprawia, że nauka i płynące z niej nowe idee nie są tu niczem pargaminowém, zżółkłém, zwiędłém, jakąś wyłączną areną uczonych professorów, ale czemś żywém, wchodzącém natychmiast w krew i cały organizm ogółu.

Temuto może przypisać należy, że lud ten, nieskładający się przecież z jednostek bezwarunkowo najbystrzejszych i najwięcej umysłowo uzdolnionych, wie dzie jednak poniekąd rej cywilizacyjny i daje początkowanie wszelkim nowym ideom. Nie twierdzę, że powód to wyłączny, ale zapewne jeden z wielu. Nowe idee wytwarzane bywają przez uczonych lub przez społeczne warunki, ale odczuwa je i daje im popęd lud; lud zaś może je tém łatwiej i potężniej odczuwać, im szerszą drogą go dochodzą.

Obecnie, jednym z faktów, najwięcej zwracających na siebie uwagę myślącego ogółu, jest otwarcie w Collège de France wykładów literatury francuskiej nowożytniej. Rozpoczął je professor Paweł Albert, wobec ogromnego natłoku rozciekawionej do wysokiego stopnia publiczności. Z biegiem wykładów professorowi przyjdzie zapewne mówić i o czasach najnowszych i o ludziach żyjących jeszcze, o dzisiejszych kierunkach, dzisiejszych walkach i drogach, po których kroczy obecnie twórczość francuska. Ztąd ten żywy interes i gorączkowa ciekawość publiczności, która przychodzi tam po sprawdzenie własnych przekonań, po utwierdzenie się w sądach i estetycznych instynktach. Czy istnieje, a jeśli istnieje, to zdrowy-li kierunek obecny? dokąd idziemy? gdzie i jaka jest synteza dzisiejszych objawów twórczości, tak rozmaitych i rozstrzelonych, że zwykle oko widzi w nich chaos i rozprężenie? Co usłyszymy, i co nam powiedzą? czy pozwolą czcić dotychczasowe bóstwa, czy może zapadnie wyrok, jaki kiedyś Klodwig usłyszał: „Sigambrze, pał, coś czcił, a czcij, coś palił?” Oto pytania, które sobie każdy zadaje, a na które czeka odpowiedzi od nowopowołanego profesora.

Katedra literatury w Collège de France była po wszystkie czasy bardzo ważną, była bowiem niejako pośrednikiem między obozem ściśle literackim z jednej, publicznością z drugiej strony, a więc rodzajem sternika sądu ogółu. Rolę tę wypadało jęj szczególnie grać koło roku 1820, w czasie walki klasyków z romantykami, podczas której cały Paryż rozdzielił się na dwa obozy.

Nigdzie może nieprowadzono walki tak zaciętój i na tak szeroką skalę, o sprawę, nikogo bezpośrednio nietyczącą. Koleje walki i stanowisko względem niej katedry kreśli P. Albert w pierwszym swoim wykładzie. Między dwoma temi wojującemi kościołami wahała się massa, raz chętna nowościom, to znów przerażona zuchwalstwem apostołów, a mająca jednak przechyleniem się swoim zapewnić zwycięstwo. Oczy tysięcy zwracały się wówczas na katedrę, i tysięczne głosy zdawały się pytać: „gdzie iść, mistrzu?” Ówczesny mistrz Andrieux nie dawał wprost odpowiedzi, pomimo iż w gruncie rzeczy duszą i ciałem należał do „peruk.” Sam poeta, w walce zatém interesowany, z natury słodki, łagodny, ceniący formę spokojną i w karby ujętą, bał się téj nowój romantycznój burzy, więc romantykiem być nie chciał i nie mógł. Też same jednak przymioty nie usposabiały go i do walki. Prowadził wprawdzie wojnę z nową szkołą, ale sobie taką małą wojenkę aluzyi, ostrożnych epigramatów, które zachwycały niektórych, klassycznie wykwintych słuchaczy, ale nie zaspakajały ogółu. Publiczność spodziewała się czegoś innego. Wołano wówczas o sąd, o wyrok potężny jak grom, stanowczy, jak papieska encyklika.

W takich czasach przewrotu, gdy idzie o przeciągnięcie mass, o śmierć lub życie; gdy każdy, kto się do solidarności poczuwa, macha piórem, jak cepem: takie stanowisko ostrożne, takie wojowanie ołowianą szabelką docinków, nie wystarcza. Trzeba wówczas przycisnąć przeciwnika do muru i wsadzić mu kulę w ucho, inaczej on to robi. Andrieux nie był do tego stworzony, skończyło się więc, że publiczność czuła tylko zawód, a prze-

ciwnik, biorąc szturmem pozycyą po pozycyi, odpowiadał uczonemu i jego obozowi krwawemi słowy:

„Vieillard va-t'en donner mesure au fossoyeur...
Vieillard stupide!”...

(*Hernani*).

Wreszcie przeciwnik zdobył i katedrę, w osobie M. Ampère, który był już zdecydowanym romantykiem. Przypadło to na najgorętsze czasy walki, zawiści i nietolerancji, posuniętej do najwyższego stopnia! W Niemczech, Anglii, we Włoszech i w Polsce mury były już rozbite, przeszkody zdruzgotane; nowe arcydzieła, jakby nowe słońca okazywały się co dzień; nowy świat jakiś przewiewał umysły z jednego końca Europy na drugi, Francya jedna tylko nie chciała jeszcze wiedzieć nic o sąsiadach, nie знаła ich prac, wygwizdywała Szekspira; ciągnięta za uszy i włosy, nie chciała jednak wyjść ze swego XVII wieku, wypierając się własnych dawniejszych tradycji i otaczając, jakby murem chińskim odosobnienia. Ampère uderzył w ten mur. Tradycye średniowieczne, z których rodził się romantyzm, wiązały Francją z Niemcami, Włochami i Hiszpanią; Ampère jest więc tam wszędzie, bada nowy kierunek na wszystkich zapoznawanych dotąd polach, szuka słowa zagadki wszędzie, choćby mu w Skandynawii i Meksyku szukać przyszło, i wreszcie pierwszy kładzie naukową pieczęć pod nowém wyznaniem poetycznej wiary, pierwszy mówi z katedry tym wszystkim, którzy aż dotąd nieśmiało tylko wierzyli: możecie wierzyć otwarcie, albowiem rozum i nauka są po waszój stronie.

Po Léoimone, znakomitym krytyku, i po krótkotrwałych wykładach p. Feugère, wyjątkowo poświęconych wie-

kowi XVII, Paul Albert jest czwartym z kolei profesorem, który o romantyzmie mówić będzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakkolwiek walka z klasykami, jak wszędzie tak i we Francyi, została raz na zawsze ukończoną i o zawrocie do czasów pseudoklassycznych mowy nawet być nie może, przecie sprawa racji samego romantyzmu mniej została rozstrzygniętą, zatem więcj do dziś interesującą.

U nas romantyzm, oprócz średniowiecznych tradycji, wchłonawszy w siebie utwory wyobraźni ludowej, wsparł się na bardzo szerokiej podstawie, a przytém, przez swój zwrot potężny ku całemu ogółowi, zmienił do wysokiego stopnia swój charakter, uprawnił się niejako, związał z życiem, stał się istotną i prawdziwą począ ogółu. Niéma wątpliwości, że miał i u nas wiele złych stron. Bezwątpienia, rozluźnił do wysokiego stopnia formę artystyczną i wprowadził pewną swawolę językową, zadawałając się przewagą mnóstwa słów nad treścią. Również kazał się często zapalać na zimno do rozmaitych gminnych, do niebywałych istot i bohaterów, do bogów, dawnych bożków litewskich lub pomorskich, w czém nie było żadnej szczerości, bo inna sprawa, jeśli poeta takie rzeczy od ludu i w imię ludu maluje, a inna gdy udaje, że sam w nie wierzy, i czytelnikom każe wierzyć. Wprowadzało to pewną modę, pozbawioną wszelkiego rozsądku i prawdy. Z drugiej strony w najwspanialszym nawet swym zwrocie, w tym właśnie, który go związał z życiem i prawdą uczuć całego ogółu, nowy kierunek gdy jako *Gustavus obiit*, a, jako *Conradus natus est*, popadł w mistycyzm, nastroił chorobliwie uczucia

i wyobraźnie, uchrystusował i ubóstwił wszystko; zdjął z ogółu wszelką odpowiedzialność, zatem zamknął oczy na potrzebę rachowania się i odradzania z win. To wszystko było także winą ale ze stanowiska społecznego, na którem zatrzymywać się dłużej nie chcę. Swoją drogą zwrot był dokonany: z Gustawa zrodził się Konrad, a przezeń jedna więcej, zdrowa życiowa i prawdziwa zasada została zapewniona.

Nic podobnego w znaczeniu ogólném nie stało się we Francji. Warunki tu były inne. Romantyzm francuzki nie mógł być i nie był czémś tak z wnętrzości narodu francuzkiego płynącym i nigdy nie stał się bezpośrednio patriotycznym. Z drugiej strony nie oparł się także na podstawie ludowej, z téj prostej przyczyny, że podstawy téj brakło w samym ludzie. Fantazyja ludów słowiańskich, to prawdziwie przezroczysta powierzchnia jeziora, w której odbija się wszystko: ziemia, pola, lasy, stepy, słońce i gwiazdy. Co więcej, odbicie to nie jest tylko bierném. Z połączeń owych różnych pierwiastków przyrody, z owego popędu dopatrywania w nich żyjącej duszy, z pewnej wrodzonej tym ludom skłonności do mistycyzmu, powstają tysiące nowych postaci: wil, dziwożon, rusałek i świtezianek, upiorów! W obec nich porównanie fantazyi do toni jeziora już nie wystarcza. Jest ona raczej zwierciadłem czarnoksiężkiem, w którym odbija się nie tylko krajobraz, ale jego dusza odgadnięta i w tysiącu kształtów upostaciowana, w którym zmarłych wstaje przeszłość, a nawet przyszłość zarysowuje się w mglistych obrazach.

Weźmy klechdy i bajki polskie, dumy ruskie, epiczne pieśni serbskie lub niedawno wynalezione bułgarskie!

Czyż nie przesuną one przed naszemi oczyma kraju, history, hufców, zbrojnych rycerzy ze skrzydłami, kozaków, pławiących się w trawach po pachy, junaków serbskich, turków, tatarów, jakichś postaci królewskich, nawpół w przeszłości i bajce rozplyniętych, a przez wyższe siły wspomaganych? Są to poprostu całe światy wskrzeszone, odgadnięte lub wysnione. A kto i kiedy te pieśni tworzył? Gdzie są ich autorowie? Doprawdy, mimowoli nasuwa się porównanie, że, jako na piaskach drogowych w czasie ciszy i letniego upału zaczyna się czasem ni ztąd ni zowąd kręcić i powstawać ku górze zwichrzony słup pyłu, tak i nad równiną głów ludzkich na Słowiańszczyźnie zrywa się czasem nagle i wystrzela ku niebu pieśń gminna, ta „arka przymierza między dawnymi i nowymi laty.”

Bez wszelkiej z góry powziętej chępliwości powiedzieć można, że mało szczepów odznacza się taką szczególną i twórczą zdolnością poetyczną a przedewszystkiém nie odznacza się nią lud francuzki. Jedni tylko bretonowie coś tworzą, ale to i język, i tradycja, i nastrój duchowy, bardzo odrębny. Prowancya, owa „Ruś francuzka” jak ją niektórzy nazywają, ma swoją wspaniałą pierwotną literaturę, któraby mogła posłużyć, jako dowód przeciwny, gdyby nie to, że po uważniejszym rzucie oka, łatwo przekonać się można, że literatura ta nigdy nie była gminną. Wszystkie jęj utwory są dziełami literackimi, czego sama ich forma i sztuczne układanie rymów w assonancje dowodzi. Śpiewali pieśni te trubadurowie, chodząc od zamku do zamku, za przedmiot uczuć biorąc piękne kasztelanowe, za przedmiot pieśni, uczucia. Ży-

cia gminnego, jego doli, jego prostoty i wierzeń, niéma w nich zupełnie. Pytałem o charakter téj literatury, ludzi wyłącznie się jéj poświęcających, i przekonałem się, że żaden z nich nie przyznawał jéj charakteru ludowego. O reszcie Francyi mniej jeszcze można powiedzieć. U nas, fantazyja i poezyja ludowa zasila książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową. Na dowód mógłbym przytoczyć pieśni, które sam słyszałem w Normandyi, a których znakomita większość literackiego jest pochodzenia. W święta i uroczystości, dziewczyny tworzące korowód, śpiewają tam utwory Ponsarda, nierozumiejąc częstokroć ich znaczenia.

Romantyzmowi francuzkiemu brakło więc téj drugiej podstawy żywotnej, jaką zdobył sobie u nas. Pieśni obrzędowe, łączące bezpośrednio poezyją z życiem, wyobrażenia poetyczne gminne: nie podsyciły go tu pierwiastkami prawdy realnej. U nas nadużywano niewątpliwie całego tego aparatu gminnego, mimo tego jednak nie przestał on być ogniwem, wiążącym lud z poezyją, z tém życiową cechą téj ostatniej. We Francyi nowy kierunek nie zwrócił się wcale do ludu. Cóż mu więc pozostało? Oto średniowieczna tradycya, jéj zamki, klasztory, rycerze jéj, wybujały indywidualizm, uosobiony w postaciach istotnie romantycznych aż do zdziczenia, a następnie tworzenie wedle tych wzorów nowszych już postaci, równie zdziczałych, równie wyjątkowo przeciwstawiających się społeczeństwu, niby dla niego zawielkich, a w gruncie rzeczy chorych na potworny rozrost własnego ja, wspaniałych, gdy się je bierze z dobrą wiarą, śmiesznych, gdy wionie na nie wiatr sceptycyzmu.

Jeśli teraz zgodzimy się, że poezya szczerza i prawdziwa ma przyłożyć ucho do piersi narodowej, podłuchać bicia serca ludu, pochwycić jego uczucia, porywy i tęsknotę ku temu, co na tym świecie lichym, płaskim, powszednim jest lepszym; jeśli zadaniem jej jest osiągnąć to, co nie jest dośpiewane i z rozproszonych w całym narodzie pajęczych nici marzeń i myśli utkać wielką a śliczną tkaninę poezyi; to trudno zaprzeczyć, że romantyzm francuzki nie spełnił tego zadania. Był on niewątpliwie postępem, bo wywalczył swobodę dla ducha, rozkuł poezyą z kajdan przepisów, i wreszcie wprowadził do niej treść nową, o tyle wyższą od dawniej, że ta średniowieczna tradycja była, bądźcobądź francuzką, nie zaś grecką albo rzymską. Ale, z drugiej strony, rewolucya wykopła przepaść między temi czasami a dzisiejszym wiekiem. Zmieniły się pojęcia, wyobrażenia, zmienił się duch narodu do tego stopnia, że te postacie mnichów i rycerzy, pobudki ich uczuć, powody postępów stały się poprostu niezrozumiałemi. Rycerz średniowieczny ze swoją naiwną wiarą w świętych i czarowników, ze swoim ślepym zapalem do życia, ze swemi pojęciami o honorze, zemście, miłości i nienawiści i t. p., jest dziś postacią równie obcą jak każdy klassyczny bohater.

Hernani jest anachronizmem. Dziś trzeba się do takich istot sztucznie nastrajać. Próba zatem tłumaczenia dzisiejszych uczuć i popędów poetycznych, za pomocą tradycyi średniowiecznej, nie udała się zupełnie. Jednocześnie, wybujały egotyzm tak zwanych dusz dzikich, jak również zapoznanych i zbolących bohaterów, których romantyzm tysiącami na tle nowszego już życia napłodził,

nie mógł ostać się w obec ogólnego sceptycyzmu. Wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że romantyzm francuzki nie uczynił zadosyć poetycznym potrzebom wieku i narodu. Był i pozostał tylko kierunkiem, i dalej nie jakąś pieśnią z dwóch niewyczerpanych źródeł: serca i prawdy płynącą, ale przedmiotową sztuką, mającą swe przepisy i ograniczenia. Za wskazówkę, że tak jest, może posłużyć i to, że gdy nasz romantyzm, na szerszych, jak wspomniałem, podstawach oparty i bardziej przenarodowiony chwycił przeważnie za formę liryczną, jako najbardziej popularną, francuzki brał szturmem głównie teatr. Po zaciętej walce zwyciężył, ale nie zapanował i obecnie coraz silniejszą budzi reakcją.

Jest nią naturalizm czyli zwrot do zwyczajnego codziennego życia, do realnych charakterów i do rzeczywistych stosunków. Zauważono, że życie, takie jak jest, podpatrzone tylko nieco głębiej, dość ma w sobie zagadnień i swoich: „być albo nie być!” aby nad nimi było warto się zastanawiać. Sądzono, że sztuka jeśli zwróci się w tę stronę, nie utraci ani jednego ze swoich efektywnych środków działania, a uzyska nowy, nieodparty prawdę. Powstała więc nowa szkoła, która w literaturze jest poniekąd tém, czém była flamandzka w malarstwie. Fantazyja poszła w nią, już nietylko pod straż prawdopodobieństwa i prawdy, ale poprostu rzeczywistości. Autorem chodziło i chodzi o to, aby przedewszystkiém malować wiernie, by łapać życie na gorącym niejako uczynku, a zadanie to wydało się tak pierwszorzędném, że w obec niego pomysł, to jest zestawienie faktów i osób, czyli tak zwana bajka wraz ze swoim sensem moralnym, musiała

ustąpić pierwszego pola wykonaniu. Nie stawiano wprawdzie tego, jako warunku, ale w rzeczywistości w rozwoju dalszym tak wypadło. Zwrot ten uwydatnił się szczególnie w powieściopisarstwie, w którym téż, począwszy od Balzaka i Stendala, a skończywszy na Zoli i Dodecie, potężnych liczy przedstawicieli. Czy jednak klucz do Sezamu został przez to wynaleziony, a nowy wspaniały widnokrąg dla literatury odkryty? Trudno powiedzieć: tak! również jak trudno byłoby twierdzić, że po za powszedniem życiem niema już prawdy.

Dla powieści naturalizm był w zasadzie znakomitym, niezbędnym i może jedynym krokiem naprzód. Ale sama treść nadająca się do jednej formy, nie nadaje się do drugiej. Co jest odpowiedniem dla powieści, może nie być odpowiedniem dla poezyi. Jakoż niepodobna zaprzeczyć, że istnieje pewien rozbrat między treścią realnego życia, a formą poezyi, pewien dyssonans, dający się objaśnić tém, że sama forma poezyi, wiersz, rytm, rym, jest już czémś wyżej nastrojoném, niezwykłym i w stosunku do codziennego życia egzaltowaném. Ludzie w zwykłych życiowych warunkach nie mówią rytmicznie, chcieć więc mieć ich rzeczywistymi, a zarazem mówiącymi wierszem, jest takąż samą sprzecznością formy z treścią, jaką widzimy w operze, gdy na przykład spiskowcy, zamiast szeptać, śpiewają. Dla poezyi więc nowy zwrot musiał być w najlepszym razie wskazówką, zasilkiem, nigdy odrodzeniem i wstąpieniem na nową drogę! „Ty, łabędzie, lataj pod niebem!” mówił kiedyś do Pindara i o Pindarze Horacy. Jest przytém w massach ludzkich pewna sum-

ma dążeń i pragnień oderwania się od rzeczywistego życia, zapomnienia o niém. Doprawdy, pesymiści bardzo zbrzydili ten świat, a rzeczywistość dopomaga codzien ich filozofii. Ta straszna rozterka między pragnieniem niepohamowaném szczęścia a konieczną niedolą, między wysileniami życia a nieuchronną śmiercią, rodzi ogólny nastrój, w którym człowiek, zmęczony aż nadto życiem, radby, niech na chwilę, o niém zapomnieć i choć w poezyi znaleźć jakieś pierwiastki wieczne, a błogie i kojące. Tymto wołaniom dusz umęczonych, tym dążeniom i potrzebom, bardzo przecie naturalnym, bo wrodzonym, naturalizm literacki nie czyni zadość.

Co więc, nie wiem, dlaczego tak jest; ale tak jest: raz stanąwszy na gruncie rzeczywistości, stacza się łatwo, jakby po równi pochyłej, aż tam, gdzie rzeczywistość staje się płaskością, zaczyna wstydzić się każdego uniesienia i każdego porywu. Młodość, jój egzaltowane słowo, jój rumieniec zapału, bijący na twarz, jój skry w oku wydają mu się przesadą. Doprowadzony do krańców, a doprowadzony bywa wszędzie przez jakąś fatalną konieczność, staje się bardziej powszednim, i sromotniejszym niż życie samo. Zatraca się wówczas stopniowo trafny rzut oka na to, co jest prawdą piękną, a co obrzydliwą i ogólny poziom literatury spada coraz niżej.

Tak stało się we Francyi. Romantyzm jój był zbyt jednostronnym, a naturalizm, o który dziś „*Figaro*” wydrapuje oczy panu Zoli, przebrał miarę estetyczną, zacieśnił dobrowolnie swoje granice i obniżył własne znaczenie. Weźmy powieść dzisiejszą francuzką! Co za brak w niej rzeczywiście wszelkich wyższych idei, podnio-

ślejszych myśli, szerszych pragnień: słowem wszystkiego z czego się składa poważne i rozwinięte życie. Wojna, miecz, ogień sroży się nad krajem, a w powieści przyjaciel żonę mężowi bałamuci; cesarstwo rozpada się w gruzy, a przyjaciel żonę bałamuci; nastaje rzeczpospolita, walka partyi, korab' narodowy, bity wichrami, chwieje się, przechyla, skrzypi, a przyjaciel żonę bałamuci. Wieczny temat! wiecznie toż samo nędzne tuzinkowe życie! wiecznie ciż sami bohaterowie, z których każdy taki sobie pierwszy lepszy frant, dziesięć razy mniej wart nawet od swego autora, i wiarołomna dama i rogaty mąż. O ile wyborna i pewna siebie faktura, o tyle uderzające ubóstwo myśli. Miłość, to odwieczne prawo, to siła życiowa, to dobroczynny gieniusz naszego globu: zgoda! Przez nią chaos stał się porządkiem, przez nią kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, utrzymują gatunki, rozwija ludzkość, promienieją sztuki piękne, rozegrywa się życie: ani słowa. To najsilniejsze i najstarsze z praw natury, może złamać wszystkie inne, wszystkie sztuczne więzy i przeszkody. Można przeciw téj sile mówić, ale oprzeć się jój niepodobna; ona usprawiedliwia i okupuje wszystko, ale to tylko wielka i dogrobowa i niezłamana miłość. Tak ją uważać i uświęcać sztuka i literatura ma prawo. Ale w literaturze francuzkiej jój niéma. Istnieje tylko romans. Bohaterowi powieściowemu do głowy nawet nie przychodzi powiedzieć uwiedzionej kobiecie: jeśli mnie kochasz, to bądź moją na zawsze, zerwij z mężem, ze światem, ze wszystkim i pójdź za mną! Jeśli się komu zdarzy szczęście rozkochać kobietę, a nieszczęście, że ta kobieta jest cudzą żoną, taki człowiek uczciwiej zapewne ro-

bi i prawdziwiej kocha, gdy zajrząwszy mężowi w białka oczu, powiada mu: kocham pańską żonę, zatem nie mogę być pańskim przyjacielem! Miłość idzie wtedy na cenę życia, zatem jest uczuciem prawdziwie drogiem, silnem jak burza, zatem usprawiedliwiającem. Mniejsza jak się dramat skończy, ale dramat dramatem. Że jednak w życiu tak się nie dzieje, że wygodniej jest kochać się w sekrecie, potem się sobie sprzykrzyć i pójść „każde w swoją drogę” bez hałaśliwych zająć z mężem, że to się częściej zdarza, a przeciwne postępowanie byłoby egzaltacją; więc powieść francuzka realna przyjmuje tylko romans, pisuje i wysławia tylko romans.

Jakże niesłuchanie mało jest wyjątków od tego ogólnego prawidła, jakże mało kto wychodzi z tego lichego i płaskiego kółka stosunków towarzyskich i konwencyonalnych, w których rozegrywa się głównie wiarołomstwo! Do nikogo z równą słusnością, jak do większości autorów francuzkich, nie możnaby przystosować słów:

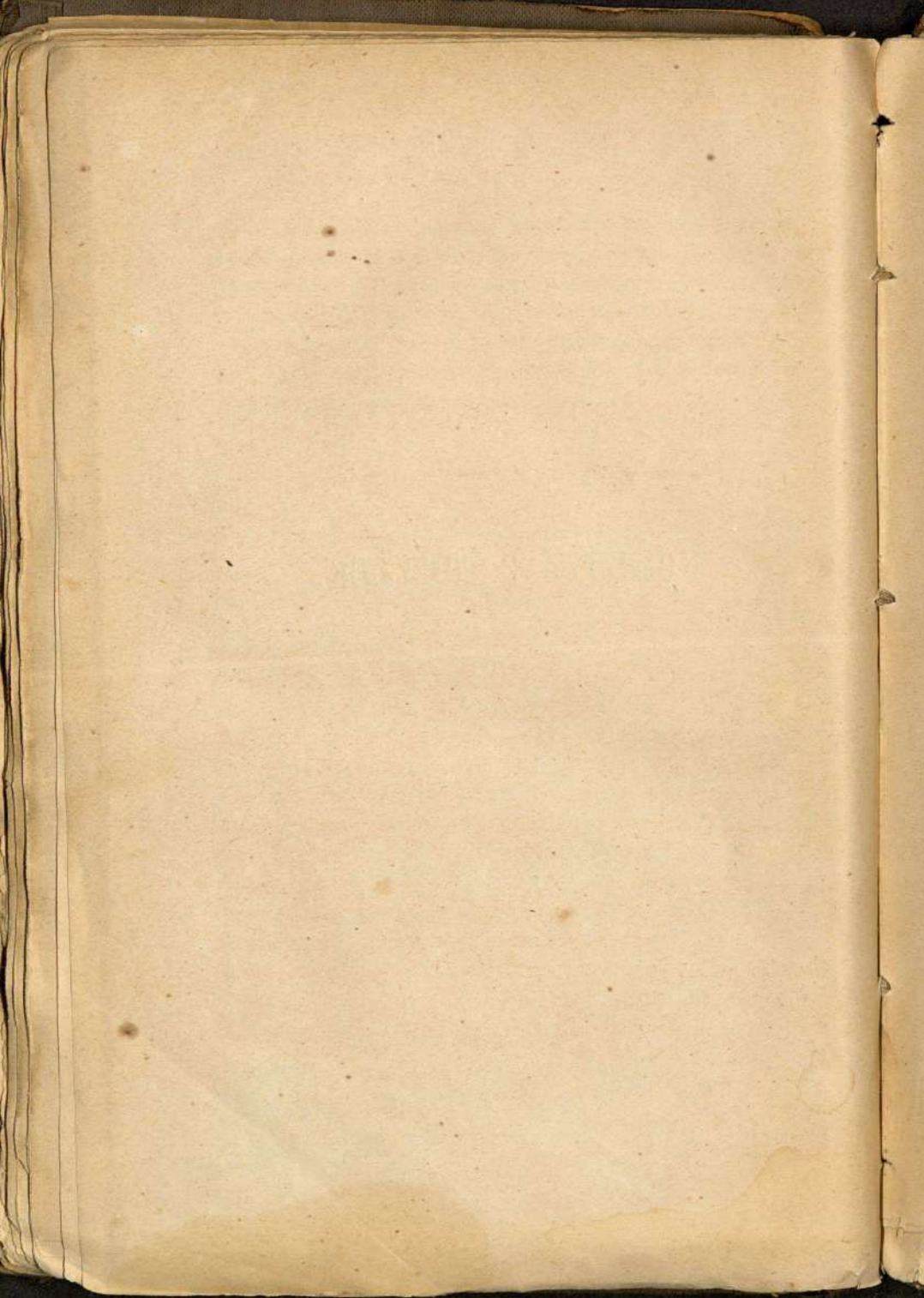
„Jego myślą, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka;
Nie pomyśli jego głowa:
Skier nie weźmie z jego oka.

Mówią o owém wiarołomstwie i jego marném tle, że jest to umyślne kładzenie palca na ranę społeczną. Nieprawda! Jest to lubowanie się w kwestyi. Cóż u licha! czy niema już o czém lepszym do mówienia? W społeczeństwie więcej jest ran ważniejszych, o których się nie wspomina, a o téj mówi każda powieść, bo ten jałowy grunt dostarcza pola do opisów, do uderzających realie-

mem opowiadań, do łapania trafnego charakterów i temperamentów. Odrodzone dziś do pewnego stopnia stronnictwo republikańskie, lepsze jest pod tym względem od swój literatury, bo w niém są przecież, prócz uwiedzionych lub uwieść się mających mężatek, jeszcze i inne kobiety, a przedewszystkiém jeszcze i inne idee. Jest oto zaraz głuche jakieś przekonanie, że poezya i powieść muszą się zmienić: pierwsza stać się pieśnią narodu, druga wyłéż raz przecie z pod małżeńського łóżka; jest jakieś instynktowe poczucie potrzeby, aby cała literatura piękna, zatém cała literatura twórcza weszła na inne drogi, wzięła rozbrat ze zdziczałym egotyzmem, z romansem, a wsiąknęła w siebie nowe myśli i nowe idee, wielkie a godne odradzającego się narodu. Tyle przecie nowych pojęć politycznych, społecznych i filozoficznych krąży w powietrzu. Pojmuje je rozum i ztąd rodzi się nauka, ale odczuwa serce, i z tych uczuć może wykwitnąć odrodzona literatura. Jak się to stanie i kiedy? trudno powiedzieć. Czują jednak, ludzie, że to, co jest, nie wystarcza. Jedni sądzą, że tę reformę zbawienną przeprowadzi właśnie powrócony na szlachetne drogi naturalizm, i w Zoli, który więcéj od innych zwrócił się do społecznych zagadnień, widzą, jeśli nie odkupiciela, to przynajmniej poprzednika prostującego drogi Pańskie. Inni nie wiedzą; wszyscy czekają czegoś, a tymczasem biegną, gdzie można słowo nowe usłyszeć, oblegają katedrę filozoficzną pana Caro i literacką Alberta; zajmują się sprawami literackimi, spierają się sami, wołają o światło.

Wśród tego zamętu nieskrystalizowanych pojęć, wśród tych zapytań: gdzie iść? i tego gwaru gonitwy za nieoznaczonym jeszcze ideałem, białowłose ojciec romantyzmu, osiwały bard z Guernesey kładzie od czasu do czasu krzepnące palce na harfę. Słuchają go! Palce stare, i harfa może zastara, ale on jeden przynajmniej nie bał się nigdy wielkich idei.

KOMEDYA Z POMYŁEK.



KOMEDYA Z POMYŁEK.

Szkic z życia amerykańskiego.

WSTĘP.

Wypadek, który posłużył mi za przedmiot do niniejszego szkicu, miał podobno istotnie miejsce w jedném z amerykańskich miasteczek. Czy zdarzył się on na wschodzie, czy na zachodzie, nie mogłem się dopytać, i naprawdę, nic nikomu na tém nie zależy. Być może także, że jaki nowellista amerykański lub niemiecki, skorzystał już z niego poprzednio, co, według mego zdania, powinno być równie obojętne dla czytelników, jak i kwestya miejscowości.

Korzystając ze swobody autorskiej, opowiadam rzecz jakoby się działa w Kalifornii; przytém będę się starał podać kilka charakterystycznych rysów z tutejszego ma-łomiejskiego życia.

Zdarzyło się przed pięciu lub sześciu laty, że w hrabstwie Marypoza odkryto w pewnej miejscowości źródła nafty. Ogromne zyski, jakie kopalnie podobne przynoszą w Newadzie i w innych Stanach, skłoniły zaraz kilku przedsiębiorców do zawiązania towarzystwa, z celem wyzyskiwania nowo-odkrytych źródeł. Sprowadzono rozmaite maszyny, pompy, dźwignie, drabiny, beczki i beczułki, świdry i kotły; pobudowano domy dla robotników, ochrzczono miejscowość *Struck Oil*, i, po niejakiem czasie, w okolicy pustej i bezludnej, którą przed rokiem zamieszkiwały tylko kujoty, stanęła osada złożona z kilkadziesięciu domów, i zamieszкана przez kilkuset robotników.

W dwa lata później, *Struck Oil* nazywało się już: *Struck Oil city*. Jakoż było to już: „city” w całym znaczeniu tego wyrazu. Proszę zauważyć, że mieszkał tu już szewc, krawiec, cieśla, kowal, rzeźnik i doktor francuz, który, w swoim czasie, we Francyi brody golił, ale zresztą człowiek „uczony” i nieszkodliwy, co już w amerykańskim doktorze znaczy bardzo wiele.

Doktor, jak się najczęściej zdarza po małych miasteczkach, trzymał zarazem aptekę i pocztę; miał więc potrójną praktykę. Aptekarzem był równie nieszkodliwym, jak doktorem, albowiem w aptecze jego można było dostać tylko dwóch lekarstw: syropu cukrowego i leroa. Cichy ten i łagodny staruszek mawiał zwykle swoim pacjentom:

— Nie obawiajcie się nigdy moich lekarstw. Mam zwyczaj, że gdy choremu daję lekarstwo, sam zawsze zażywam taką samą dozę, bo rozumiuję sobie, że je-

śli ono mnie zdrowemu nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi i choremu. Czy nieprawda?

— Prawda! — odpowiadali zaspokojeni obywatele, którym nie przychodziło jakoś na myśl, że obowiązkiem doktora jest, nie tylko nie zaszkodzić choremu, ale pomódz.

Pan Dasonville — tak się nazywał doktor — wierzył jednak szczególnie w cudowne skutki leroa. Nieraz, na mitingach, zdejmował kapelusz z głowy, i zwracając się do publiczności, mówił:

— Panowie i panie! przekonajcie się co to jest leroa! Mam lat siedemdziesiąt; czterdzieści lat, jak zażywam codziennie leroa, i patrzcie: nie mam ani jednego siwego włosa na głowie.

Panie i panowie mogliby znowu zauważyć, że doktor nie miał wprawdzie ani jednego włosa siwego, ale nie miał też żadnego, bo głowa jego była łysa, jak klosz lampy. Ale, że uwagi podobne w niczem nie przyczyniłyby się do wzrostu Struck Oil city, nie robiono więc ich wcale.

Tymczasem, Struck Oil city rosło i rosło. Po upływie dwóch lat, przeprowadzono do niego odnogę kolei żelaznej. Miasto już miało swoich urzędników wybieralnych. Doktor, którego lubiono powszechnie, został, jako przedstawiciel intelligencji, sędzią; szewc, żyd polski, *minister Davis* (Dawid) szeryfem, to jest naczelnikiem policy, która składała się z szeryfa i z nikogo więcej; pobudowano szkołę, której kierunek objęła umyślnie sprowadzona „School Ma'am” przedwieczna dziewica, mając wieczną fluksyą; na koniec stanął pierwszy hotel pod nazwą: United States Hotel.

„Business” ożywił się także niezmiernie. Wywóz



nafty przynosił piękne zyski. Zauważono, że mister Devis kazał pobudować przed swoim składem wystawkę szklanną, podobną do tych, jakie zdobią sklepy szewskie w San-Francisco. Na następnym mityngu, obywatele złożyli publiczne podziękowanie panu Devis za tę „nową ozdobę miasta,” na które mister Devis odpowiedział ze skromnością wielkiego obywatela: „*Thank you! thank you! Oj wej!*”

Gdzie jest sędzia i szeryf, tam bywają sprawy. Wymaga to pisaniny i papieru, zatém, na rogu Cojotes street i 1-szej, powstało „*stationery*,” to jest skład papieru, w którym sprzedawano także dzienniki polityczne i karykatury, przedstawiające Granta, w postaci chłopca dojącego krowę, która z kolei miała przedstawiać Stany Zjednoczone. Obowiązki szeryfa nie nakazywały mu wcale zabraniać sprzedaży podobnych rycin, bo to do policyi nie należy.

Ale nie koniec jeszcze na tém. Miasto amerykańskie nie może żyć bez dziennika; po upływie więc roku drugiego, powstało pismo, pod tytułem: „*Saturday Weekly Review*” (Przegląd Sobotni-Tygodniowy), liczące tylu prenumeratorów, ile było mieszkańców w Struck Oil city. Redaktor tego dziennika był zarazem jego wydawcą, drukarzem, administratorem i roznosicielem. Ten ostatni obowiązek przychodził mu tém łatwiej, że, prócz tego, trzymał krowy i każdego rana musiał roznosić mleko po domach. Nie przeszkadzało mu to zresztą wcale rozpoczynać wstępnych artykułów politycznych od słów: „Gdyby nasz podły prezydent Stanów Zjednoczonych poszedł za radą, której udzieliliśmy mu w zeszłym numerze i t. d.”

Nie brakło więc, jak widzimy, niczego w błogosławioném Struck Oil city. Prócz tego, ponieważ górnicy, trudniący się wydobywaniem nafty, nie odznaczają się ani gwałtownością, ani grubemi obyczajami, cechującemi poszukiwaczy złota, było więc w mieście spokojnie. Nikt z nikim się nie pobił, o „lynchu” ani było słyhać; życie płynęło spokojnie, jeden dzień był podobny do drugiego, jak dwie krople wody. Rankiem każdy zajmował się „*businessem*,” wieczorem obywatele palili śmiecie na ulicach, i, jeśli nie było mityngu, szli spać, wiedząc, że jutro także będą palić śmiecie wieczorem.

Jedynym kłopotem szeryfa było to, że nie mógł oduczyć obywateli od strzelania z karabinów do dzikich gęsi, przelatujących wieczorami nad miastem. Prawa miejskie zabraniają strzelać na ulicach: „Żeby to była jaka parszywa mieścina, mawiał szeryf, no! to nie mówię; ale w takiem wielkiem mieście: pif! paf! pif! paf! to jest bardzo nie pięknie.”

Obywatele słuchali, kiwali głowami, odpowiadali „*o yes!*” ale gdy wieczorem na zarumienioném niebie pojawiły się białe i szare sznury, ciągnące z gór nad Ocean, każdy zapominał o przyrzeczeniu, porywał karabin, i strzelanina rozpoczynała się na dobre.

Pan Devis mógł wprawdzie zaprowadzić każdego winnego do sędziego, a sędzia mógł go ukarać pieniężnie; ale nie trzeba zapominać, że winni byli zarazem w razie choroby pacjentami doktora, a w razie podarcia trzewików, gośćmi szeryfa; że zaś ręka rękę myje, więc ręka ręce nie robi krzywdy.

Było więc spokojnie w Struck Oil city, jak w niebie; nagle jednak skończyły się te piękne dni.

Groccernik zapłonął śmiertelną nienawiścią do groccerniczki, a groccerniczka do groccernika.

Tu potrzeba może objaśnić, co w Ameryce nazywa się: „*grocery*.” Grocery tedy, czyli groccernia, jest to sklep sprzedający wszystko. Można tam dostać mąki, kapeluszków, cygar, miotł, guzików, ryżu, sardynek, kosszul, słoniny, nasion, bluz, spodni, szkieł do lamp, siekier, sucharków, talerzy, papierowych kołnierzyków, suszonych ryb: słowem wszystkiego, czego człowiek może zapotrzebować. Z początku, była tylko jedna groccernia w Struck Oil city. Trzymał ją Niemiec, imieniem Hans Kasche. Był to sobie flegmatyczny Niemiec, rodem z Prus: miał lat trzydzieści pięć i wylupiałe oczy; nie był otyły, ale dość zażywny; chodził zawsze bez surduta, i fajki nigdy nie wypuszczał z zębów. Po angielsku umiał tyle, ile potrzeba było do „*businessu*.” zresztą ani w żąb. Handel jednak prowadził dobrze, tak że po roku mówiono już w Struck Oil city, że „był wart” kilka tysięcy dolarów.

Nagle jednak pojawiła się druga groccernia.

I, dziwna rzecz! Pierwszą trzymał Niemiec, drugą założyła Niemka. *Kunegunde und Eduard, Eduard und Kunegunde!* Zaraz tedy rozpoczęła się między obiema stronami wojna, rozpoczęła się od tego, że panna Neuman, czyli, jak się sama nazywała: „Niumen,” dała na powitalny „*lunch*” placki, pieczone z mąki pomieszaną z sodą i ałunem. Byłaby tém zaszkodziła najwięcej samej sobie w opinii obywateli, gdyby nie to, iż i sama utrzymywała i stawiała świadków, że ponieważ jej mąka

nie była jeszcze rozpakowana, więc tę kupiła od Hansa Kasche. Wyszło więc na to, że Hansy Kasche jest zazdrośnik i nikezemnik, który zaraz z początku chciał zgubić swoją rywalkę w opinii publicznej. Zresztą, było do przewidzenia, że dwie grocérnie będą rywalizować ze sobą, ale nikt nie przewidywał, że rywalizacya przejdzie w straszną nienawiść osobistą. Nienawiść ta posunęła się wkrótce do tego stopnia, że Hans palił śmiecie tylko wtedy, gdy wiatr wiewał dym do sklepu jego przeciwniczki; przeciwniczka zaś nie nazywała inaczej Hansa, jak „Doczmen” (Niemiec), co tenże poczytywał sobie za największą obelgę. Z początku mieszkańcy śmieli się z obojga, tém bardziej, że żadne nie umiało po angielsku; powoli jednak, skutkiem codziennych stosunków z grocérniami, wytworzyły się w mieście dwie partye: Hansistów i Neumanistów, które poczęły patrzeć na siebie krzywém okiem, co mogło zaszkodzić szczęściu i spokojności rzeczypospolitęj Struck Oil city i sprowadzić groźne na przyszłość zawikłania. Głęboki polityk, mr. Devis, pragnął leczyć zło u źródła, więc starał się pogodzić niemkę z niemcem. Bywało nieraz, stanie na środku ulicy, i mówi do nich ich rodowitym językiem:

— No! co się będziecie kłócić? Czyto nie u jednego szewca kupujecie trzewiki? Mam teraz takie, że w całym San-Francisco niema lepszych.

— Próżno chwalić trzewiki przed tym, który niedługo będzie bez butów chodził — przerywała kwaśno panna Neuman.

— Ja nie robię sobie kredytu nogami — odpowiadał flegmatycznie Hans.

A trzeba było wiedzieć, że panna Neuman, chociaż niemka, miała istotnie piękne nogi; więc takie przyczinki napełniały jęj serce śmiertelnym gniewem.

W mieście, dwie partye poczęły już i na mityngach poruszać sprawę Hansa i panny Neuman; ponieważ jednak w Ameryce nikt w sprawie z kobietą nie znajdzie sprawiedliwości, większość więc przechyliła się na stronę panny Neuman.

Wkrótce Hans obejrzał się, że jego grocernia zaledwie mu się oplaca.

Ale i panna Neuman nie robiła zbyt świetnych interesów, bo znowu wszystkie kobiety z miasta trzymały stronę Hansa; zauważyły bowiem, że ich mężowie zbyt często robią sprawunki u pięknej niemki, i za każdym sprawunkiem siedzą zadługo.

Gdy nikogo nie było w żadnym ze sklepów, Hans i panna Neuman stawali we drzwiach, jedno naprzeciw drugiego, rzucając sobie wzajem spojrzenia pełne zajądłości. Panna Neuman śpiewała wówczas sobie pod nosem na nutę: *mein lieber Augustin*:

— *Doczmen, Doczmen, Do—Doczmen, Do—Doczmen—men!*

Pan Hans patrzył na jęj nogi, potem na figurę, potem na twarz, z takim wyrazem, z jakimby patrzył na przykład na zabitego przed miesiącem kujotę; potem, wybuchnąwszy piekielnym śmiechem, wykrzykiwał:

— *By God!*

Nienawisć w tym flegmatycznym człowieku doszła do tego stopnia, że, gdy rano ukazał się przed drzwiami,

a panny Neuman nie było, kręcił się, jakby mu czego brakło.

Dawno już miałyby miejsce między nimi pewne zajścia czynne, gdyby nie to, iż Hans był pewny przegranej w każdej urzędowej sprawie, a to tém bardziej, że panna Neuman miała za sobą redaktora „*Saturday Weekly Review*.” Hans przekonał się o tém, gdy rozpuścił wieść, że panna Neuman nosi biust sztuczny. Było to nawet prawdopodobne, bo w Ameryce zwyczaj to powszechny. Na następny tydzień jednak w „*Saturday Weekly Review*” pojawił się piorunujący artykuł, w którym redaktor, mówiąc ogólnie o potwarzach „*Doczmenów*,” kończył zapewnieniem uroczystém, jako „dobrze poinformowany,” że biust pewnej spotwarzonej lady, jest prawdziwy.

Odtąd pan Hans pijał co rano czarną kawę zamiast białej, nie chciał bowiem brać już mleka od redaktora, ale za to panna Neuman brała stale dwie porceye. Prócz tego, kazała sobie uszyć krawcowi suknię, której forma stanika przekonała ostatecznie wszystkich, że Hans był potwarcą.

Hans, w obec chytrości niewieściej, uczuł się bezbronnym; a tymczasem niemka, stając przed sklepem każdego ranka, śpiewywała coraz głośniej:

— *Doczmen, Doczmen, Do—Doczmen, Do—Doczmen—men.*

— Co ja jój mogę zrobić?—myślał Hans. Mam za trutą pszenicę na szczury, choćbym téż jój kury wytrul? Nie! Kazał mi zapłacić! Ale wiem co zrobić.

I wieczorem, panna Neuman, ku wielkiemu swemu

zdziwieniu, spostrzegła pana Hansa, znoszącego pęki dzikich słoneczników i układającego je, jakoby w ścieżkę pod zakratowaném okienkiem piwnicy. „Ciekawam co to będzie?” myślała sobie. „Pewno coś przeciw mnie!” A tymczasem ściemniło się. Pan Hans ułożył słoneczniki w dwie linie, tak, że środkiem tylko zostawała wolna droga do okienka piwnicy; potem wyniósł jakiś przedmiot okryty płótnem, obrócił się plecami do panny Neuman, płótno z tajemniczego przedmiotu zdjął, pokrył go liśćmi ze słoneczników, następnie zbliżył się do muru, i począł kreslić na nim jakieś litery.

Panna Neuman umierała z ciekawości.

— Pewno na mnie coś pisze, myślała; ale niech tylko wszyscy spać pójdą, pójdę zobaczyć, choćbym miała skonać.

Hans skończywszy robotę, poszedł na górę, i wkrótce zgasił światło. Wówczas panna Neuman zarzuciła naprędce na siebie szlafroczek, wdziała pantofle na gołe nogi i dalejże przez ulicę. Doszedłszy do słoneczników, szła prosto ścieżką do okienka, chcąc przeczytać napis na ścianie. Nagle oczy jęj wyszły na wierzch, rzuciła się wierzchnią połową ciała wstecz, a z ust wyrwało jęj się najprzód bolesne: „Aj! aj!” potém zaś rozpaczliwy okrzyk „Ratunku! ratunku!!!”

Okno na górze podniosło się do góry.

— *Was ist das?* — rozległ się spokojnie głos Hansa. — *Wer ist da?*

— Doczmenie przeklęty! — wrzeszczała panna — zamordowałeś mnie, zgubiłeś! Jutro będziesz wisiał. Ratunku! ratunku!

— Zaraz schodzę—rzekł Hans.

Jakoż po chwili ukazał się ze świecą w ręku. Spojrzał na pannę Neuman, która stała jak przygwożdżona do ziemi, poczem wziął się pod boki i począł się śmiać:

— Coto? To panna Neuman? Ha! ha! ha! Dobry wieczór pannie! Ha! ha! ha! Zastawiłem żelaza na skunksy, a złapałem pannę! Po coś panna przyszła zaglądać do mojej piwnicy? Umyślnie napisałem na ścianie ostrzeżenie, żeby się nie zbliżać. Krzycz teraz panna; niech się ludzie zlecą: niech wszyscy widzą, że nocami przychodzisz zaglądać do piwnicy Doczmena. *O mein Gott!* krzycz, ale postój sobie aż do rana. Dobranoc pannie, dobranoc!

Położenie panny Neuman było okropne. Krzyczeć? ludzie się zlecą; kompromitacya! nie krzyczeć? stać całą noc złapana w żelaza, a na drugi dzień dać z siebie widowisko?... A tu noga boli coraz bardziej... W głowie jęj się zakręciło, gwiazdy pomieszały się ze sobą, księżyc ze złowrogą twarzą pana Hansa: zemdląca.

— *Herr je!*—wykrzyknął do siebie Hans—jeśli umrze, to jutro „zlynczują mnie bez sądu.”

I włosy powstały mu na głowie ze strachu.

Nie było rady. Hans poszukał czempredźej klucza, aby otworzyć żelazo, ale nie łatwo było otworzyć, bo przeszkadzał mu szlafrok panny Neuman. Trzeba było go trochę zawinąć i... mimo całej nienawiści i strachu, Hans nie mógł się wstrzymać od rzucania oczyma na piękne, jak gdyby marmurowe, nóżki swjej nieprzyjaciółki, oświecone blaskiem czerwonego miesiąca.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w nienawiści jego była teraz litość. Otworzył prędko żelazo, a że panna nie po-

ruszała się jeszcze, więc wziął ją na ręce i zaniósł prędko do jej mieszkania. Po drodze znów czuł litość. Potém wrócił do siebie, i całą noc nie mógł oka zmrużyć.

Nazajutrz panna Neuman nie pojawiła się przed swoją grocernią dla śpiewania: *Doczmen, Doczmen, Do—Doczmen*. Może się wstydziła, a może knuła w milczeniu zemstę.

Pokazało się, że knuła zemstę. Wieczorem tegoż jeszcze dnia, redaktor *S. W. Review* wyzwał Hansa na kulaki i, zaraz na początku walki podbił mu oko. Hans jednak przywiedziony do rozpączy, zadał mu tyle straszliwych ciosów, że, po krótkim daremnym oporze, redaktor padł jak długi, wołając: „*enough! enough!* (dosyć! dosyć!)”

Nie wiadomo jakim sposobem, bo nie przez Hansa, całe miasto dowiedziało się o wypadku nocnym panny Neuman. Po walce z redaktorem, w sercu Hansa znowu zniknęła litość dla nieprzyjaciółki, a pozostała tylko nienawiść.

Hans przeczuwał, że go spotka jaki niespodziany cios z nienawistnej ręki, jakoż niedługo nań czekał. Właściciele grocerni przylepiają często przed sklepami ogłoszenia o rozmaitych towarach, zatytułowane zwykle: „*Notice*.” Z drugiej strony trzeba wiedzieć, że grocernie sprzedają zwykle szynkom lód, bez którego żaden amerykańczyk nie pije ani whisky, ani piwa. Otóż nagle Hans zauważył, że przestano brać u niego lód zupełnie. Ogromne kawały, jakie sprowadził koleją, złożone w piwnicy, stopniały: szkody było na kilkanaście dolarów. Dlaczego? jak? co? Hans widział, że nawet jego stronnicy brali codziennie lód u panny Neuman; nie rozumiał więc co

się to znaczy, tém mniej, że się z żadnym szynkarzem nie pogniewał.

Postanowił tę rzecz wyjaśnić.

— Dlaczego nie bierzecie odemnie lodu?—spytał łamaną angielszczyzną szynkarza Petersa, który właśnie przechodził koło jego sklepu.

— Bo go nie trzymacie.

— Jakto nie trzymam?

— No, bo ja wiem.

— *Aber* ja trzymam lód.

— A to co?—rzekł szynkarz, ukazując palcem na ogłoszenie przyklepione na domu.

Hans spojrział i zzieleniał ze złości. W jego ogłoszeniu, ktoś w wyrazie „*Notice*” wydrapał: *t* ze środka, skutkiem czego z „*Notice*” zrobiło się „*No ice*,” co po angielsku znaczy: niema lodu.

— *Donnerwetter!*—wykrzyknął Hans—i cały siny i drżący wpadł do sklepu panny Neuman.

— To jest nikczemność!—krzyczał zapieniony. Cemuś mi panna wydrapała literę ze środka?

— Com panu wydrapała ze środka?—spytała zgłupia-frant panna Neuman.

— Literę mówię: *t*, mówię! Wydrapałaś mi panna *t*! *Aber goddam!* to nie może być dłużej. Panna mi musisz zapłacić za lód! *Goddam! goddam!*

I straciwszy zwykłą zimną krew, począł wrzeszczeć jak opętany; na to panna Neuman w krzyk: ludzi się nazlatywało:

— Ratujcie! — wołała panna Neuman — Doczmen zwaryował! mówi, że mu coś wydrapała ze środka, a ja

Pisma H. Siekiewiczza.—T. III.

mu nie nie wydrapałam. Com mu miała wydrapać? nie nie wydrapałam. O! na Boga! wydrapałabym mu oczy, żebyś mogła, ale nie więcéj. Ja biédna kobiéta, sama! on mnie tu zabije, zamorduje!

Tak krzycząc, zalała się rzewnemi łzami. Amerykanie nie zrozumieli wprawdzie o co chodzi, ale amerykańskie nie znoszą łez kobiecych, więc niemca za łeb i za drzwi. Chciał się opierać: gdzietam! wyleciał jak z procy, przeleciał przez ulicę, wleciał we własne drzwi i upadł jak długi.

W tydzień potém, nad sklepem jego wisiał ogromny malowniczy szyld. Szyld przedstawiał małpę, ubraną w pasiastą sukienkę, biały fartuszek z naramiennikami: słowem zupełnie jak panna Neuman. Pod spodem stał napis wielkimi żółtymi literami:

„Grocernia pod małpą.”

Ludzi naschodziło się oglądać. Śmiechy wywabily pannę Neuman przede drzwi. Wyszła, spojrziała, zbladła, ale niestraciwszy przytomności, zawołała zaraz:

— Grocernia pod małpą? Nic dziwnego, bo pan Kasche mieszka nad grocernią. Ha!

Cios jednak trafił ją w serce. W południe słyszała, jak tłumy dzieci, przechodząc koło sklepów ze szkoły, zatrzymały się przed szyldem, wołając:

— *O! that's miss Neuman! Good evening miss Neuman!*

Tego było zanadto. Wieczorem, gdy przyszedł do niej redaktor, rzekła mu:

— Ta małpa, to ja! wiem, że ja, ale nie daruję

swego. Musi on zdjąć i zlizać tę małpę własnym językiem przy mnie.

— Co panna chcesz robić?

— Idę zaraz do sędziego.

— Jako zaraz?

— Jutro.

Rankiem wyszła, i zbliżywszy się do Hansa, rzekła:

— Słuchaj, panie doczmenie! wiem, że ta małpa, to ja, ale pójdźno ze mną do sędziego. Zabierzmy co ona to powie.

— Powie, że wolno mi wymalować nad moim sklepem co mi się podoba.

— Zobaczmy to zaraz.

Panna Neuman ledwo mogła oddychać.

— A zkąd panna wie, że ta małpa to panna?

— Sumienie mi to mówi. Pójdź, pójdź do sędziego, a nie, to cię szeryf w kajdanach zaprowadzi.

— Dobrze, pójdę—rzekł Hans, pewny wygranej.

Poprzymykali sklepy i poszli, wymyślając sobie po drodze. Dopiero przy samych drzwiach sędziego Dasonvilla, przypomnieli sobie, że oboje nie umieją dość po angielsku, aby sprawę wytłómaczyć. Co tu robić?! Ot szeryf, jako żyd polski, umie i po niemiecku i po angielsku. Dalejże do szeryfa.

Ale szeryf siedział właśnie na wozie i zabierał się do wyjazdu.

— Idźcie do *devil!*—krzyknął prędko. Całe miasto przez was niespokojne! Chodźcie w jednych trzewikach po całych latach! Ja jadę po „*lumber*,” *Good bye!*

I pojechał.

Hans wziął się pod boki.

— Musisz panna czekać do jutra—rzekł flegmatycznie.

— Ja mam czekać? Pierwój umrę. Chyba że zdejmiesz pan małpę!

— Nie zdejmę małpy.

— To będziesz pan wisiał! Będziesz wisiał Doczmemie! Obejdzie się i bez szeryfa. Sędzia i tak wie, o co nam chodzi.

— A to pójdźmy i bez szeryfa—rzekł niemiec.

Panna Neuman myliła się jednak. Jeden tylko sędzia w całym mieście nie wiedział ani słowa o ich kłótniach! Bogu ducha winien staruszek przyrządzał swoje leroa, i zdawało mu się, że świat zbawia.

Przyjął ich jak zwykle przyjmował każdego z dobrocią i grzecznie:

— Pokażcie języki, moje dzieci!...—rzekł. Zapiszę wam tu zaraz...

Oboje zaczęli machać rękoma na znak, że nie chcą lekarstw. Panna Neuman powtarzała:

— Nie tego potrzeba, nie tego!

— Więc czego?

Gadali jedno przez drugie. Co Hans słowo, to panna dziesięć. Nareszcie niemka wpadła na koncept pokazać na serce, na znak, że je pan Hans przebił siedmioma mieczami.

— Rozumiem! rozumiem teraz!—rzekł doktor.

Poczem otworzył książkę i jął pisać. Spytał Hansa ile ma lat?—Trzydzieści sześć. Spytał panny—nie pamiętała dokładnie: tak, coś koło dwudziestu pięciu. *All*

right! Jakie są ich imiona?—Hans--Lora. *All right!* Czém się trudnią?—mają grocernie. *All right.*—Potém jeszcze jakieś pytania. Nie zrozumieli oboje, ale odpowiedzi: *yes!* Doktor kiwnął głową. Wszystko skończone.

Skończywszy pisać, wstał, i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu Lory, objął ją w pól i pocałował.

Wzięła to sobie za dobrą wróżbę, i pełna różowych nadziei poszła do domu.

Po drodze powiada do Hansa:

— Ja panu pokażę.

— Pokażesz panna komu innemu!—odparł spokojnie niemiec.

Nazajutrz rano przyszedł szeryf przed sklepy. Oboje stali przede drzwiami. Hans pykał fajkę, panna śpiewała:

— *Doczmen, Doczmen, Do—Doczmen, Do—Doczmen—men.*

— Chcecie iść do sędziego?—spytał szeryf.

— Jużśmy byli.

— No i co?

— Mój szeryfku! mój panie Devisku!—zawołała panna—pójdźcie się dowiedzieć. Potrzebuję właśnie trzewików. A przemówcie tam za mną słówko do sędziego. Widzicie, ja biedna dziewczyna... sama...

Szeryf poszedł i w kwadrans wrócił. Ale niewiadomo dlaczego wrócił otoczony tłumem ludzi.

— No co? no jak?—poczęli wypytywać oboje.

— Wsistko dobrze, oh!—rzekł szeryf.

— No, co sędzia zrobił?...

— Ny? co miał złego zrobić? On was pozenił.

— Pozenił?!!!!

— Albo to się ludzie nie żenią?

Żeby piorun nagle trząśł, Hans i panna Neuman nie przeraziliby się do tego stopnia. Hans wytrzeszczył oczy, otworzył usta, wywiesił język i spoglądał jak głupi na pannę Neuman, a panna Neuman wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta, wywiesiła język i spoglądała jak głupia na pana Hansa. Ośłupieli, skamienieli. Potém oboje w krzyk.

— Ja mam być jego żoną!?

— Ja mam być jój mężem!?

— Gwałtu! gwałtu! Nigdy! Zaraz do rozwodu! Ja nie chcę!

— Nie, to ja nie chcę!

— Pierwój umrzeć! gwałtu! Rozwód, rozwód, rozwodu! Co to się dzieje!

— Moi kochani—rzekł spokojnie szeryf—co tu pomoże krzyk?... Sędzia daje ślub, ale sędzia nie daje rozwodu. Na co krzyczeć? Czy to wy milionarze ze San-Francisco, żebyście brali rozwód? Czy wy nie wiecie co to kosztuje? Aj! Co tu krzyczeć? Mam piękne trzewiki dziecinne; tanio sprzedaje! *Good bye!*

To rzekłszy, odszedł. Ludzie śmiejąc się, porozchodzili się także! nowożeńcy pozostali sami.

— To ten Francuz—wykrzyknęła panna-mężatka—naumyślnie nam tak zrobił, bośmy niemcy!

— *Richtig*—odpowiedział Hans.

— Ale pójdziemy do rozwodu!

— Ja pierwszy! pannaś mi wydrapała *t* ze środka!

— Nie! ja pierwsza! paneś mnie w żelaza złapał.

— Ja panny nie chcę.

— Ja pana niecierpię.

Porozchodzili się i pozamykali sklepy. Ona siedziała u siebie, rozmyślając cały dzień, on u siebie. Przyszła noc. Noc przynosi spokój. Oboje jednak nie mogli myśleć o śnie. Położyli się, ale oczy im się nie kleiły. On myślał: „Tam śpi moja żona.” Ona: „Tam śpi mój mąż!” I dziwne jakieś uczucia rodziły im się w sercach. Była to nienawiść, gniew, w połączeniu z poczuciem samotności. Prócz tego pan Hans myślał o swojej małpie nad sklepem. Jak ją tu trzymać, kiedy to teraz karykatura jego żony? I wydało mu się, że zrobił bardzo brzydką rzecz, kazawszy wymalować tę małpę. Ale znowu ta panna Neuman! Przecie on jęj nienawidzi. To przez nią lód jego stopniał. On ją przecie złapał po księżycu w żelaza. Tu znowu na myśl przyszły mu owe kształty, widziane przy blasku księżyca. „No, co prawda, to ona tęga dziewczyna (myślał). Ale ona mnie niecierpi i ja jęj.” Oto położenie! Ach! *Herr Gott!* Ożenił się? I z kim? z panną Neuman. A tu rozwód tyle kosztuje! cała groceria niestarczy!

— Ja jestem żoną tego Doczmena—mówiła sobie panna Neuman. Ja już nie panna.... t. j. chciałam powiedzieć: panna, ale poszłam za mąż! Za kogo? Za Kaschego, który mnie złapał w żelaza. Prawda i to.... że wziął mnie w pół i odniósł na górę. A jaki mocny! Ot! tak sobie wziął mnie w pół.... Co to jest? tu jakiś szelst?

Szelestu nie było żadnego, ale panna Neuman poczęła się bać, choć poprzednio nigdy się nie bała.

— Gdyby on jednak ośmielił się teraz... Boże!—Później jednak, dodała głosem, w którym brzmiała dziwna jakaś nuta rozczerowania....

— Ale on się nie ośmieli. On....

Z tym wszystkiem bojaźń jej wzmagala się. „To tak zawsze kobiecie samój! myślała dalej. Gdyby tu był jaki mężczyzna, byłoby bezpieczniej. Słyszałam o jakichś zabójstwach w okolicy (o zabójstwach panna Neuman nie słyszała). Przysięgam, że mnie tu kiedy zabiją. Ach, ten Kasche! ten Kasche! zamknął mi drogę. Trzeba jednak naradzić się o rozwodzie.”

Tak myśląc, przewracała się bezsenność po szerokim amerykańskim łóżu i istotnie czuła się bardzo samotną. Nagle zerwała się znowu. Tym razem przestach jej miał powód rzeczywisty. W ciszy nocnej słycać było wyraźne stukanie młotka.

— Jezus!—krzyknęła panna—dobierają się do mojej groceni!

To rzekłszy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna, ale, spojrzawszy w nie, uspokoiła się zaraz. Przy świetle księżyca widać było drabinę, a na niej okrągłe białe kształty Hansa, odbijającego młotkiem gwoździe podtrzymujące szyldek z małpą.

Panna Neuman otworzyła zcicha okno.

— Jednak zdejmuję małpę, to pocziwie z jego strony!—pomyślała.

I czuła nagle, jakby jej coś topniało koło serca.

Hans wyciągnął powoli gwoździe. Blacha z brzę-

kiem upadła na ziemię: wówczas zlął, odbił ramy, zwinął blachę w trąbkę w żyłastych rękach, i począł odstawiać drabinę.

Panna śledziła go oczyma... Noc była cicha, ciepła...

— Panie Hans—szepnęła nagle dziewczica.

— To panna nie śpi—odszeptał równie cicho Hans.

— Nie! Dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór pannie.

— Co pan robi?

— Zdejmuję małpę.

— Dziękuje panu, panie Hans.

Chwila milczenia.

— Panie Hans!—zaszemrał znowu głos panieński.

— Co? panno Loro.

— Musimy naradzić się o rozwodzie.

— Tak, panno Loro.

— Jutro?

— Jutro.

Chwila milczenia, księżyc się śmieje, psy nie szczekają.

— Panie Hans!

— Co? panno Loro.

— Bo mnieby pilno wziąć ten rozwód...

Głos panny brzmiał melancholicznie...

— I mnie, panno Loro!

Głos Hansa był smutny.

— Bo to, widzi pan, żeby nie zwłóczyć...

— Najlepiej nie zwłóczyć.

— Imby się prędzej naradzić, temby lepiej.

— Tém lepiej, panno Loro.

— To możemy się zaraz naradzić...

— Jeśli panna pozwoli...

— To pan przyjdzie do mnie?

— Tylko się ubiorę.

— Nie trzeba ceremonii.

Drzwi na dole otworzyły się, pan Hans znikł w ciemnościach, a po chwili znalazł się w panieńskim pokoiku cichym, ciepłym, schludnym. Panna Lora miała biały szlafroczek i była zachwycająca.

— Słucham panny—rzekł Hans złamanym, miękkim głosem.

— Ale, bo to widzi pan, jabym bardzo chciała wziąć rozwód, ale... boję się, żeby nas kto z ulicy nie zobaczył.

— Wszak ciemno w oknach...—rzekł Hans.

— Ach! prawda!—odparła panna...

Wówczas zaczęła się narada o rozwodzie, która już do opowiadania nie należy.

Spokój powrócił do Struck Oil city.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Poz. ks. Inw. 63

BIBLIOTEKA

Państwowego Seminarjum Naucz. Męskiego
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Państwowym Gimnazjum i Liceum Pedagog.
w Siedlcach

BIBLIOTEKA
w Siedlcach
Dział Inwentarza Nr 63



SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu trzeciego.

	<i>str.</i>
VIII. Szkice amerykańskie	1
IX. Szkice amerykańskie	43
X. Szkice amerykańskie	83
XI. Szkice amerykańskie	127
List z Rzymu	165
Z Wenecyi	180
Z Paryża.	194
Komedia z pomyłek. Szkic z życia amerykańskiego . . .	211

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 162



162

XXVIII

Wydawnictwa
do 1945 r.